

Konferencje biblijne 2000/2001 — Czytamy listy do 7 Kościołów Apokalipsy

Ks. Waldemar Chrostowski

Parafia Zwiastowania Pańskiego,
ul. Gorlicka 5/7, Warszawa

Nieautoryzowany zapis — skorygowany do grudnia 2012 roku na podstawie nagrań cyfrowych: J. Paczyński

Spis treści

1 Apokalipsa św. Jana — Listy do 7 Kościołów (dn. 23 października 2000)	2000/2001 – 1
2 List do Kościoła w Efezie (dn. 20 listopada 2000)	2000/2001 – 11
3 List do Kościoła w Smyrnie (dn. 11 grudnia 2000)	2000/2001 – 20
4 List do Kościoła w Pergamonie (dn. 15 stycznia 2001)	2000/2001 – 29
5 List do Kościoła w Tiatyrze (dn. 12 lutego 2001)	2000/2001 – 37
6 List do Kościoła w Sardes; „Sprawa” Jedwabnego (dn. 12 marca 2001)	2000/2001 – 47
7 List do Kościoła w Filadelfii (dn. 9 kwietnia 2001)	2000/2001 – 58
8 List do Kościoła w Laodycei (dn. 14 maja 2001)	2000/2001 – 67
9 Ks. kardynał Stefan Wyszyński — garść refleksji (dn. 18 czerwca 2001)	2000/2001 – 77

Ostrzeżenie

Wykłady zostały spisane po raz pierwszy z archiwalnych nagrań podczas roku akademickiego 2000/2001. Nagrania były dokonywane w wersji analogowej, na mikrokasetach. W roku 2003 dokonano pierwszej korekty, na podstawie innego kompletu kaset. Od jesieni 2012 r., po ponownym odsłuchaniu z wersji cyfrowej, dokonano ostatecznej korekty. Odczytywanie dźwięku przy pomocy komputera i programu edytora dźwięku pozwala na nieporównanie bardziej precyzyjny odczyt w porównaniu z magnetofonem taśmowym.

Ale ten dźwięk cyfrowy powstał z przekształcenia oryginalnego dźwięku analogowego, zapisanego na taśmach magnetycznych. Wszystkie prawie wady pierwotnego zapisu zostały więc zachowane. Np. słychać w niektórych miejscach, jak zmniejszała się prędkość przesuwu taśmy podczas zapisu, zapewne na skutek wyczerpywania się baterii. Słychać też i inne zniekształcenia nieliniowe.

Kaseta 2 × 30 minut nie wystarczała do nagrania całej konferencji. Z tego powodu opuszczane są modlitwy wstępna i końcowa, oraz różne sprawy aktualne, nie związane bezpośrednio z głównym tematem.

Ten tekst **nie jest autoryzowany przez Księdza Profesora!** W związku z tym należy go **czytać z rozsądną podejrzliwością**. Tekst był spisywany z nagrań z najlepszą wolą i wielkim nakładem pracy, ale:

- Tekst jest zapisem słowa mówionego. Z pewnością artykuł na ten sam temat Ksiądz Profesor pisałby nieco inaczej.
- Tytuły (dla lat i poszczególnych wykładów) są w większości tylko moim pomysłem. Wprowadziłem je dla ułatwienia orientacji w tekście, którego nagromadziło się sporo.
- Akapity, podkreślenia tekstu itp. są tylko moim pomysłem.
- Nie udało mi się odtworzyć trzech fragmentów nagrań, przerw wywołanych przekładaniem kasety. Zaznaczyłem te miejsca w tekście.
- Mniej znane nazwy i nazwiska, wszystkie słowa np. hebrajskie, itp. — pisane ze słuchu — prawie na pewno są niepoprawne. Czasami udawało mi się coś zweryfikować w słowniku czy encyklopedii, często było to niemożliwe lub brakowało mi na to czasu.
- Dużo trudności sprawia mi „pobożnościowa ortografia”. Z jednej strony nie chciałbym szargać świętości (a może Świętości?). Zaś drugą stronę – jak mi się wydaje – najlepiej obrazuje stary kawał, w którym padają słowa: „Nie maluj Mnie na kolanach, maluj Mnie dobrze!”.

W końcu chciałbym ujawnić motywy, które mną kierowały przy podjęciu decyzji o spisywaniu tych konferencji. Dość szybko zauważyłem, że słucham z zapartym tchem ale trwale zapamiętuję tylko kilka procent informacji. Więc najpierw miało to być tylko dla mnie, bo jestem raczej „wzrokowcem”. Ale przecież mam przyjaciół i znajomych, którzy są np. chorzy, albo zajęci ... Wdzięczność kilku osób była dodatkową motywacją. A od lata 2003 pojawiła się perspektywa szerszego rozpowszechnienia przez Akcję Katolicką.

Jerzy Paczyński

1 Apokalipsa św. Jana — Listy do 7 Kościołów (dn. 23 października 2000)

Często powtarzam, że kiedy państwa widzę to jest to dla mnie ogromne wyzwanie, ogromne zobowiązanie. Proszę wierzyć, że prowadzenie takiej konferencji biblijnej jest dla mnie trudniejsze niż prowadzenie wykładu akademickiego. Z tej prostej przyczyny, że tam studenci przychodzą niejako z obowiązku, że mają rozległą wiedzę i że jest to obowiązek, do którego są zobowiązani. Natomiast u państwa widać mnóstwo dobrej woli, pewną wiedzę również — ale przede wszystkim dobrą wolę, która pozwala pokonać rozmaite trudności. I pomimo stosunkowo późnej pory, a nieraz i dużej odległości od miejsca zamieszkania, pozwala brać udział w tych konferencjach. Dla mnie jest to wyzwanie i zobowiązanie dlatego, że bardzo chciałbym, żeby państwo mieli z nich jakiś konkretny duchowy, ale także intelektualny pożytek. I zawsze zastanawiam się, czy te słowa, które się mówi, i czy te treści, które podejmujemy, trafiają do państwa w ten sposób, żeby mogły oczekiwanom i nadziejom sprostać. Ufam że tak jest, skoro raz jeszcze państwo tak licznie podejmują tę wspólną refleksję nad treścią Pisma Świętego. Jestem za to bardzo wdzięczny osobiście, ale myślę że jest to też jakiś ogromny znak czasów i ogromny trud całego Kościoła, dzięki któremu Pismo Święte, skoro zostało udostępnione i przekazane wiernym, to wywołuje takie właśnie błogosławione owoce już nie tylko zainteresowania, ale prawdziwego pogłębiania swojej wiary.

W tym roku chciałbym podjąć temat nowy. Temat, który będziemy kontynuować przez cały czas, do maja 8 konferencji. W czasie wakacji sporo myślałem nad tym, jaki temat by z państwem podjąć, i przyszło mi do głowy że tematem, który podejmiemy, będą **listy do siedmiu kościołów w Apokalipsie św. Jana**. Dlaczego ten temat podjąłem? Otóż dlatego, że Apokalipsa św. Jana jest dziełem napisanym w okresie wielkiego przełomu i w okresie wielkich trudności, które przeżywał Kościół, w okresie wielkich wyzwań, wobec których stanęli ówcześni chrześcijanie. I z tego powodu wydaje mi się, że Apokalipsa św. Jana jest również księgą do czytania na nasze czasy. To znaczy, że również nam ma coś ciekawego do powiedzenia, właśnie nam. I po drugie w Apokalipsie są teksty, jakże ciekawe, ale jednocześnie jakże trudne, które stanowią zapisy listów kierowanych przez autora Apokalipsy do siedmiu Kościołów na terenie Azji Mniejszej.

Mam również osobisty powód, żeby się tymi listami zająć. W lipcu tego roku wspólnie z ks. biskupem Gondeckim i ks. dyrektorem Tkaczem odbyliśmy taką właśnie pielgrzymkę po tych miejscach 7 Kościołów Apokalipsy. Zatem kiedy będę do państwa mówić na temat tych Kościołów, postaram się mówić tak plastycznie, żeby mniej więcej dać wyraz tym przeżyciom, które tam mieliśmy, a także tym obrazom, które zdołałem stamtąd zapamiętać. I dzięki temu myślę, że te siedem Kościołów Apokalipsy, chociaż odległe geograficznie, i odległe historycznie, stanie się nam bliższe. A mieć to powinno też i ten skutek, że Apokalipsa św. Jana, i te wypowiedzi św. Jana do poszczególnych Kościołów powinny nam uzmysłwić, że one są adresowane nie tylko do do tamtych chrześcijan, ale adresowane również do nas samych.

Zacznijmy zatem od samego początku. Dzisiejsza konferencja będzie miała w zasadzie charakter wstępny, charakter wprowadzający nas w problematykę Apokalipsy, i w problematykę tych 7 Kościołów. I właściwie tytułem pewnego wstępu chciałbym państwa tym tematem, tą problematyką zainteresować po to, żebyśmy później, w kolejne miesiące podejmowali poszczególne listy, i coś z tego mogli więcej skorzystać. Zacznijmy zatem od tego, czym jest apokalipsa i ta apokaliptyczna forma myślenia i mówienia, bo to jest bardzo ważne, i wokół tego panuje sporo nieporozumień.

I żeby wyjaśnić sobie czym jest *apokalipsa* i *apokaliptyka*, to musimy chyba najlepiej i najskuteczniej opisać to zjawisko poprzez porównanie z *proroctwem* i *prorokowaniem*. Otóż na temat proroctwa i prorokowania słyszeli państwo, zwłaszcza ci, którzy brali udział w tych konferencjach biblijnych wcześniej, bardzo dużo. Ja tylko króciutko streszczę to, kim jest prorok, i czym jest pro-roctwo w biblijnym tego słowa znaczeniu. Otóż dobrze wiemy, że prorok i pro-roctwo — inaczej, niż obiegowo myślimy — to nie jest zapowiadanie przyszłości, to nie jest odkrywanie tej przyszłości, nie jest jakby próba wywierania nacisku na przyszłość. Lecz pro-roctwo i misja proroka, zadanie proroka ma to do siebie, że prorok przygląda się rzeczywistości takiej, jaką ma wokół siebie, a więc przygląda się terażniejszości, prorok również przygląda się przeszłości, i *obserwując to co się wydarzyło i także to co się dzieje, prorok usiłuje kształtować przyszłość*. Zwracam uwagę państwa na to

słowo „kształtować”. Bo ile razy bierzemy do ręki księgi proroków Starego Testamentu, poczynając od proroków wielkich jak Izajasz, Jeremiasz, Ezechiel czy Daniel, i przez tych proroków mniejszych, to tyle razy widzimy tam surowe napomnienia, ostrzeżenia, pochwały ale i groźby. Tyle razy widzimy tam wielkie wymagania moralne, stawiane pod adresem Izraelitów, ale także ostrzeżenia na przyszłość. I prorok chce powiedzieć jedno na ogół. Przyglądając się życiu tego społeczeństwa, tej społeczności, tej wspólnoty, w której żyje, prorok chce powiedzieć: „tak żyć nie wolno”, „tak żyć nie należy”, „trzeba żyć inaczej”. I w związku z tym on skutecznie, efektywnie, kształtuje życie tych ludzi.

Ci ludzie przyjmują to jego proroctwo, bądź go nie przyjmują, ale jedno jest zawsze na ogół pewne. To mianowicie, że nawet jeżeli nie są w stanie sprostać jego wzniosłym wymaganiom, to umięją się do tego przyznać. A po drugie chcą zapamiętać to, czego prorok uczył. I w jakiejś perspektywie czasowej mówią nawzajem do siebie: „Tak, on miał rację. Jesteśmy źli, jesteśmy słabi, jesteśmy zepsuci, ale on nam to powiedział. Jesteśmy zbyt słabi, żeby się podnieść, ale on nam to uświadomił.”

Proszę zatem zwrócić uwagę że prorok to człowiek, który nieustannie kieruje ludzi na drogę nawrócenia. Bo obok tej drogi niewinności, jak to wiele razy mówiliśmy, dla większości ludzi to jest właśnie droga nawrócenia. A skoro tak, to powinnością proroka jest to, by przypominać że można i trzeba żyć inaczej, że można i trzeba żyć lepiej. I dlatego z późniejszej perspektywy tak, jak to wiele razy widzimy na kartach Pisma Świętego, ludzie mówią; „Prorok był między nami. On miał rację w tym, czego uczył.”

Zwróćmy uwagę, że to zjawisko proroctwa i prorokowania, w biblijnym tego słowa znaczeniu, wygasło właśnie wtedy. Ale że w każdym pokoleniu są ludzie, którzy podejmują to zadanie proroka napominając, kształtując, wzywając do właściwego sposobu życia, upominając, ostrzegając, zachęcając. W naszej polskiej sytuacji takim wielkim prorokiem poprzedniego i obecnego pokolenia jest z całą pewnością kardynał Stefan Wyszyński. I to właśnie kiedy się patrzyło na jego nauczanie, na jego słowa, pewnego dnia doszło do tego, czego rocznicę obchodziliśmy wczoraj, dwudziestą drugą rocznicę, do intronizacji Jana Pawła II, a dokładnie dzisiaj, 23 października mija 22 lata od słynnej audyencji dla Polaków, która miała miejsce w Auli Pawła VI w Watykanie, podczas której Jan Paweł II oddał największy hołd, jaki jest możliwy, kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu mówiąc, iż „Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża Polaka, gdyby nie Twoja, umiłowany księże Prymasie, wiara, Twoja niezłomność, Twoje bohaterstwo”. To było stwierdzenie, że oto prorok był między nami. Wiemy doskonale, że niecałe trzy lata później ksiądz kardynał Wyszyński zmarł. I tamta epoka przeminęła, ale jej skutki ciągle trwają.

Czym jest apokalipsa i apokaliptyka? Powiedzieliśmy, że prorok kształtuje współczesną świadomość, wybiega myślą najwyżej do następnego, czy może jeszcze kolejnego pokolenia. A apokaliptyka i sama nazwa „apokalipsa” pochodzi z języka greckiego od słowa [apokalypto] tzn. *odkrywam, odsłaniam*. Apokaliptyka jest sięganiem w dalszą przyszłość, już nie tę wyznaczoną życiem jednego pokolenia, ani tym bardziej życiem jednego człowieka. Dobrze wiemy, że życie jednego człowieka jest bardzo ulotne, dziś jesteśmy — jutro może nas nie być. Życie pokolenia jest trwalsze bo dotyczy tysięcy milionów ludzi. Ale też jest ulotne, bo przecież z dzisiejszej perspektywy patrzymy na pokolenia, których już nie ma, które już przeszły do historii. Apokalipsa próbuje wybiegać w przyszłość, już nie tę bliską, tylko tę odległą. Co z tego wynika? Że apokalipsa i apokaliptyka to taki sposób myślenia, w którym człowiek uświadamia sobie że rzeczywistość, w której żyjemy, to jest doczesność. To nie jest rzeczywistość absolutna. Że za tą rzeczywistością jest jak gdyby zasłona. Dla każdego z nas jest to zasłona śmierci, przez którą musimy przejść. Ale też istnieje jakaś zasłona dla całego rodzaju ludzkiego, dla wszystkich ludzi. Ta zasłona, jeżeli można to tak nazwać, bierze się stąd, że tak jak świat i człowiek miał swój początek, przyznaje to nawet teoria ewolucji, nawet nauki przyrodnicze które stwierdzają, że człowiek pojawił się w określonym momencie pradziejów. Otóż tak jak człowiek miał swój początek, tak człowiek i ludzkość mają również swój koniec. W tej apokaliptyce, w tym sposobie odsłaniania przyszłości, w sposobie odkrywania tego, co będzie, próbujemy sięgnąć poza tę zasłonę, która jest nieprzekraczalna i nieprzenikniona.

Tu zwróćmy uwagę na pewną ciekawą rzecz. O ile proroctwo jest zjawiskiem religijnym bardzo starym, bardzo wczesnym — byli nawet prorocy pogańscy, którzy poprzedzili biblijnego Izraela — o tyle zjawisko czy fakt apokalipsy i apokaliptyki jest nieco późniejszy. Dlaczego? Dlatego, że

ci biblijni Izraelici, których świadectwo wiary mamy na kartach Starego Testamentu, stopniowo uświadomili sobie że rzeczywistość, w której żyjemy, ma to znamię, ten charakter przejściowy, że jest przejściowa. Że ta rzeczywistość prowadzi do jakiegoś punktu, który zaledwie przeczuwamy, i ten punkt to będzie przejście świata do jakiejś nowej formy istnienia. Niektórzy spodziewali się, że nastąpi ona bardzo szybko. Inni ostrzegali, że tego rodzaju oczekiwania są złudne, że to od Boga zależy, kiedy nastąpi ten fakt, który w obiegowym nauczaniu, czy w obiegowym postrzeganiu otrzymał nazwę końca świata. Ale to właśnie apokaliptyka, ta forma myślenia, ta forma pobożności, ta forma wiary, rozwinęła się i kładła nacisk na to, żeby ludziom uświadomić że to, w czym żyjemy, to, czym jesteśmy, to nie wszystko. Że przyjdzie rzeczywistość nowa. I ta apokalipsa i apokaliptyka rozpowszechniły się zwłaszcza w ostatnich wiekach ery przedchrześcijańskiej. Istniało wtedy przeogromne napięcie, oczekiwanie na jakąś Bożą interwencję. Doskonale wiemy, że nastąpiła ona w osobie Jezusa Chrystusa, ale kiedy nastąpiła w osobie Jezusa Chrystusa to pojawiło się zarazem — i może to brzmieć bardzo dziwnie ale wydaje się, że tak właśnie było — pewne rozczarowanie.

Na czym to rozczarowanie polegało? Otóż polegało ono na tym, że być może apostołom, a w każdym razie niektórym z nich na pewno, i tym pierwszym pokoleniom chrześcijan, tych którzy uwierzyli jako pierwsi, przyszła do głowy taka myśl: *Skoro Bóg zesłał swojego Syna, skoro Syn Boży stał się człowiekiem, skoro dokonał zbawienia, to jaki jeszcze ma sens istnienie świata i człowieka? Jaki jeszcze ma sens trwanie tego porządku? Czy przyjdzie Jezusa Chrystusa — tak myśleli sobie — nie powinno oznaczać spełnienia świata? Czy nie powinno być tak, że teraz Bóg dokończy już tego porządku, że doczesność skończy się i przejdzie w wieczność? Z całą pewnością istniały w pierwszych pokoleniach chrześcijan takie bardzo silne nadzieje eschatologiczne tzn. nadzieje na eschaton co po polsku znaczy *na koniec*. Spodziewano się, że skoro przyszedł Jezus, skoro widzieli na własne oczy Syna Bożego, skoro słyszeli to, czego nauczał, skoro dokonało się zbawienie w krzyżu i zmartwychwstaniu, to po co jeszcze świat istnieje? I po co jeszcze istnieje człowiek? I jaki jest sens istnienia chrześcijan w świecie, w którym nadal jest grzech, nieporządek, bałagan, zamęt? Myślano sobie tak: skoro przyszedł Jezus Chrystus, skoro Syn Boży stał się człowiekiem, to czy świat nie powinien w Niego uwierzyć? Czy wszyscy nie powinni pójść za Nim? Czy wszyscy nie powinni stać się dobrzy? I tak dobrzy, iżby ze świata zniknęłyby wojny, nieszczęścia, walki, zmagania, konflikty, zawiści, podstęp i rozmaitego rodzaju niesprawiedliwości!*

To były dylematy tamtych ludzi. I co się okazało? Okazało się też i to, że kiedy czas upływał to niektórzy z tych chrześcijan, a nie były to tylko pojedyncze jednostki, tylko nawet całe wspólnoty, myśleli sobie tak: „A czy warto w ogóle czekać? A czy warto być chrześcijaninem? Co to znaczy być chrześcijaninem w świecie, w którym chrześcijanie są nadal prześladowani? Jaki jest sens Bożego czynu zbawczego w Jezusie Chrystusie, jeżeli ci, którzy w Niego wierzą, cierpią prześladowania?” Proszę zatem zwrócić uwagę, że pierwsze pokolenia chrześcijan stanęły wobec niezwykle trudnych pytań. Można by powiedzieć, że te pytania pod wieloma względami są podobne do pytań, które wcześniej czy później stawia sobie każdy z nas. Można by za egzystencjalnym filozofem Heideggerem nazwać te pytania egzystencjalnymi. Otóż każdy z nas dochodzi do jakiegoś punktu w życiu, kiedy zadaje sobie pytanie: „A czy warto się trudzić? Czy warto się męczyć? Czy warto pracować, czy warto zbierać, czy warto odkładać, czy warto cierpieć, czy warto się poświęcać, czy warto żyć?” — zadaje sobie człowiek i to pytanie. Oczywiście ci, którzy nie znajdują na te pytania żadnych rozsądnych odpowiedzi, i którzy są bądź bardzo odważni bądź w ogóle im brakuje odwagi — niezgłębiona jest dusza takich ludzi — są tacy, których te pytania i brak odpowiedzi na nie popychają do samobójstwa. I kończą tak, jak gdyby jedyną ich matką była rozpacz i beznadziejność.

I coś podobnego działo się w tamtych pokoleniach. Coś podobnego dzieje się również i dzisiaj, zwłaszcza w tym okresie post-przemysłowym, w okresie przejścia od jednego stulecia do drugiego, i od jednego tysiąclecia do następnego tysiąclecia, zadajemy sobie pytanie o porządek świata, o sens świata, i o sens naszych w nim zaangażowań. Właśnie w odpowiedzi na te pytania pojawiła się Apokalipsa. Św. Jan próbuje odpowiedzieć chrześcijanom w jego czasach na te pytania, które dręczyły ich, i które się przed nami pojawiają. Próbuje im odsłonić przyszłość, już nie tę przyszłość bardzo bliską, chociaż jak zobaczymy w listach do 7 Kościołów będzie mówił również o ich obowiązkach na co dzień, na dziś, i na jutro. Ale próbuje również sięgnąć poza tę przyszłość doraźną, i próbuje powiedzieć im coś głębszego o nich samych, o Kościele, o roli Kościoła, o świecie. Ten gatunek nazywany apokaliptyką chce zrozumieć świat, próbuje zrozumieć świat, próbuje odkryć tajemnice

świata, tajemnice kosmosu, ale jednocześnie próbuje odkryć tajemnice przeszłości.

Przeszłość bowiem ma to do siebie, że ponieważ jest całkowicie nieodgadniona, to potrafi człowieka niezwykle mocno zaprzętać. I to we wszystkich wymiarach — przyszłość jest czymś, czego nigdy nie możemy do końca przewidzieć i zaplanować. Tylko możemy zaledwie przeczuwać i możemy się cieszyć, jeżeli jest coś pomyślnego zgodnie z naszymi oczekiwaniami, bądź jeżeli unikamy czegoś złego, czego się obawiamy. Tajemnice świata i tajemnice przyszłości to są te dwa wymiary myślenia apokaliptycznego.

Powiedzmy najpierw o autorze Apokalipsy słów parę. Dookoła tego narosła bardzo obfita literatura. Są całe biblioteki, w których mądrzy komentatorzy sprzecząją się, kto był autorem Apokalipsy. Spróbujmy to wszystko streścić i zebrać w jedno. Wg. tradycji starochrześcijańskiej, której najstarsze świadectwa sięgają połowy II wieku, czyli ok. roku 150, czyli są to bardzo wczesne świadectwa, autorem Apokalipsy był św. Jan, autor czwartej Ewangelii kanonicznej, a więc św. Jan Ewangelista. Przypomnijmy sobie krótko jego życie, bo tylko wtedy, kiedy zwrócimy uwagę na jego życie będziemy mogli zrozumieć jego księgę. Otóż możemy wnosić o jego życiu na podstawie tego, co wiemy o nim z Ewangelii. Wiemy, że był najmłodszym spośród apostołów. Kiedy była Ostatnia Wieczerza, to Jan był chłopcem, który spoczywał na piersiach Jezusa. Taki powiedzmy sobie beniaminek wśród apostołów. Wiemy też, że kiedy Jezus został pojmany, i kiedy został następnie osądzony, i później prowadzony był na śmierć, apostołowie pouciekali — z wyjątkiem Jana, który był pod krzyżem. Już kiedyś państwu mówiłem, że w moim przekonaniu jest to znak, że kiedy był pod krzyżem, nie miał jeszcze 13 lat. Dlaczego? Bo z chwilą, gdy w świecie żydowskim chłopiec osiąga 13 lat, a dziewczynka — 12 lat, staje się pełnoletni i odpowiada za wszystko tak, jak odpowiada dorosły.

Ta granica jest w żydowskim prawie po dzień dzisiejszy. Ktoś powie tak: „Ależ dwunasto czy trzynastoletni chłopiec to zupełnie dziecko”. W naszych warunkach tak, ale w warunkach Bliskiego Wschodu — proszę zwrócić uwagę na te dramaty, które dzisiaj rozgrywają się w Ziemi Świętej, że tam giną chłopcy dwunasto, trzynasto, czternasto i piętnastoletni. Oni jakby wcześniej dojrzewają. Podobnie jak u nas w okresie Powstania Warszawskiego 12 - 15 letni pełnili funkcje, zadania, których dzisiaj — w czasach spokoju — nie podjąłby się człowiek dorosły.

Otóż Jan był zbyt młody, żeby mogli go aresztować, żeby mogli go pojmać, żeby mogli go osądzić. Dlatego mógł bezkarnie, jeżeli tak można powiedzieć, być pod krzyżem, bo nikt nie chwytą, nie łapie, nie rozprawia się z dzieckiem — chyba że jest to tak rażąca niesprawiedliwość, z jaką mamy do czynienia choćby dzisiaj na Bliskim Wschodzie, kiedy do tych dzieci się strzela. Ale w starożytności tego nie było, przynajmniej to nie była zasada. Zasada była inna, nie wolno było dzieci w jakikolwiek sposób dręczyć. Jeżeli więc Jan miał ok. 12 - 13 lat w roku 33 czyli wtedy, kiedy Jezus umierał, to możemy się domyślać, że urodził się ok. roku 20. Zatem był najmłodszy w gronie apostołów. Możemy sobie wyobrazić też, że męka i śmierć Chrystusa, na które patrzył własnymi oczami, wywołały u niego bardzo silną reakcję i trwale zapadły mu w pamięć. Ślady tego widać w jego Ewangelii. Tam gdzie mowa o męce Jezusa widać, że ta Ewangelia św. Jana pełna jest emocji, pełna jest wspomnień. Ale posuńmy się dalej. Gdy Jezus umarł, Jan miał kilkanaście lat. Następnie Kościół krzepnie, Ewangelia rozchodzi się po całym świecie, Jan rośnie. I kiedy chrześcijaństwo jest już na terenie Palestyny, Syrii, dzisiejszego Libanu, dzisiejszej Turcji, dzisiejszej Grecji, Jan jest mężczyzną, który ma 50 - 60 lat, jest mężczyzną dorosłym.

I na czym znów polega nowy paradoks? Otóż na tym, że ten dorosły mężczyzna patrzy na Chrystusa przez pryzmat dziecka, które widziało Jego mękę, ale jednocześnie przez pryzmat dorosłego chrześcijanina, który przez ogromną większość swojego życia przeżywa Jezusa dzięki sakramentom. Ewangelia św. Jana jest najbardziej sakramentalna ze wszystkich. Św. Jan podkreśla zwłaszcza rolę wody, która jest obrazem sakramentu Chrztu, oraz rolę krwi, która jest obrazem sakramentu Eucharystii. I przypominamy sobie wszyscy ten epizod — tylko św. Jan o tym wspomina — że gdy żołnierz rzymski podszedł do Jezusa i miał łamać Mu nogi po to, by ciało zwisło i szybciej umarł, ale stwierdził, że Jezus już nie żyje, to żeby się upewnić, że na pewno nie żyje, przebił włócznią Mu bok. „I natychmiast wypłynęła krew i woda.” W ten sposób św. Jan chce powiedzieć, że na krzyżu Jezusa mają początek dwa podstawowe sakramenty: Chrzest i Eucharystia. Że Chrzest i Eucharystia czerpią swoją zbawczą moc ze śmierci Jezusa Chrystusa. Zwraca uwagę na rzeczywistość, ale jednocześnie zwraca uwagę na ten wymiar sakramentalny. Św. Jan przeżywał zatem Jezusa

niesłuchanie mocno, i związek z Nim, niesłuchanie mocno.

Okolo roku 66 - 68 czyli wtedy, gdy Jan miał lat 46 - 48 lat, wybuchły bardzo silne prześladowania chrześcijan. Te prześladowania miały miejsce za Nerona. Był to pierwszy cesarz, który okrutnie z chrześcijanami się obszedł. To on również kazał wzniecić pożar w Rzymie, a odpowiedzialnością za pożar obarczył chrześcijan. Tych czasów dotyczy słynna powieść Sienkiewicza „Quo vadis” — *Dokąd idziesz?* Otóż na św. Janie, na jego psychice, te prześladowania musiały wywrzeć ogromny wpływ. Oto Jan widział że ci, którzy uwierzyli w Jezusa, muszą teraz przejść przez próbę krwi, przez próbę męczeństwa. Oczywiście część z tych ludzi traciła wiarę. Część z tych ludzi ulegała rozmaitym naciskom prześladowców czy oprawców. Ale znacznie większa liczba, jak się okazało z perspektywy czasu, stała się zaczynem chrześcijan. I w ten sposób, już wtedy, wykuła się taka formuła, iż *krw krew męczenników jest nasieniem chrześcijan*.

To prześladowanie za czasów Nerona skończyło się w r. 68 śmiercią samego Nerona. Potem trochę jakby się wszystko uspokoiło, ale uspokoiło się wszędzie, tylko nie w Palestynie. Bo oto w tym czasie w Palestynie wybuchło powstanie przeciwko Rzymianom, i w r. 70 Rzymianie oblegli Jerozolimę, oblegli świątynię, i po półtora roku oblężenia zajęli cały ten teren. Państwo wiedzą, że na tym terenie wybudowane są dwa meczety: jeden znany jako Kopała Skały bądź Meczet Omara, a drugi jako Meczet El-Aksa. I dzisiaj państwo wiedzą, ponieważ nawiązujemy także do tego, co dzieje się w naszych czasach — bo to są te analogie, które wiążą nam tę historię i pozwalają ją zrozumieć — że właśnie te meczety czy to miejsce jest ogromną kością niezgody pomiędzy Żydami i Arabami. To właśnie do tych meczetów poszedł pod koniec września, bodaj 28 września, Ariel Sharon, który na początku lat osiemdziesiątych rozprawił się krwawo z kilkudziesięcioma tysiącami uchodźców arabskich na terenie Libanu. Zatem jest postrzegany jako bezwzględny prześladowca Arabów. Pod koniec września poszedł na teren meczetów, a intencja była jasna: zburzyć meczety, aby można było odbudować tamtą dawną świątynię. I na terenie Palestyny, na terenie Izraela dzisiaj, już podejmowane są bardzo poważne kroki, żeby odbudować świątynię. Ale odbudowa świątyni oznacza konieczność zburzenia tych meczetów. Przypominam, że konieczność zburzenia meczetów oznacza, w moim przekonaniu, wojnę na Bliskim Wschodzie, a być może i dalej. Dlatego, że meczety są świętością dla świata arabskiego. I kto wie, czy być może to zarzewie tego terenu świątynnego stanie się zarzewiem konfliktu, którego skutków nie sposób w ogóle przewidzieć. Więc jest to jeden z tych elementów, o których w naszych czasach bardzo mało się mówi, prawie w ogóle się nie pisze, a jeżeli się pisze, to tak między wierszami, a jest to jeden z istotnych zarzewi konfliktów i napięć, z którymi teraz w Ziemi Świętej mamy do czynienia.

Wróćmy do roku 70. Świątynia została zburzona, i chrześcijanom udało się przetrwać. Dlaczego? Dlatego, że przed oblężeniem przez Rzymian chrześcijanie schronili się do Pelli, na terenie dzisiejszej Jordanii. Tam przeżyli, przeczekali, i wydawało się, że można było powiedzieć tak: *Żydzi nie uwierzyli w Jezusa, Bóg ich ukarał. Natomiast myśmy uwierzyli w Jezusa* — tak myśleli chrześcijanie — *i Bóg pozwolił nam przetrwać*. Więc pojawił się jakiś oddech, ale ten oddech trwał niestety bardzo krótko. W r. 81 doszedł do władzy nowy cesarz – Domicjan. Pod koniec jego panowania, które zakończyło się w roku 96, gdzieś ok. 94 roku, wybuchły nowe prześladowania. Chrześcijanie byli prześladowani tak, jak za czasów Nerona. Domicjana nazywano nawet drugim Neronem. I wtedy ci, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, przeżyli kolejny kryzys. Bo oto wydawało im się, że Pan Bóg pozwolił im przetrwać zagładę Jerozolimy po to, żeby ich teraz uśmiercić rękami siepaczy Domicjana. Jedni zaczęli wątpić, tak jak przedtem, inni zaczęli się łamać, jeszcze inni wiernie trwali przy tej wierze. A wszyscy zadawali sobie pytanie: *Jak to będzie? Czy losem chrześcijan będą bez przerwy prześladowania, i ulga w tych prześladowaniach? Jaki będzie los tych, którzy żyją i przeżyli, oraz los tych, którzy pomarli?*

Pamiętajmy, że wiara w Jezusa Chrystusa miała wtedy zaledwie kilkadziesiąt lat. I właśnie w odpowiedzi na te dylematy, na te ciężkie czasy nowych prześladowań, pojawia się Apokalipsa. Św. Jan miałby wtedy, kiedy Apokalipsa powstawała — bo została napisana ok. roku 95 — miałby 75 lat. Uczeni sprzecniają się, czy siedemdziesięcioletni starzec był w stanie zapisać słowa Apokalipsy — czy też, co jest równie prawdopodobne a może nawet bardziej prawdopodobne, w Apokalipsie znajdujemy jego intuicje, jego nauczanie, jego słowa. Natomiast ta Apokalipsa została napisana przez kogoś młodszego, kto był wyczulony na te słowa Jana Ewangelisty, kto znał dobrze jego nauczanie, kto wiedział dobrze, co Jan myśli. I to właśnie ów anonimowy redaktor,

ów anonimowy autor, dokonał zapisu Apokalipsy. Tu musimy powiedzieć, że chociaż wylano morze atramentu, jeżeli chodzi o wyjaśnienie tej kwestii, to do dzisiaj nie ma zgody, czy to sam św. Jan napisał Apokalipsę, czy też ktoś z jego bliskiego otoczenia. Tradycja mówi o wyspie Patmos, i tak również mówi o tym Apokalipsa. Wyspa Patmos znajduje się przy wybrzeżu dzisiejszej Turcji, aczkolwiek należy dzisiaj do Grecji. Jest to niewielka wyspa, na którą w starożytności kierowano skazańców. Jeżeli kogoś skazywano na banicję, to go wywożono statkiem właśnie na wyspę Patmos. A następnie pilnowano, żeby stamtąd się nie wydostawali. I najprawdopodobniej św. Jan, autor czwartej Ewangelii, znalazł się na wyspie Patmos, i tam dopełnił swojego życia. Dzisiaj ci, którzy udają się na Patmos, mogą zobaczyć grootę św. Jana zamienioną przez Kościół prawosławny na kaplicę, gdzie czci się pamięć jego pobytu, i jego śmierci również. Tradycja wczesnochrześcijańska mówi, że był jedynym z apostołów, który umarł w sposób naturalny, a nie śmiercią męczeńską.

I zanim przejdziemy do poszczególnych listów, co zaczniemy dopiero za miesiąc, spróbujmy przyjrzeć się początkowi Apokalipsy. Dlatego, że z tego początku możemy znów wnosić bardzo wiele o tamtych chrześcijanach, i o nas samych. Apokalipsa rozpoczyna się takimi słowami:

Objawienie Jezusa Chrystusa,
które dał Mu Bóg,
aby ukazać swym sługom, co musi stać się niebawem,
a On wysławszy swojego anioła
oznajmił przez niego za pomocą znaków
słudze swojemu Janowi.

Zatem Apokalipsa oznacza *objawienie, ukazanie czegoś, czego inni nie widzą*. Jest to taka funkcja bardzo prorocka, bo przecież prorok był nazywany w Starym Testamencie *widzący*. Dlatego, iż widział więcej niż przeciętny człowiek, widział i rozumiał. I dlatego na tej podstawie mógł wyciągać wnioski. I tutaj też mamy *objawienie Jezusa Chrystusa, które dał Mu Bóg*. Zatem autor Apokalipsy odwołuje się do Boga, w którego niezłomnie wierzy, ale jednocześnie odwołuje się do Jezusa Chrystusa. Właśnie dlatego nie jest już tylko Żydem, który wierzy w Boga jedynego, lecz jest chrześcijaninem, który wyznaje Jezusa Chrystusa *aby ukazać swym sługom, co musi stać się niebawem*.

Otóż ten autor Apokalipsy widzi, że jego pokolenie jest zniecierpliwione. Tak prawdę mówiąc, to w każdym pokoleniu chyba pojawia się taka niecierpliwość. Każde pokolenie ludzi, zwłaszcza chrześcijan, ma swoje rozterki, dylematy, pytania. Przypomnijmy sobie choćby rozterki, dylematy pokolenia okresu międzywojennego, okresu wojny, albo okresu stanu wojennego itd. Otóż ludzie, zwłaszcza w czasach kryzysu, w czasach gwałtownej przemiany, przemian społecznych, politycznych, gospodarczych mają pytania, których kiedy indziej nie stawiają. I to jest odpowiedź na te pytania, które mieli współcześni św. Jana, co *oznajmił za pomocą znaków*.

Zawsze, kiedy jest mowa o przyszłości, musimy być pokorni. Dlatego, że nikt z nas, nawet prorocy, nawet ci, których Bóg do tego natchnął, nie znają przyszłości z tą oczywistością, z jaką znamy teraźniejszość i przeszłość. Przyszłość zawsze niesie jakąś niewiadomą. Zatem co do przyszłości możemy mieć tylko pewne znaki. I te znaki możemy odczytywać, rozpoznawać. I autor też powołuje się na pewne znaki, św. Jan zwraca uwagę na pewne znaki. Podczas Soboru Watykańskiego Drugiego ten sposób myślenia o rzeczywistości otrzymał nazwę *znaków czasu*. Trzeba przyglądać się znakom czasu, żeby na ich podstawie nie tyle przewidywać, co raczej kształtować i rozpoznawać przyszłość.

Ten poświadcza, że słowem Bożym
i świadectwem Jezusa Chrystusa
jest wszystko, co widział.

Zatem punktem wyjścia Apokalipsy jest przekonanie, że nauka tutaj zawarta, że sposób patrzenia tutaj zawarty, że wiara, która ożywia Apokalipsę, jest zakorzeniona w Bogu i w Jezusie Chrystusie. I na tym polega specyficznie chrześcijańskie podejście do przyszłości. Bez przerwy pojawiają się ludzie, którzy twierdzą, że mogą nam przyszłość przepowiedzieć. Dla nas jednak, jako chrześcijan, tylko to może być wiarygodne, co jest silnie zakorzenione w Bogu i w Jezusie Chrystusie. Jeżeli ktoś chce nam prawić rzeczy o przyszłości bez odniesienia do Jezusa Chrystusa, my jako chrześcijanie mamy obowiązek powiedzieć, że jest to zupełnie bezwartościowe, jest to siczka. Dla

chrześcijanina tym fundamentem dziejów we wszystkich wymiarach: przeszłości, terażniejszości ale przyszłości zwłaszcza, jest Bóg i Jezus Chrystus. Bo w Nim, jak za chwilę zobaczymy, jest zakorzeniona nasza nadzieja. I tylko wtedy możemy ufnie popatrzeć w przyszłość, jeżeli opieramy się na takim właśnie trwałym fundamencie. I dalej czytamy:

Błogosławiony, który odczytuje, i którzy słuchają słów Proroctwa,
a strzegą tego, co w nim napisane,
bo chwila jest bliska.

Z tego możemy wnosić, że Apokalipsa miała charakter listu, tak np. jak dzisiaj list pasterski. *Błogosławiony, który odczytuje* — w poszczególnych kościołach pojawiali się wierzący, wierni — ludzie, którzy odczytywali tekst Apokalipsy — robili to osobiście, jednostkowo; oraz błogosławieni są ci, którzy *słuchają* — ci są już w liczbie mnogiej. Tam w liczbie pojedynczej, a tutaj w liczbie mnogiej. Zatem Apokalipsa stanowiła swego rodzaju pismo okrężne. Tzn. był zwój, był rękopis, być może były zrobione rozmaite jego odpisy. I ci lektorzy poruszali się z kościoła do kościoła, i tam czytali te słowa. Te słowa miały przynieść umocnienie na czas kryzysu, na czas prześladowań, na czas zwątpienia, na czas beznadziejności. Punkt wyjścia jest jasny: *jeżeli chcesz znać przyszłość, zaufaj Bogu i Jezusowi Chrystusowi. I błogosławiony jest ten, który tak czyta, oraz błogosławieni są ci, którzy tak słuchają. I strzegą tego, co w nim napisane, bo chwila jest bliska.* Zatem Jan daje do zrozumienia, że każdy człowiek, który jest niepewny co do przyszłości, a może być słusznie niepewny, bo czasy są trudne, musi dokonać indywidualnego, osobistego wyboru. Że każdy człowiek jest wezwany do tego, by opowiedzieć się za Bogiem i za Jezusem Chrystusem. Wierzmy wspólnie, ale odpowiedź, którą dajemy Bogu, musi być osobista. I właśnie z tej osobistej wiary rodzi się wiara wspólnoty, rodzi się siła wspólnoty. I posłuchajmy dalej:

Jan do siedmiu Kościołów, które są w Azji:

A więc Apokalipsa, te listy, którymi się będziemy w tym roku przyglądać, mają swój adres: do siedmiu wspólnot, które są w Azji. To jest Azja Mniejsza, dzisiejsza Turcja. Będziemy opowiadać sobie szczegółowo o lokalizacji poszczególnych Kościołów. Dlaczego siedem? Odpowiadam, że tak naprawdę nie wiemy. Ale *siedem* było w starożytności, podobnie jak dzisiaj, liczbą symboliczną. Mówiono, że jest siedem ciał niebieskich: słońce, księżyc i pięć planet. Mówiono, że jest siedem dni tygodnia, które regulują rytm życia człowieka. To siedem jest to znak pełni, znak błogosławieństwa, znak dostatku. Można by powiedzieć tak: te listy są do siedmiu Kościołów. Ale siedem — to znaczy do wszystkich Kościołów. Te siedem Kościołów jest jakby sednem całego Kościoła. Zatem trzeba będzie to czytać i rozważać wszędzie, i trzeba będzie to czytać i rozważać zawsze. Najpewniej tak właśnie Kościół pojął Apokalipsę św. Jana, skoro zachowała się w Kanonie po dzień dzisiejszy. I chociaż jest pismem bardzo trudnym, to każde pokolenie odkrywa w niej nowe treści. I czytamy tak:

Łaska wam i pokój
od Tego, Który jest, i Który był i Który przychodzi,
i od Siedmiu Duchów, które są przed Jego tronem,

Apokalipsa przynosi najpierw pozdrowienie pokoju. Proszę popatrzmy — to jest też bardzo znaczące — w czasie niepokoju, w czasie zamętu, w czasie kryzysu, w czasie niepewności, to, co można uzyskać dla drugiego człowieka, to, co można mu podarować, to jest błogosławieństwo pokoju. W świecie pełnym zamętu pokój jest wielkim darem. Ale dawcą pokoju jest Bóg, *Ten, Który jest, Który był i Który przychodzi.* Zatem jest tu bardzo silna wiara, że w tym świecie pełnym konfliktów, pełnym prześladowań w tamtych czasach chrześcijan, pokój można zachować wtedy, kiedy wiara człowieka jest mocno zakorzeniona w Bogu. Bo Bóg jest, i był, i nieustannie przychodzi. Tak autor nawiązuje do starotestamentowego objawienia się Boga Mojżeszowi, kiedy to Bóg u stóp Synaju mówi do Mojżesza: *Moje imię jest Jestem.* Jestem dla ciebie, jestem z tobą, przychodzę aby ci pomóc, przychodzę aby cię wesprzeć. I dlatego po tym objawieniu się tego imienia następują słowa: *Nie lękajcie się.* Przypomnijmy, że te słowa zostały podjęte na początku pontyfikatu Jana Pawła II, i stały się mottem tego pontyfikatu. I tu błogosławionym jest ten, kto otrzymuje tę łaskę i dar pokoju od Boga,

i od Jezusa Chrystusa, Świadka Wiernego,
Pierworodnego umarłych
i Władcy królów ziemi.

Drugie odniesienie. Jedno: Bóg, drugie: Jezus Chrystus. Pamiętajmy, że jeszcze teologia nie była tak rozbudowana jak w naszych czasach. Pamiętajmy, że istnieje różnica pomiędzy wiarą, a teologią. Wierzą ludzie najprostsi, wierzą dzieci, wierzą ludzie starsi, wierzą ludzie bardzo mądrzy — ale również ludzie, którzy nie mają wykształcenia. Wiara jest darem dla każdego. Teologami mogą być niektórzy. Teologia nie jest konieczna dla wiary, czasami może tej wierze nawet przeszkadzać albo ją utrudniać — wtedy jest nieporozumieniem. Na ogół jednak zadaniem teologii jest to, by wiarę uzasadniać, podbudować i rozwijać. Ci pierwsi chrześcijanie nie mieli jeszcze rozbudowanej teologii. Jeszcze nie wiedzieli, jak nazywać Jezusa Chrystusa. Nie mieli jeszcze wykrystalizowanej koncepcji Trójcy Świętej tak, jak my mamy, bo dochodzili do niej stopniowo. Wiedzieli, że Bóg jest jedyny, i wiedzieli, że Jezus jest Bogiem. Ale nazywali Jezusa bardzo ostrożnie, bo nie wiedzieli jak pogodzić to z jedynością Boga. Pamiętajmy, że jeszcze kilka wieków później, w czasach św. Augustyna, trwały spory co do Trójcy Świętej — jak uczyć o Bogu, który jest, jeden, jedyny w trzech osobach. Powstawały traktaty De Trinitate — *Trójca Święta*.

Tutaj Jezus jest nazwany *Świadkiem Wiernym, Pierworodnym umarłych*. Proszę zwrócić uwagę, że tym chrześcijanom uciskany, prześladowany, wskazuje się na przykład Jezusa mówiąc: to jest Świadek Wierny. A więc Jezus w wierny sposób, w wiarygodny sposób zaświadczył o Bogu. W ten sposób dla tych umęczonych chrześcijan Jezus jest dawany jako przykład wierności, stałości. Tą cnotą, do której są wezwani, do której są powołani, jest właśnie cnota wytrwałej cierpliwości, wierności. I w tej cnocie przoduje Jezus, Pierworodny spośród umarłych. Męka Jezusa Chrystusa musiała wyrzucić na św. Janie ogromne wrażenie, skoro całą swoją Apokalipsę rozpoczyna od nawiązania, od aluzji, do śmierci Jezusa:

i który przez swą krew uwolnił nas od naszych grzechów,
i uczynił nas królestwem - kapłanami dla Boga i Ojca swojego,

Zwróćmy uwagę, że Jan podkreśla stałość Jezusa, wierność Jezusa, a jednocześnie ukazuje, na czym polegało dzieło zbawcze: *przez swą krew uwolnił nas od grzechów*. Potrzebna była krew Jezusa po to, aby ludzkość została odkupiona. Jan nie tłumaczy dlaczego tylko opisuje, jak to było. Działanie Boże nie do końca da się zracjonalizować. Tak samo jak w życiu człowieka nie wszystko da się zracjonalizować. *I uczynił nas królestwem — kapłanami dla Boga i Ojca*. Zatem skutkiem wybawienia od grzechów jest uczynienie nas królestwem kapłańskim dla Boga, a więc jest nowa godność człowieka. Proszę niech państwo zwrócą uwagę, że w ten sposób ten stary Jan Ewangelista w najgłębszym języku, jaki tylko jest możliwy, ukazuje sedno dzieła zbawczego Jezusa, i ukazuje sedno godności chrześcijanina. To niedługo później, w nawiązaniu do Apokalipsy, i w nawiązaniu do Ewangelii św. Jana, tak zwani Ojcowie Kościoła będą wołać: *Poznaj swoją godność, chrześcijanie!* I dalej:

Jemu chwała i moc na wieki wieków! Amen.
Oto nadchodzi z obłokami,
i ujrzy Go wszelkie oko i wszyscy, którzy Go przebili.
I będą Go oplakiwać wszystkie pokolenia ziemi.
Tak: Amen.

Jan ukazuje na paradoks pomiędzy marną śmiercią Jezusa przebitego na krzyżu, a chwałą, która czeka Go od tych, którzy będą Go wyznawać. Oto Ten, który został przebity, wzgardzony i upokorzony, oto On będzie wyznawany przez nieprzeliczone rzesze ludzi. Zatem Jan daje poznać swojemu pokoleniu, że jego sytuacja, i sytuacja tego pokolenia, nie jest ostateczna, że po tych prześladowaniach przyjdą inni, i inni będą wyznawać Jezusa. I dalej:

Jam jest Alfa i Omega, mówi Pan Bóg,
Który jest, Który był i Który przychodzi,
Wszchemogący.

Autor Apokalipsy, św. Jan, nawiązuje tutaj do alfabetu greckiego. Alfa (Α) to jest pierwsza litera alfabetu greckiego, Omega (Ω) — ostatnia. Ja jestem początek i koniec — to jest symboliczny sposób mówienia. Pamiętajmy, że w tamtych czasach ludzie umieli cenić alfabet. Przecież ogromna większość była niepiśmienna, to byli analfabeci. Zatem w ten symboliczny sposób Jan wskazuje, że Jezus jest początkiem i końcem wszystkiego — Alfa i Omega. Nawiązanie do tego symbolu znajdujemy zwłaszcza w okresie Wielkanocy. Państwo pamiętają ten przepiękny ryt w Wielką Sobotę, kiedy to na potężnej świecy, na paschale wyrte są litery alfa i omega, początek i koniec. I właśnie ta nadzieja jest podstawą wszelkiej chrześcijańskiej nadziei. To znaczy Jezus Chrystus jest dla nas Początkiem — przez duże „P”, i jest dla nas Końcem — przez duże „K”. Więc wszelkie myślenie o przeszłości, i wszelkie myślenie o przyszłości, to jest myślenie pomiędzy tymi dwoma biegunami. Ale obydwą stanowi Jezus Chrystus. Proszę popatrzmy jak głęboko chrystologiczna, a nawet więcej — chrystocentryczna — jest ta wizja, którą ukazuje nam autor Apokalipsy. Ileż ten człowiek musiał mieć wiary! I zawsze muszą być tacy ludzie jak on, którzy zagrzewają innych wzbudzając nadzieję dzięki mocy swojej własnej wiary. Właśnie człowiek wiary potrafi, jak mówił o tym Jan Paweł II, *przekroczyć próg nadziei*. I dalej:

Ja, Jan, wasz brat
i współuczestnik w ucisku i królestwie, i wytrwałości w Jezusie,
byłem na wyspie, zwanej Patmos,
z powodu słowa Bożego i świadectwa Jezusa.

Ja, Jan, wasz brat. Proszę popatrzmy, że jeżeli komuś chcemy powierzyć swoje losy, jeżeli z kimś chce związać swoje nadzieje — zwłaszcza te, które dotyczą przyszłości — to on musi postrzegać samego siebie jako nasz brat. Jeżeli ktoś się wywyższa i wyróżnia, jeżeli ktoś mówi, że „wiem więcej”, albo że „jestem zupełnie inny” — nie jest godzien zaufania. Otóż tylko tym możemy zaufać, którzy dzielają z nami do końca naszą ludzką kondycję, a więc i nasze rozterki, rozczarowania i trudności. *Współuczestnik w ucisku i królestwie*. To są te dwie strony egzystencji chrześcijan. Z jednej strony ucisk, z drugiej strony — nadzieja królowania. *Byłem na wyspie, zwanej Patmos*.

Doznałem zachwycenia w dzień Pański
i posłyszałem za sobą potężny głos
jak gdyby trąby mówiącej:
«Co widzisz, napisz w księdze
i pošlij siedmiu Kościołom:

Słyszał to wszystko w dzień Pański. Dzień Pański — to niedziela. Niedziela była od początku bardzo silnie związana z eucharystią. Zatem dla Jana punktem wyjścia jest eucharystia. Wszystko to, co ma do powiedzenia drugiemu człowiekowi, w tym braciom, współchrześcijanom, wynika, jest karmione eucharystią. To też jest jakiś punkt odniesienia również dla nas. Że jeżeli chcemy zaufać komuś, to *wiedz Komu zaufaleś*. I tu ten punkt wyjścia jest niesłychanie istotny. Jan mówi: wszystko, do czego doszedłem, wszystko, co chcę wam powiedzieć, wynika z przeżywania dnia świętego — zatem z eucharystii i z modlitwy. Pisze do siedmiu Kościołów:

do Efezu, Smyrny, Pergamonu, Tiatyry, Sardes, Filadelfii i Laodycei.

Kolejne siedem miesięcy to będzie każdy z tych Kościołów, po kolei tak, jak one występują tutaj. Opiszemy sobie, gdzie one się znajdują, jakie były ich dzieje i losy, przeczytamy sobie dotyczący ich fragment Apokalipsy. I spróbujemy rozpoznać, co z tego posłannictwa jest ważne. A to dlatego, że spróbujemy powiedzieć co z tych rozterek, jakie wtedy były, jest nadal aktualne.

I obróciłem się, by widzieć, co za głos do mnie mówił;
a obróciwszy się, ujrzałem siedem złotych świeczników,
i pośród świeczników kogoś podobnego do Syna Człowieczego,
obleczonego [w szatę] do stóp
i przepasanego na piersiach złotym pasem.

Jan opisuje wizję, jaką miał. Ta wizja jest związana ze świątynią Jerozolimską — ale świątyni nie ma. Nie ma też już świeczników, bo wszystko zostało zburzone ponad dwadzieścia pięć lat

wcześniej. Jan tęskni za tą świątynią, i widzi teraz już nie jeden świecznik, ale siedem. Daje w ten sposób poznać, że nowy porządek zbawienia, zapoczątkowany przez Jezusa Chrystusa, jest pełny i doskonały. Widzi postać, przepasaną złotym pasem — tak to opisuje. Ten opis jest podobny do opisu Przemienienia Jezusa na górze Tabor. Czytamy dalej:

Głowa Jego i włosy - białe jak biała wełna, jak śnieg,
a Jego oczy jak płomień ognia.

W takich samych słowach postać Syna Człowieczego opisywało proroctwo Daniela.

Stopy Jego podobne do drogocennego metalu,
jak gdyby w piecu rozżarzonego,
a głos Jego jak głos wielu wód.
W prawej swej ręce miał siedem gwiazd
i z Jego ust wychodził miecz obosieczny, ostry.

Ten miecz obosieczny, który wychodzi z ust, to symbol słów. Słowa, które jest skuteczne, które napomina i karci, które pociesza i uczy. Słowo — mówi prorok Izajasz — jest jak miecz obosieczny, który sięga do wnętrza człowieka i tam wręcz rozdziela jego kości.

A Jego wygląd - jak słońce, kiedy jaśnieje w swej mocy.
Kiedym Go ujrzał,
do stóp Jego upadłem jak martwy,
a On położył na mnie prawą rękę, mówiąc:
«Przestań się lękać!
Jam jest Pierwszy i Ostatni i żyjący.

Jan w spotkaniu z Jezusem Chrystusem lęka się, boi — tak, jak każdy człowiek, który doświadcza głęboko Boga. Ale otrzymuje to polecenie *Nie lękaj się! Jam jest Pierwszy i Ostatni i żyjący.*

Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków
i mam klucze śmierci i klucze Otchłani.
Napisz więc to, co widziałeś,
i to, co jest, i to, co potem musi się stać.
Co do tajemnicy siedmiu gwiazd, które ujrzałeś w mojej prawej ręce,
i co do siedmiu złotych świeczników:
siedem gwiazd - to są Aniołowie siedmiu Kościołów,
a siedem świeczników - to siedem Kościołów.

Takie jest wprowadzenie do tych listów, które będziemy czytać. Co to wszystko znaczy? Znaczy to, że pouczenia, które przyjdą w listach, pouczenia bardzo konkretne, nie są wynikiem ludzkiej refleksji, nie są wynikiem człowieczego namysłu, nie są wynikiem doświadczenia ale są rezultatem, są owocem głębokiej wiary, i głębokiego spotkania za pomocą wizji Jezusa Chrystusa. Jan nam na ten temat już więcej nic nie powie. Zawsze, kiedy mamy do czynienia z mistycyzmem, stajemy na progu tajemnicy, której nie sposób przekroczyć. Tak było w życiu wielu mistyków chrześcijańskich, w doświadczeniu dzieci z Fatimy, w doświadczeniu siostry Faustyny Kowalskiej, i w doświadczeniu tylu innych ludzi, przez które dalej przeniknąć nie możemy. To jest coś takiego, jak nieraz doświadczenie w naszym życiu. Jest jakaś głębia, z którą chcemy podzielić się z innymi, ale w pełni tego odkryć nie możemy. Oto przeżyliśmy coś, co jest wręcz nieprzekazywalne.

Jan daje więc poznać nam że to, czego będzie nas uczył, to, o czym będzie pisał, jest wynikiem głębokiej pobożności, głębokiego spotkania z Chrystusem. W ten sposób, kończąc dzisiejszą konferencję, można powiedzieć jedno. Jan będzie odkrywał przyszłość, przyszłość przed tamtymi Kościołami. Ale chce dać poznać, że prawdziwe, wierne odkrywanie przyszłości tylko wtedy ma sens, gdy wynika z głębokiego spotkania z Bogiem, i z Chrystusem. I że to właśnie Bóg odkrywa Janowi jakieś sedno tego, czym powinna być, i czym powinna się karmić wiara chrześcijańska.

Być może podczas kolejnych miesięcy uda nam się to sedno odkryć, rozpoznać i nieco pogłębić. Na kolejne spotkanie zapraszam państwa w trzeci poniedziałek listopada, to będzie 20 listopada, o tej samej porze. Zajmiemy się wtedy pierwszym spośród listów, bardzo krótkim — dlatego warto będzie mu się przyjrzeć bardzo uważnie — listem do Kościoła w Efezie.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

2 List do Kościoła w Efezie (dn. 20 listopada 2000)

Tematem naszej refleksji w Roku Wielkiego Jubileuszu roku 2000 uczyniliśmy Apokalipsę św. Jana, a w Apokalipsy św. Jana stosunkowo krótkie teksty, mianowicie listy do siedmiu Kościołów. Najwidoczniej ten temat — przynajmniej sam temat, zobaczymy, co z treścią — podobał się państwu, skoro tyle osób przychodzi, i najwidoczniej oczekiwania z tym związane są bardzo duże. Proszę jednak zwrócić uwagę, że w tych nadziejach i oczekiwaniach jest pewien paradoks, którego tak naprawdę nie sposób zrozumieć. Przecież kiedy rozważamy, kiedy czytamy Apokalipsę, kiedy czytamy, kiedy rozważamy Listy do 7 Kościołów w Azji Mniejszej, to po pierwsze oddziela nas od tych Kościołów bardzo duża odległość geograficzna, bo to wszystko miało miejsce na terenie dzisiejszej Turcji, a po drugie zastanawiające jest to, że interesują nas te Kościoły pomimo znacznego dystansu czasowego. Przecież to jest ok. 1900 lat temu, kiedy Apostoł Jan kierował swoje listy do siedmiu Kościołów Apokalipsy.

Byłoby tak, jak powiedziałem na początku, wprowadzając w te konferencje, rzeczą zbawienią, gdybyśmy mogli oglądać przynajmniej np. na przezroczach to, co zostało z tych Kościołów, gdybyśmy mogli zobaczyć miejsca, do których się odnosi ta refleksja. Ale przynajmniej na razie nie można tego zrobić. Choć być może któregoś dnia to sobie zrobimy. Chciałbym jednak państwu zapowiedzieć, że za kilka miesięcy ukaże się w Krakowie album zatytułowany „Ziemia św. Pawła i św. Jana”. Ten album autorstwa pana Stanisława Markowskiego, tego samego, który jest autorem albumu „Ziemia Zbawiciela”, zapewne da nam pojęcie o tych miejscach, które teraz rozważamy. Pan Markowski podczas swojej bytności na terenie Turcji podczas pobytu robił również przezrocza, i może udałoby się go któregoś dnia tu ściągnąć na którąś z naszych konferencji. I wtedy mogliby państwo zobaczyć te miejsca tak, jak one wyglądają dzisiaj, po prawie 2000 lat. Rozmawiałem z nim na ten temat. I kiedy uporządkuje cały ten materiał fotograficzny, może udałoby się odbyć taką właśnie podróż i w przestrzeni, i w czasie.

Na razie jednak musimy się zadowolić jedynie wyobraźnią, i na razie bardziej polegać na spotkaniu z tymi ludźmi, do których Apostoł kierował swoje listy. Parę tygodni temu, kiedy spotkaliśmy się w tym roku po raz pierwszy, zrobiliśmy sobie ogólne wprowadzenie do tych listów. Powiedzieliśmy, że jest ich siedem. A siedem wyraża doskonałość, wyraża pełnię. Będziemy teraz, jeżeli Pan Bóg pozwoli nam wszystkim ten czas przeżyć, przez kolejne siedem miesięcy czytać jeden z tych listów.

Dzisiaj chciałem zwrócić uwagę państwa jeszcze na pewną rzecz ogólniejszą. Mianowicie te wszystkie listy są stosunkowo krótkie. Za chwilę przeczytamy pierwszy z nich, i długość wszystkich jest jednakowa. Można sobie wyobrazić, że gdyby przyszło je zapisać, zarówno dzisiaj, jak w starożytności, to do zapisania ich wystarczyłyby kawałek papirusu albo pergaminu wielkości kartki papieru. Zatem były to króciutkie pisma. Możemy też sobie wyobrazić, że kiedy taki mały zwój pergaminu bądź papirusu trafiał do tego Kościoła, to trafiał tam do starszego, do przełożonego, do biskupa tego Kościoła. I ów biskup stawał przed ludźmi tak, jak teraz my jesteśmy, przed wiernymi, i czytał im list od Apostoła. Niech państwo sobie spróbują wyobrazić tę przedziwną atmosferę sprzed około 1900 lat. Musiało to być bardzo dziwne, i jednocześnie musiało to być bardzo wzruszające.

Oto wspólnota w danym mieście — dzisiaj będziemy czytali List do Kościoła w Efezie. Było to wielkie miasto, na czasy starożytne była to prawdziwa metropolia. Liczyła około milion ludzi. I w tym mieście portowym nad Morzem Śródziemnym zbiera się miejscowy Kościół, miejscowa wspólnota — może wyglądało to dokładnie tak, jak my tutaj teraz się zbieramy, kilkadziesiąt czy kilkaset ludzi — i staje przed nimi miejscowy biskup albo przełożony tego Kościoła, bo nie wszędzie jeszcze biskupi byli, w Efezie był na pewno — i czyta im list od św. Jana Apostoła. Św. Jan przebywa w tym czasie na wyspie Patmos, jest starcem. Dla nich jednak św. Jan jest absolutnym autorytetem. Dlaczego? Bo w tych czasach, a miało to miejsce ok. roku 95, za rządów cesarza Domicjana, św. Jan, ten starzec, był jedynym Apostołem, który przeżył, i który osobiście znał Jezusa Chrystusa. Zatem oni go traktowali z ogromną czcią, z ogromnym szacunkiem. Słuchali jego słów z ogromnym namaszczeniem. Wszystko co powiedział, było dla nich bardzo ważne. Cieszył się przeogromnym autorytetem. Nie wiemy, czy sam Jan odwiedził wtedy te siedem Kościołów. Jest to bardzo prawdopodobne, bo te wszystkie Kościoły leżą od siebie oddalone o ok. 70 – 100 km. Łącznie więc, żeby przebyć całą tą drogę i odwiedzić wszystkie siedem kościołów, trzeba by przebyć ok. 800

– 900 km. W czasach starożytnych podróżowano bardzo dużo. Oczywiście proporcjonalnie nie tyle, co dzisiaj, ale zważywszy na mizerne środki transportu podróżowano bardzo dużo. Dziennie można było pokonać ok. 30 km, i takie były trasy owych podróży. Jeżeli więc założymy, że Apostoł, ten starzec, sam objechał te Kościoły, to sama droga zajęła by mu miesiąc. A gdyby założyć jeszcze, że w każdej z tych wspólnot przebywał czas jakiś, zatem jego pobyt na terenie Azji Mniejszej, tam w zachodniej Turcji, trwałby może dwa, trzy, może cztery miesiące. A może pojechał tam wiosną i był do jesieni, czyli w okresie, kiedy pogoda sprzyjała. Bo tam też jest pogoda bardzo podobna do naszej teraz.

Albo możemy też założyć drugą możliwość. Mianowicie że Jan był już starcem około osiemdziesięcio - osiemdziesięcioletnim, a więc jak na czasy starożytne bardzo posuniętym w wieku. I że był na wyspie Patmos i posłał młodszych od siebie, ale zaufanych ludzi. I prosił, żeby zobaczyli jak żyją ci, których pozyskał dla wiary, którzy zostali nawróceni, którzy byli chrześcijanami. Oni byli chrześcijanami od ok. 40 – 45 lat. Zatem byli chrześcijanami już w drugim pokoleniu. Mniej więcej perspektywa była taka, jakby w naszych czasach gdzieś tam od lat pięćdziesiątych. I może właśnie Jan wysłał kogoś młodszego, może całą grupę takich młodszych, zaufanych ludzi. A oni przyszli i opowiedzieli mu, co widzieli. I wtedy Jan dyktuje swoje listy. Te listy zostają zapisane na skrawkach pergaminu bądź papirusu. Może były bardzo małe dlatego, że trwały prześladowania, i taki papirus trzeba było dobrze zwinąć, wrzucić gdzieś tam do tuniki po to, żeby nie dostał się w ręce prześladowców, w ręce Rzymian, czy w ręce innych, którzy okrutnie obchodzili się z chrześcijanami. Bo przecież gdyby się taki papirus dostał w ich ręce, niechybnie by zginął. A nie zginął — skoro wszedł do Apokalipsy i do Nowego Testamentu, i skoro my po 1900 latach takie właśnie papirusy czytamy.

Spróbujmy zastanowić się, co czuł św. Jan, kiedy zapisywał ten papirus. Wydaje mi się, że czuł się jak starotestamentowy prorok. Dlatego, że w Starym Testamencie mamy takie wypowiedzi prorockie, jak np. w Księdze Amosa, Jeremiasza, Ezechiela, Izajasza, w których prorocy upominają swoich rodaków. Upominają ich nie po to, żeby ich karcić i pogneźić, ale upominają ich po to, aby uzyskać od nich nawrócenie. To nawrócenie nosi po hebrajsku nazwę [teszuwa], od czasownika [szuw] — *powrócić*. [Teszuwa] to jest *powrót, powrót do Pana Boga*. Myśl jest taka: każdy, kto grzeszy, odchodzi od Pana Boga, oddala się od Niego. Natomiast przewyciężeniem grzechu jest bliskość z Bogiem. Skoro tak, to potrzebna jest ta [teszuwa], aby wrócić. To samo, co w Starym Testamencie nazywało się „powrotem”, to co w języku greckim, bo takim mówił i pisał św. Jan Apostoł, nazywało się [metanoja], znaczy to po polsku *przemiana*. Otóż żeby wrócić do Pana Boga, trzeba się przemienić. Ale żeby się przemienić trzeba najpierw poznać to, co jest niewłaściwe, to co jest grzeszne i gnuśne. A następnie podjąć decyzję o poprawie i wrócić do Boga.

Jan więc czuje się jak prorok. Ale niech państwo przypomną sobie to, o czym mówiłem kilka tygodni temu. Że prorok to nie jest człowiek, który zapowiada przyszłość. To nie jest astrolog, to nie jest wróżka, to nie jest mag. Prorok to jest człowiek, który przyszłość kształtuje. Jeżeli prorok rozoznaje rzeczywistość, jeżeli ją poznaje, jeżeli chce mieć o niej pojęcie, jeżeli ją ocenia — to po to, by ją zmieniać. I św. Jan Apostoł albo sam, jak powiedzieliśmy, albo poprzez swoich wysłańców, przygląda się życiu w tych wspólnotach, w tych wspólnotach niewielkich Kościołów Azji Mniejszej, a następnie będzie ich — zaraz zobaczymy — napominał, karcił, będzie ich zachęcał i podnosił na duchu. Ale co jest najciekawsze — zwrócono na to uwagę od bardzo dawna — że te wszystkie listy, że każdy z tych listów ma swój lokalny koloryt, ma swoje lokalne zabarwienie.

Mówiłem państwu, że tegoroczne konferencje są pod wpływem podróży studyjnej, którą w lipcu tego roku odbyliśmy po tych Kościołach Azji Mniejszej z księdzem biskupem Stanisławem Gądecim, z księdzem dyrektorem Romanem Tkaczem i fotografikiem i wydawcą tego albumu. I było to dla nas ogromnym zaskoczeniem i ogromnym przeżyciem. W wielu z tych Kościołów byliśmy nie po raz pierwszy, ale w dwóch byliśmy po raz pierwszy w życiu. Najbardziej zaskakująca była zbieżność pomiędzy skrawkiem czytanego słowa z kart Apokalipsy a tym, cośmy oglądali na własne oczy. Nic takiego nie dałoby się wymyślić, gdyby nie widzieć tych miejsc, gdyby nie widzieć ich topografii, ich geografii, ich usytuowania. Trzeba było w naszym przypadku sięść gdzieś na kamieniu, na chwilę przymknąć oczy, i jakby próbować wyobrazić sobie tych wiernych sprzed 2000 lat. Albo można było zrobić inaczej. Wyobrazić sobie wiernych dzisiejszych, bo w gruncie rzeczy te wszystkie dylematy i wyzwania, przed którymi stali tamci ludzie, tak dawno temu, są w gruncie rzeczy również i nasze.

Zatem św. Jan pisząc listy do tych wspólnot, oddalonych od niego o kilkaset kilometrów, próbuje sobie wyobrazić ludzi, których chce upomnieć, ale których chce również zachęcić. I św. Jan czuje się jak prorok. Ale te listy mają również inny kontekst. Żeby go znać, trzeba znać okoliczności, sytuację w czasach Imperium Rzymskiego. Otóż kiedy cesarz rzymski chciał coś ogłosić swoim poddanym, to wtedy na marmurowej płycie wykonywano napis i umieszczano gdzieś na publicznym budynku, przeważnie na rynku. Ogromna większość ludzi nie potrafiła oczywiście ani pisać ani czytać. Oblicza się, że w starożytności 80 - 90 % ludzi było analfabetami. Zatem sztuka czytania i pisanie była stosunkowo rzadka. Zatem w jaki sposób dekrety cesarskie docierały do poszczególnych miejscowości? Przynoszono krótki tekst na papirusie. Następnie sadzano specjalnych rzemieślników — dzisiaj np. mamy takich fachowców na cmentarzach, którzy mają gotowe wzory liter i bardzo szybko mogą wykonać konkretne napisy — byli tacy, nazwijmy ich może trochę nieładnie kamieniarzami, i oni sporządzali kamienną inskrypcję z tekstu przyniesionego przez posłańca na papirusie czy pergaminie, a posłaniec jechał dalej. Przygotowywano to, i kiedy schodziło się więcej ludzi, to ktoś umiejący czytać czytał zebranych wole cesarską.

Dopiero teraz możemy zrozumieć te listy, bo św. Jan czuje się trochę tak, jak cesarz, naśladuje go. Mianowicie pisze króciutkie listy do poszczególnych Kościołów z myślą o tym, żeby one były przepisywane. Nie potrafimy powiedzieć, czy one były pisane na jakichś marmurowych płytach. Może były, może te płyty nie dochowały się do naszych czasów, może te płyty bezpowrotnie zginęły. A może któregoś dnia jakiś szczęśliwy archeolog w Efezie, Smyrnie, czy w Pergamonie odnajdzie taką płytę. Na razie nie znaleziono. Ale musieli sporządzić sporo kopii tego listu, przysłanego przez Apostoła, skoro te listy zachowały się do naszych czasów. Więc Apostoł czuje się jak prorok, i jednocześnie Apostoł daje im poznać swoją wolę tak, jak czynił to cesarz. Dlaczego to było ważne? Dlatego, że pod koniec I wieku toczyła się bardzo ostra konfrontacja pomiędzy nową religią chrześcijańską, a cesarstwem. Wszędzie obowiązkowa była religia narzucająca kult cesarza. Cesarz był czczony jako bóg, przedstawiany wręcz jako bóg, albo przynajmniej jako półbóg. Każdy cesarz musiał mieć swoje figury, podobizny, portrety, przed którymi składano wieńce, ofiary, które ozdabiano, wysyłano wiernopoddańcze listy itd. Jeżeli św. Jan posługuje się taką samą formą krótkiej inskrypcji, to chce dać poznać, że prawdziwy Bóg i prawdziwa wola Boża jest nie w dekretach cesarskich, wieszanych gdzieś tam na Forum czy na Agorze, lecz prawdziwa wola Boża przychodzi właśnie na tym skrawku papirusu czy pergaminu, który wiernym przesyła.

Przeczytam państwu ten list najpierw w całości, a potem go krótko skomentujemy. Jest to tekst stosunkowo krótki, oczywiście przełożony na język polski. Pierwotnie był po grecku. Gdyby go czytać po grecku, brzmi bardzo ładnie, ta greka jest bardzo staranna. Widać, że jest to język grecki dojrzałego, starego człowieka. Widać w tym języku wielkie doświadczenie, staranny dobór słów. Widać, że autor, czyli św. Jan Apostoł, stara się powiedzieć to, co najważniejsze. Zawsze jest tak, że kiedy człowiek jest starszy, to staje się oszczędny w słowach i mówi tylko to, co najbardziej istotne. Jeżeli jest inaczej to znaczy, że robi niewłaściwy użytek ze starości. To tylko młody człowiek może mówić wszystko i wszędzie. Stary człowiek, starczy człowiek, dorosły człowiek, powinien mieć opamiętanie w mowie. Taką właśnie powściągliwość w mowie widać u Jana. Napisał tak:

Aniołowi Kościoła w Efezie napisz:

To mówi Ten, który trzyma w prawej ręce siedem gwiazd,

Ten, który się przechadza wśród siedmiu złotych świeczników:

Znam twoje czyny: trud i twoją wytrwałość,

i to że złych znieść nie możesz,

i że próbie poddałeś tych, którzy zwą samych siebie apostołami, a nimi nie są,

i żeś ich znalazł kłamcami.

Ty masz wytrwałość:

i zniosłeś cierpienie dla imienia mego — niezmordowany.

Ale mam przeciw tobie to, że odstąpiłeś od twej pierwotnej miłości.

Pamiętaj więc, skąd spadłeś, i nawróć się,

i pierwsze czyny podejmij!

Jeśli zaś nie - przyjdę do ciebie

i ruszę świecznik twój z jego miejsca,

jeśli się nie nawrócisz.

Ale masz tę [zaletę], że nienawidzisz czynów nikolaitów,
których to czynów i Ja nienawidzę.

Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Zwycięzcy dam spożyć owoc z drzewa życia, które jest w raju Boga.

Oto tekst tego listu. Przyjrzyjmy się temu listowi. Z całą pewnością jest mocno poruszający. Powiedziałem państwu, że w mowie greckiej brzmi o wiele bardziej dosadnie. Ten dobór słów jest taki, że rzeczywiście wywołuje emocje. Spróbujmy raz jeszcze wyobrazić sobie to miasto, Efez. To miasto Efez leży nad Morzem Śródziemnym, dzisiaj są to tylko ruiny. Ale jest to najlepiej zachowane do dziś miasto greckie, hellenistyczne w Azji Mniejszej. Prace wykopaliskowe podjęli tam Austriacy, i do dzisiaj prowadzi je Uniwersytet Wiedeński. Zatem sporo odkopano, sporo zrekonstruowano. Żeby zobaczyć dzisiaj teren wykopalisk w Efezie, to chodząc cały czas trzeba na to przeznaczyć dobre pół dnia. Są to obszary największe wykopaliska na terenie całej Azji Mniejszej. Dzisiaj nawet, kiedy wchodzi się na teren Efezu, to dech w piersi zapiera. Kiedy się idzie doskonale zachowaną ulicą z tamtych czasów, ulicą, którą szedł Paweł czy Jan, i widzi się przed sobą Bibliotekę Celsusa, to wręcz człowiek chciałby pójść do tego budynku i zobaczyć te pergaminowe zwoje. Bo przecież nie książki, książek jeszcze wtedy nie było, a pergaminy i papiirusy, które tam stały.

Efez był bardzo bogaty. Był miastem portowym i łączył ze sobą Italię, Grecję i Azję Mniejszą, a potem nawet Środkowy i Daleki Wschód. Przez Efez przewalał się cały handel. Jeżeli państwo dotąd tego nie zrobili, dobrze będzie wziąć atlas, nawet współczesny, i gdzieś tam w połowie zachodniego wybrzeża Azji Mniejszej odchylić się na południe od współczesnego Izmiru i odnaleźć Efez. Lokalizacja znakomita! Przeciągały tamtędy karawany wielbłądów, osłów, ludzi ze Wschodu, którzy przynosili z Dalekiego i Bliskiego Wschodu rozmaite rzeczy, i jednocześnie ludzi z Europy. Miasto, można by powiedzieć, kosmopolityczne. W połowie I wieku ono przeżywało okres przeogromnej świetności, było wspaniałe. To, co do dzisiaj się z niego zachowało, pokazuje, że był tam dobrobyt i daleko posunięta kultura. Przepiękny teatr, który może pomieścić 25 tysięcy ludzi, zachowany idealnie po dzień dzisiejszy. Przepiękny odeon, który może pomieścić 2 tysiące ludzi. I ten odeon, czyli miejsce do śpiewów, do występów indywidualnych, coś w rodzaju naszej opery, ale dla śpiewaków indywidualnych, był cały zakryty — miał zadaszenie robione na porę deszczową, albo na porę gorącą. Opis Efezu w przewodnikach archeologicznych zajmuje kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt stron. Przepiękne, wspaniałe miasto! Kiedy się szło od strony lądu, widziało się przed sobą miasto, natomiast dalej była Zatoka Efezka, i widziało się morze. Przypływały statki, rozładowywano je, załadowywano nowym towarem, i odpływały one dalej do Europy. Możemy sobie wyobrazić, jak życie tętniło w tym wspaniałym mieście.

Chrześcijaństwo doszło do tego miasta stosunkowo wcześnie. Św. Paweł trafił tam podczas drugiej podróży misyjnej, która miała miejsce w latach 51 - 52. Zatem udał się tam około dwadzieścia lat po śmierci Jezusa, zatem bardzo wcześnie. To taka perspektywa jak dzisiaj czasy powstania Solidarności. Jezus umarł, 20 lat później jest tam św. Paweł. Kiedy św. Paweł tam doszedł to okazało się, że są już tam uczniowie, wyznawcy Jezusa Chrystusa, i że jednocześnie są tam uczniowie Jana Chrzciciela. I ci uczniowie Jana Chrzciciela nie do końca, i nie wszystko, wiedzieli o Jezusie. Zatem cały trud apostołowski św. Pawła polegał na tym, by im powiedzieć o Jezusie. Nawet doszło do tego, że chce im udzielić Ducha Świętego, a oni mówią: „My nawet nie wiemy, że Duch Święty istnieje!” Więc ich wiedza była bardzo kiepska. Najprawdopodobniej po śmierci Jana Chrzciciela, podczas prześladowań za czasów Heroda, musieli się wynieść z Palestyny, i trafili właśnie aż do Efezu.

Efez był znany jeszcze z jednej rzeczy — żeby ten tekst zrozumieć trzeba to koniecznie powiedzieć. Otóż była tam wspaniała świątynia cesarska, kult cesarza. W czasie, o którym mówimy, czczono tam Domicjana. Do tego obok tej świątyni był również kult Artemidy, którą nazywano Efezką. Otóż Artemida była boginią płodności. Przedstawiano Artemidę w sposób niezwykle osobliwy. Te przedstawienia mogą państwo widzieć również dzisiaj w nawiązaniach do sztuki klasycznej, greckiej czy rzymskiej. Otóż przedstawiano ją jako boginię płodności, boginię życia, boginię dobrobytu, boginię dzieci, boginię tych kobiet, które przekazują życie. I w związku z tym nazywano ją w tradycji greckiej polimaste. Poli znaczy *wiele*, masto znaczy *piersi*, polimaste — *wiele piersi*. Przed-

stawiano ją z wieloma piersiami. Tych piersi było kilkanaście, bądź na niektórych wyobrażeniach kilkadziesiąt. Znaczyło to, że ta bogini potrafi wykarmić każdego, ktokolwiek do niej przyjdzie. Mało tego. Wybudowano dla niej przepiękną świątynię. Świątynia Artemidy Efeskiej była jednym z siedmiu cudów starożytnego świata. Problem polega na tym że wkrótce po tym czasie, o którym czytamy, ta świątynia została dokładnie zburzona. Paradoks polega na tym że dzisiaj w miejscu, w którym wznosiła się ta świątynia, jest pole, jest łąka. A z całej świątyni, która miała kilkaset wspaniałych kolumn, zachowała się tylko jedna jedyna, która stoi pionowo. I żeby jeszcze była jakaś przekora losu, to na tej kolumnie od niepamiętnych czasów jest zawsze gniazdo bociana. Każdy, kto pojedzie do Efezu w czasie pomiędzy kwietniem a wrześniem i ogląda tę kolumnę, zawsze widzi tam na niej 2 - 3 bociany. I być może również w albumie, który państwo zobaczą, też te bociany będą. Jeżeli w naszej kulturze bocian jest symbolem płodności to widać, że ta tradycja Artemidy Efeskiej jest podtrzymywana.

Jeszcze jeden szczegół. Otóż ci pogańscy Grecy, którzy tam mieszkali, bo było to miasto greckie, hellenistyczne, wierzyli, że posąg Artemidy Efeskiej spadł z nieba. Zatem nie został wykonany przez ludzi, tylko jest darem samej bogini. W związku z tym otaczali ją ogromną czcią. Mało tego. To właśnie tam wprowadzono zwyczaj, który istnieje również w chrześcijaństwie, zwłaszcza w jego katolickim wydaniu. Mianowicie w Efezie było mnóstwo rzemieślników, którzy utrzymywali się z wyrabiania posążków Artemidy Efeskiej. Pielgrzymi przybywający do tego sanktuarium nabywali owe posążki, i brali je ze sobą do domu, podobnie jak my kupujemy wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej, czy obrazki Matki Boskiej Licheńskiej, czy inne takie figurki, w Ziemi Świętej czy gdzie indziej. W związku z tym w Efezie było mnóstwo rzemieślników, którzy żyli z wyrabiania tych figurek. Dodajmy jeszcze, mamy to opisane w 19 rozdziale Dziejów Apostolskich, kiedy św. Paweł dotarł do Efezu, i kiedy zaczął przekonywać miejscowych do tego, aby uwierzyli w Chrystusa, wtedy wybuchł przeciwko niemu bunt, wzniecony właśnie przez tych rzemieślników, którzy zwołali wielkie zgromadzenie do teatru — do tego teatru, o którym mówiliśmy — i powiedzieli do Pawła: „Wynoś się! My z tego kultu, my z tego rzemiosła żyjemy przez wieki. A chcesz nas go pozbawić?” I kazali się Apostołowi wynieść.

Po tym wstępie mogą sobie państwo wyobrazić, że być chrześcijaninem w samych początkach chrześcijaństwa w Efezie nie było łatwo. Że miasto z tak dużymi tradycjami handlowymi, kulturowymi, a przede wszystkim religijnymi pogańskimi, musiało być niesłychanie odporne na Ewangelię. A jednak chrześcijanie tam byli. Nie tylko byli, tam powstała bardzo prężna wspólnota chrześcijańska. I mamy czterdzieści lat mniej więcej po czasach św.

Zmiana stron kasety

najrozmaitsze budynki użyteczności publicznej, również domy uciech, które zachowały się do dzisiejszego dnia, i których reminiscencje mamy choćby w Liście św. Pawła do Efezjan, gdzie Paweł kładzie mocny nacisk na życie rodzinne, bo w Efezie było ono silnie zagrożone. Więc warto ten list napisany do Efezjan, gdzieś koło roku 60, a więc 10 lat po pobycie tam Apostoła, przeczytać.

Nadal mamy tam port, nadal mamy tam wszystko to, co było przedtem, nadal jest ta grupa chrześcijan. I do nich Apostoł napisał:

Aniołowi Kościoła w Efezie napisz:

Komentatorzy, których obowiązkiem jest spierać się między sobą, sprzecząją się, kto to jest ów „Anioł Kościoła w Efezie”. Jedni powiadają tak: to jest ten, który czytał podczas zgromadzenia liturgicznego. On był po grecku nazywany angelus, po polsku *zwiastun*, *ten, który podaje nowinę*, *ten, który głosi, głosiciel*. A więc „Aniołowi Kościoła w Efezie napisz:” znaczy: „Napisz temu, który będzie ten tekst czytał”. Inni komentatorzy mówią: nie, to jest za proste. Ten angelus to jest miejscowy biskup, przełożony tego Kościoła. To do niego było kierowane to słowo, i to biskup miał przeczytać wiernym to słowo tak, jak dzisiaj czyta się słowo pasterskie biskupów naszym wiernym. Inni mówią: Nie! Nie używano w Grecji określenia angelus ani do lektora, ani do biskupa. Tym, którego to dotyczy, jest Anioł Stróż Kościoła w Efezie. Każdy Kościół ma swojego Anioła tak, jak każdy człowiek ma swojego Anioła, tak i dana wspólnota ma swojego Anioła. Niezależnie od tego, o kogo chodzi, sens jest jasny. Sposób mówienia jest dość zawoalowany — zapewne dlatego, żeby

każdy mógł ten tekst odnieść po prostu do siebie. W ten sposób Apostoł chce skierować uwagę czytelników i powiedzieć: „To nie jest tylko tekst dla jednego pokolenia. To nie jest tekst dla małej grupy ludzi. To nie jest list do jednej wspólnoty. To jest list do każdego.” Efez — powiada autor, św. Jan — jest wszędzie. Napisz:

To mówi Ten, który trzyma w prawej ręce siedem gwiazd,
Ten, który się przechadza wśród siedmiu złotych świeczników:

Mamy obraz. Ktoś, kto w prawej ręce trzyma siedem gwiazd. Oczywiście kiedy podniesiemy głowę i popatrzymy na gwiazdy, to one są małe. Ale mamy wyobrażenie, i starożytni też o tym wiedzieli, że gwiazdy są przeogromne. Któż więc trzyma owe siedem gwiazd? Siedem to cyfra oznaczająca pełnię. W Apokalipsie św. Jana cyfra siedem występuje 54 razy — tak często się powtarza, wyliczono to dokładnie. Otóż tym, który trzyma owe siedem gwiazd, czyli wszystkie gwiazdy, jest Bóg. Czyli tym, który przemawia, jest Bóg, który jest Panem natury. Jemu podlegają gwiazdy, i słońce, i księżyc. Jemu podlega świat. On więc, który rządzi całym światem, zwraca się do ciebie. I „ten, który przechadza się wśród siedmiu złotych świeczników”. Tutaj jest nawiązanie do świecznika, hebrajskie menora, który był w świątyni jerozolimskiej. Otóż nie jeden, jak to miało miejsce w świątyni, ale wśród siedmiu świeczników się przechadza. Bóg jest Panem natury, Panem świata. Ale Bóg jest również Panem dziejów. Bo to Jemu oddaje się cześć w świątyni. Bóg jest Panem historii. I Ten, który rządzi światem, i Ten, od którego zależą dzieje, oto zwraca się do was i mówi wam, że:

Znam twoje czyny: trud i twoją wytrwałość,

Zaczyna się od nawiązania, od podjęcia starożytnej sztuki retoryki. Polegała ona na tym, że zanim kogokolwiek upomniano, to go najpierw pochwalono. Otóż tej sztuki niestety nie ma dzisiaj. Tzn. upomina się człowieka bardzo często po to, aby go jak mówią pospolicie „zdołować”, pognębić, skarcić, upomnieć, i odbiera mu się przez to ochotę, ducha, zapał, jaki ma itd. W starożytności istniały specjalne szkoły retoryczne, w których wstępem do upomnienia było coś, co potem po łacinie nazywało się captatio benevolentiae czyli *pozyskanie przychylności, pozyskanie zaufania*. Otóż żeby człowieka albo wspólnotę upomnieć, najpierw zwracano uwagę na dobre strony. Po co? Aby nawiązać więź zaufania. A z chwilą kiedy ten człowiek widział, że nie tylko o upominanie tutaj chodzi, lecz chodzi o to, że dostrzega się w nim również dobre strony, wtedy był bardziej podatny na upomnienie. Za co więc św. Jan chwali wiernych, którzy byli w Efezie? Mówi do nich: „Znam twoje czyny”, zatem wiem o was. Ten Kościół w Efezie jest spersonifikowany, traktowany jak jedna osoba. „Znam twoje czyny: trud i twoją wytrwałość”, pracę i wytrwałość. Państwo zwrócą uwagę, że mamy dwa aspekty: pracować, trudyć się, ale być w tym również wytrwałym. Kościół efezki jest chwalony za to, że trudyć się, ale posiadał również cierpliwą wytrwałość. Zatem, że jest to pewien proces. I za to jest pochwalony.

i to że złych nie możesz znieść,
i że próbie poddałeś tych, którzy zwą samych siebie apostołami, a nimi nie są,

Otóż okazuje się, że w tej młodej wspólnocie w Efezie byli tacy, którzy wprowadzali zamęt. Tak jest właściwie w każdej wspólnocie. Sekty, rozmaite grupy religijne, ruchy religijne, są w każdym pokoleniu. Można by powiedzieć, że w latach dziewięćdziesiątych w Polsce nastąpił nawet boom rozmaitych sekt. I tak było również w I wieku. Byli tacy w tym Kościele, którzy nazywali siebie apostołami, ale „nimi nie są”. I tych wiernych Apostoł chwali za to, że „złych nie możesz znieść, i że próbie poddałeś” kłamliwych apostołów i:

znalazłeś ich kłamcami.

Z tego wniosek, że w każdej wspólnocie trzeba przyglądać się tym, którzy przychodzą do nas z religijnym orędziem, którzy mówią o religii, o wierze, którzy pukają do drzwi naszych domów. Trzeba wiedzieć, że zwłaszcza religijność i sprawy moralne jest to tak delikatna struna w człowieku, że ona jest nie tylko używana, ale również jest nadużywana. Jeżeli ktoś o tym nie wie, może

paść bardzo łatwo takim łupem. Ten problem pojawił się w Efezie bardzo wcześnie, jeszcze w czasach apostołskich — podziały wśród wiernych spowodowane przez tych, którzy podawali siebie za apostołów, aczkolwiek nimi nie byli. I dalej:

Ty masz wytrwałość:
i zniosłeś cierpienie dla imienia mego —
niezmordowany.

Chrześcijanie w Efezie zostali pochwaleni przede wszystkim za wytrwałość. Otóż wytrwałość jest wielką cnotą. Nie wystarczy coś postanowić, nie wystarczy czegoś chcieć, trzeba być w tym wytrwałym. I oni tę wytrwałość mieli. Najwidoczniej Apostoła zachwyciła ta wytrwałość. A dlaczego ją podkreśla? Ano dlatego, że mieli mnóstwo innych ofert. Mieli teatry pogańskie, mieli odeony, mieli rozmaite domy, mieli pogańską bibliotekę z tym wszystkim, co ona zawierała, mieli handel, mieli przepływ towarów — mieli mnóstwo możliwości. I wobec tych różnych możliwości w tym bardzo bogatym i zasobnym mieście ustrzegli własnej tożsamości. Pozostali sobą.

Tak sobie myślę czasami, że chyba coś podobnego powtarza się czy znajduje wyraz, w naszych miastach dzisiaj. Mieszkamy w największym w Polsce mieście. Kiedy się porównuje religijność w mieście, gdzie możliwości, opcje są bardzo różne, to można by powiedzieć chyba bez przesady, że jest to religijność dużo dojrzała niż na wsi czy w małych miasteczkach. Otóż tu ci, którzy trwają przy Chrystusie, są dużo bardziej wytrwali i dużo bardziej zdecydowani na to, aby przy tych swoich ideałach obstawać. Nie mówię tego po to, żeby dokładnie naśladować św. Jana, lecz po to, aby państwo zastanowili się nad sobą, że chyba dotyczy to zwłaszcza takich grup, jak nasza, jak podobne grupy, gdzie widać ogromną chrześcijańską dojrzałość. Że mając do wyboru bardzo wiele rzeczy człowiek wybiera to, co jest nieraz trudniejsze, co uznaje za szlachetne, i zachowuje tę właśnie cierpliwą wytrwałość. Apostoł mówi o nich, że: „zniosłeś cierpienie dla imienia mego — niezmordowany”. Wniosek z tego — że Efezu też nie omijały prześladowania. Ale ci chrześcijanie wytrwali.

Aż do tej pory jest pochwała. Możemy sobie powiedzieć, że zapewne ten dobry stan moralny był również skutkiem Listu św. Pawła do Efezjan. Wiedzą państwo, że Apostoł napisał taki list. W tym Liście dał wielkie upomnienia. A sens tego listu jest taki: „We wszystkim bądźcie naśladowcami Jezusa Chrystusa. On to unżył samego siebie, aby was wszystkich ubogacić.” Najwidoczniej ten List św. Pawła został tam przeczytany, zapamiętany, rozważony, i był wdrażany w życie. Ale na tym pięknym obrazie pojawiają się również pęknięcia. Oto one:

Ale mam przeciw tobie to, że odstąpiłeś od twej pierwotnej miłości.

Kościół w Efezie zostaje porównany do człowieka. Do człowieka, który miłuje, do człowieka, który kocha. Ale miłość może płowieć, nie słabnąć ale płowieć. Ta pierwotna miłość może po prostu w jakiś sposób tracić tego dawnego wielkiego porywczego ducha. I Apostoł Jan mówi, że tak właśnie było z Efezjanami. Kochali Boga, miłowali Chrystusa, ale już nie tą pierwotną, gorącą miłością. W miejsce gorliwości pojawiło się przyzwyczajenie. Otóż w religijności bardzo często jest tak, że gorliwość, żarliwość jest zastępowana, a potem wypierana, przez przyzwyczajenie. Że robimy to, co robimy nie dla tego, że są w nas gorące porywy tylko dlatego, żeśmy do tego przywykli. Z Efezjanami było podobnie. Jan nie gani ich za to, bo przyzwyczajenie, przywyknienie, nie jest złą rzeczą. Pewnie w każdej miłości jest to, że koniec końców przyzwyczajenie zaczyna grać tam ważną rolę. Ale Jan powiada, że „stać was na więcej”, że powinno być inaczej. Że, żeby w ogóle ta miłość mogła przetrwać, to trzeba wracać do ideału, trzeba wracać do tej pierwotnej miłości. W ten sposób św. Jan przenosi do Kościoła w Efezie wizerunek małżeństwa. Bo czy nie jest tym samym to, że dwoje ludzi, zwłaszcza którzy są ze sobą bardzo długo związani, nie podgrzewają swojej miłości przez to, że wracają do wspomnień z młodości? Że przypominają sobie to, co wspólnie przeżyli, że mówią o tym, co było przedtem? Rzecz jasna, że nie da się tego wskrzesić, ani powtórzyć. Ale własna pamięć staje się tutaj nośnikiem tożsamości. I św. Jan zwraca uwagę na dzieje tego Kościoła i powiada: „Przypomnijcie sobie, jacy byliście w początkach”. I dalej:

Pamiętaj więc, skąd spadłeś,
i nawróć się,

Tu mamy u św. Jana swoisty humor. Mianowicie on upomina, ale jednocześnie chce żeby ci, których upomina, uśmiechnęli się. Czy domyślają się państwo do czego Jan tutaj nawiązuje? Otóż nawiązuje do tych pogańskich wierzeń o tej bogini Artemidzie, która spadła z nieba. Chociaż nie mówi o niej wprost, bo nie chce o niej mówić, to daje im poznać, że ją właśnie ma na myśli. W związku z tym św. Jan jakby odwraca te role i przypisuje im, z przymrużeniem oka rzecz jasna, jakąś podobną sytuację. Można by powiedzieć, tak przynajmniej można by sobie wyobrazić, że kiedy ten lektor albo biskup stanął przed tymi wiernymi, i im czytał ten tekst, to bał się, że gdy odważnie powie: „Przestańcie czcić Artemidę Efezką, która spadła z nieba”, a ten list trafi w ręce pogan, to wtedy wybuchnie prześladowanie, i wtedy będzie przelew krwi. Możemy więc sobie wyobrazić że ktoś, kto to czytał, czytał: „Pamiętaj więc, skąd spadłeś” i puścił oko. I wszyscy wiedzieli o co chodzi: „Pamiętaj, nie kieruj się tamtym! Ale jednocześnie pamiętaj o tym, że nie wolno ci powtarzać błędów pogan! To nie ty jesteś bogiem. Tylko twoje miejsce jest tu, musisz być wierny i wytrwały. Jesteś tylko człowiekiem.” Jest to bardzo misterna polemika, gdzie każdy mieszkaniec Efezu dokładnie wiedział, o co chodzi. Podobnie np., że użyjemy jakiegoś przykładu nieco politycznego, jeżeli by ktoś 20 czy 30 lat temu napisał na płocie: „Czerwone jest brzydkie”, to musiał się liczyć z reakcją milicjanta. Dlatego, że milicjantowi przychodziło do głowy, że nie o kolor sukienki mu chodzi, tylko że jest to deklaracja polityczna. Natomiast dzisiejszy młody człowiek nie musi już mieć wcale politycznych skojarzeń. I tu było podobnie — te skojarzenia były rozpoznawalne dla tych, których to bezpośrednio dotyczyło. I dalej:

i nawróć się,
i pierwsze czyny podejmij!

Zatem nawrócenie, w przypadku mieszkańców Efezu, chrześcijan z Efezu, jest to powrót do pierwotnej gorliwości. To jest powrót do tych pierwszych czynów. To jest przypomnienie sobie czynów młodości. Życie wiernych zostaje przyrównane do życia człowieka. Jest dzieciństwo, jest młodość, jest życie dorosłe, jest wreszcie starość. Starość nie jest już tak płomienna, życie dorosłe też coraz bardziej traci na blasku. Zatem trzeba wracać do młodości po to, żeby rozpoznawać te iskry, które kiedyś dodawały nam ducha i które przez cały czas w każdym człowieku powinny płonąć. I w Kościele jest podobnie. A więc Apostoł mocno podkreśla: „Nawróć się, i pierwsze czyny podejmij!” Jeżeli zaś nie — ostrzega:

Jeśli zaś nie - przyjdę do ciebie
i ruszę świecznik twój z jego miejsca,
jeśli się nie nawrócisz.

Otóż ten świecznik to już nie świecznik siedmioramienny, nie ten świecznik do oddawania czci Bogu, ale znów subtelne nawiązanie i subtelna polemika z kultem pogańskim, i z jego świecami, i z jego ogniem. Zatem jest to również bardzo delikatne nawiązanie, że: „Nie uważajcie siebie za lepszych od innych. Nie sądzcie, że miejsce w Efezie daje wam absolutny priorytet czy pierwszeństwo. Jeżeli się nie nawrócicie, nie powrócicie do swojej pierwotnej gorliwości nie możecie być przykładem dla innych.” „Wezmę i poruszę wasz świecznik”, jeżeli się nie nawrócicie.

Tutaj nawrócenie to nie koniecznie zerwanie ze złem. Proszę popatrzeć, *to jest chyba jedna z najważniejszych nauk tego tekstu. Bo pojmujemy nawrócenie jako odwrócenie się od grzechu. Tutaj nawrócenie — to jest troska o większą gorliwość. Otóż ideałem nie jest być dobrym. Ideałem jest być coraz lepszym. Ideałem jest postęp.* Otóż nie można się zatem zatrzymać w drodze dojrzałości, w drodze chrześcijańskiej dojrzałości. Nie można powiedzieć, że: „Osiągnąłem już taki stan, że dalej pracować nad sobą nie muszę”. Otóż każda stagnacja, tak jak w ogóle w życiu, jest czymś przeciwnym dla postępu, dla wzrostu w dobrym. Oni — ci chrześcijanie w Efezie — bliscy byli stagnacji. Przyzwyczajali się, i żyli po prostu według tych przyzwyczajzeń. Apostoł mówi: To za mało! Musicie wykrzesać z siebie więcej. Nawrócenie w waszym przypadku polega na tym, żeby być lepszymi, niż jesteście. Ludzie bardzo często, wierni również, boją się grzechów. Ale *znacznie rzadziej mamy świadomość, że równie ważne jest to, aby starać się o duchowy rozwój, o duchowy wzrost. Bo obawa przed złem — to jedno, a postęp w dobrym — to drugie.* I zakończenie:

Ale masz tę [zaletę], że nienawidzisz czynów nikolaitów,
których to czynów i Ja nienawidzę.

Kim byli ci nikolaici? Nazwa pochodzi od „Nikolausa”, zatem Mikołaja. Jakiś anonimowy Mikołaj, którego bliżej nie znamy, wprowadził do Efezu przedziwny zwyczaj. Mianowicie powiedział tak: „Wystarczy, że wierzycie w Boga. Natomiast możecie żyć tak, jak wam się żywnie podoba.” Więc wprowadził swobodę obyczajów. O to nie było trudno. Dlatego, że jak kilkakrotnie podkreślałem, Efez był potężnym miastem, portowym miastem. W związku z tym możliwości rozmaitych nadużyć było sporo. I dlatego byli chrześcijanie, którzy byli gorliwi, aczkolwiek ochłodli w tej gorliwości, oraz byli tacy chrześcijanie, którzy wierzyli w Chrystusa, ale żyli na pograniczu przykazań, albo nawet łamiąc je. I w związku z tym występuje tutaj św. Jan i powiada, że również w tej wspólnocie Kościoła w Efezie przebiega pewna granica. I że trzeba odwrócić się od czynów owych nikolaitów, o których nic więcej nie wiemy. Że trzeba wziąć i potraktować na serio te przykazania, i to nauczanie, jakie Chrystus kieruje. A więc, że istnieje związek pomiędzy religią a moralnością. I ostatnie zdanie:

Kto ma uszy, niechaj posłysz, co mówi Duch do Kościołów.
Zwycięzcy dam spożyć owoc z drzewa życia, które jest w raju Boga.

Zatem zakończenie nawiązuje w oczywisty sposób do Księgi Rodzaju. Mianowicie można by powiedzieć tak. Tak jak w ogrodzie Eden pierwszy człowiek, pierwsi ludzie, zostali poddani próbie, otrzymali przykazanie, i wierność temu przykazaniu miała ich zabezpieczyć w przetrwaniu, tak również Kościół w Efezie zostaje poddany próbie. Jeżeli wyjdzie z tego zwycięsko: „zwycięzcy dam owoc z drzewa życia” — będzie żył i przetrwa. Została przypomniana temu Kościołowi sytuacja z prapoczątków. I w gruncie rzeczy *ta sytuacja wyboru powtarza się w każdym pokoleniu, także i w naszym*. Że mamy pewną drogę życia, i od nas samych zależy, co z nią zrobimy, w jakim kierunku pójdziemy, jak ją podejmiemy.

I takie jest przesłanie tego krótkiego, pięknego jak sądzę, listu. Wezwanie do pierwotnej gorliwości. Gdybyśmy chcieli go króciutko streścić, albo gdyby chcieli państwo coś z niego zapamiętać, to w każdym liście jest myśl, sentencja, która stała się wręcz przysłowiowa. W tym liście tą przepiękną sentencją są słowa:

mam przeciw tobie to, że odstąpiłeś od twej pierwotnej miłości

Jeżeli chcemy zapamiętać ów Kościół w Efezie, warto zapamiętać te słowa. I jednocześnie warto przenieść je do swojego własnego życia. I uczynić jakieś motto, choćby na najbliższe tygodnie, zastanawiając się jakie przesłanie dla nas niosą.

Na następnej konferencji zatrzymamy się na drugim liście. Ten drugi list został przez św. Jana napisany do Kościoła w Smyrnie, to jest współczesny Izmir. Inny był to Kościół, inne były wyzwania, inny więc będzie list. Na tę konferencję zapraszam państwa za trzy tygodnie, w poniedziałek 11 grudnia.

I jeszcze jedno zaproszenie. Pojutrze w naszym Uniwersytecie ma miejsce sympozjum — XII z cyklu „Kościół a Żydzi i judaizm — 2000”. Temat jest gorący, również z uwagi na to, co się dzieje w Palestynie — na to niemiłosierne obchodzenie się Żydów z Arabami. Są cztery krótkie wykłady, po pół godziny, więc nie powinny zanudzić: ks. biskupa Gądeckiego, ks. rektora Kroplewskiego z Koszalina, ks. prof. Warzyszaka z Warszawy i mój. To wszystko zaczyna się o godz. 10, o godz. 12 jest wręczenie księgi pamiątkowej ks. prof. Chmielowi z Krakowa.

Dzisiaj dziękuję bardzo serdecznie, i do zobaczenia za trzy tygodnie.
Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

3 List do Kościoła w Smyrnie (dn. 11 grudnia 2000)

Na wstępie chciałbym bardzo serdecznie podziękować tym z państwa, którzy wzięli udział w sympozjum na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Mam nadzieję, że raz jeszcze państwo uświadomili sobie to, co i tak jest na ogół dobrze wiadomo — mianowicie że sprawy dialogu, zwłaszcza chrześcijańsko-żydowskiego, jak również katolicko-judaistycznego, są bardzo trudne. Są one trudne dla wyznawców religii, obydwu religii, które przecież wyrastają ze wspólnego korzenia — będziemy więcej mówić na ten temat również dzisiaj. Wyrastają też z faktu, że i po naszej stronie sporo jest jeszcze rozmaitych niejednoznaczności, niejasności. Dlatego rozmowa z wyznawcami judaizmu bywa bardzo trudna, i mieli państwo tego próbkę. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że wszelkie pojednanie, wszelkie zbliżenie to nie tylko sprawa racji, ale także sprawa zmiany nastawienia. Sprawa również modlitwy, bo bez tego żadne zbliżenie i pojednanie nastąpić nie może, ani się nie dokona. Ponieważ dzisiaj te problemy podejmiemy, jeszcze raz dziękuję tym z państwa, którzy znaleźli czas i siły na udział w naszym dorocznym sympozjum. Mam nadzieję, że to spotkanie z Uniwersytetem nie jest spotkaniem ostatnim, i będziemy państwa zapraszać częściej na inne tego rodzaju okazje.

Przechodzimy teraz do właściwego tematu. Wydawać by się mogło, że bardzo trudno jest zająć się jednym krótkim listem. Ale sądzę, że już przykład sprzed miesiąca, kiedy rozważaliśmy list do Efezjan, List do Kościoła w Efezie, dał państwu pojęcie, że takie szczegółowe objaśnianie Pisma Świętego pozwala na to, aby nie tylko każdemu zdaniu ale i każdemu słowu przyjrzeć się z osobna i wyciągać wnioski, które są ważne także i na dzisiaj.

Otóż dzisiaj przechodzimy do kolejnego listu, króciutkiego, mianowicie do listu do Kościoła w Smyrnie. Zanim powiemy o tej Smyrnie przypomnijmy sobie to, o czym mówiliśmy przed miesiącem. Mianowicie to, że te listy są bardzo krótkie, bo możemy sobie wyobrazić kawałek pergaminu, albo kawałek papirusu, dosłownie kawałek wielkości tej kartki, na którym umieszczano tekst. Następnie to było zwijane w rulon, odpowiednio zabezpieczane, i ktoś, kto miał przekazać ten list, trzymał go gdzieś w tunice. Następnie przybywał do tego Kościoła, ten list otwierano — zazwyczaj był opieczętowany, i następnie to krótkie pismo było publicznie odczytywane. Cały autorytet tego pisma zasadzał się na tym, że było to pismo kierowane przez Apostoła. W połowie lat pięćdziesiątych, bo w tym czasie te listy powstały, żył jeszcze tylko Jan Apostoł. Wszyscy pozostali apostołowie już umarli śmiercią męczeńską, on żył jako starzec. I oczywiście kiedy do poszczególnych Kościołów docierały takie listy, czytano je z wielkim namaszczeniem, z wielkim przejęciem, czytano je z największą uwagą. Gdybyśmy chcieli sobie wyobrazić nastrój, atmosferę tego spotkania, to była ona mniej więcej taka jak teraz. Różnica polegała na tym, że nie było światła elektrycznego, ale światło lamp oliwnych, lub światło jakichś głowni — zbierano się wieczorami, bo w dzień trzeba było przecież pracować. Nie obchodzono jeszcze niedzieli tak, jak dzisiaj się obchodzi, bo dla chrześcijan był to normalny dzień pracy. Gdzieś tam wieczorem, przy świetle tych lamp stawał ktoś, na ogół biskup tego kościoła, i czytał taki list. Aby wyobrazić sobie jego wrażenie na słuchaczach spróbujmy przyjąć, że do naszego zgromadzenia napisał list własnoręcznie Jan Paweł II. Gdybyśmy wiedzieli, że to jest list do tej parafii, do tego Kościoła, do tej wspólnoty. To dopiero daje nam pojęcie jakim szacunkiem, jaką czcią otaczano taki właśnie list, którego autorem był Apostoł.

Tym razem mamy Smyrnę. To jest współczesny Izmir, jedno z większych miast na terenie Turcji, liczące ok. 2 mln mieszkańców. Jest ono niezwykle pięknie położone. Zanim przeczytamy list musimy powiedzieć nieco o historii Smyrny, żeby lepiej zrozumieć kontekst żeby mieć pojęcie o tym, jak ci ludzie rozumieli i postrzegali samych siebie. Przede wszystkim położenie tego miasta. Dzisiaj można do niego przybyć z czterech stron. Najczęściej do niedawna przybywano od strony morza. Trzeba było wypłynąć na zatokę, która nosi nazwę Zatoki Smyrneńskiej bądź Izmirskiej. Zatoka ma to do siebie, że po wszystkich stronach są góry. Więc jest to miejsce niesłychanie malownicze. Zatoka jest bardzo bezpieczna, ma dobre położenie strategiczne, dzisiaj znajduje się tam wielka baza morska USA i NATO. Zalety zatoki były wykorzystywane również w czasach starożytnych. Jeżeli przybywa się od strony północnej, to trzeba przejechać przez góry. Po dzień dzisiejszy przebycie tych gór stwarza ogromne trudności. W tych górach dzisiaj sprzedają miód leśny, sprzedają płody rolne, sprzedają oliwę z oliwek i same oliwki. A więc jest to teren typowo rolniczy. Jedzie się tak dobre dwie godziny autokarem od strony Troady, od strony Cieśniny Dardanelskiej. I w pewnym

momencie góry się kończą, i jak na dłoni widać miasto Izmir. Bardzo pięknie położone, aczkolwiek losy tego miasta w XX wieku były bardzo tragiczne. Jadąc z kolei od centrum Anatolii, od środkowej Turcji, jedzie się takimi stepami, przez rozmaite wzgórza, mało rolnicze. I kiedy się dojeżdża do morza, czuje się ogromną ulgę. I wreszcie można tam przyjechać od południa, od strony Efezu, o którym tak wiele mówiliśmy przed miesiącem. Wtedy droga jest też niesłychanie ciekawa, bo ma się morze po lewej stronie.

Nie bez powodu opowiadam o położeniu Smyrny dlatego, że na początku pierwszego tysiąclecia, gdzieś ok. roku piętnastego, a więc w czasach, kiedy Pan Jezus był kilkunastoletnim młodzieńcem, geograf Stradon napisał, że Smyrna jest najpiękniej położonym miastem na świecie. Musiało to więc robić na starożytnych ogromne wrażenie. Oczywiście dzisiaj to piękno jest już jakby nieco przyćmione przez fakt, że jest to miasto ogromne. W związku z tym i tłok komunikacyjny, i sprawa smogu itd.

Otóż nie bardzo wiemy, co tam działo się w odległej starożytności. Najprawdopodobniej mieszkała jakaś lokalna ludność. Natomiast w X w. przed Chr., czyli ok. 3000 lat temu, na ten teren napłynęły plemiona, które później nazwano Grekami. A tam napłynęły plemiona, napłynęły szczepy, które otrzymały w historii nazwę Eolowie, mamy tam nawet Morze Eolskie niedaleko. Napłynęły od strony Grecji, czyli cały ten region został zasiedlony przez praprzodków późniejszych Greków. W VIII wieku napłynęło tu nowe greckie plemię, które tam już zostało właściwie na dobre. Potem te pokolenia tego plemienia usadowiły się już na długie stulecia, czy nawet na tysiąclecia. Byli to Jończycy, plemiona Jońskie. Mamy również jeden z fragmentów Morza Śródziemnego, to jest właśnie Morze Jońskie. Zarówno Eolowie jak i Jończycy łączyli ze Smyrną piękną legendę, piękne opowiadanie twierdząc, że właśnie ze Smyrny pochodził Homer, słynny Homer, autor „Iliady” i „Odysei”. I pamięć o Homerze i o tym, że on wywodził się stamtąd, była tam zawsze bardzo żywa. Grecy mieszkali tam aż do roku 1923, i cały czas szczylic się tym, że jest to miasto pochodzenia słynnego Homera.

Przeprowadzono wykopaliska archeologiczne — z VIII w przed Chr., czyli gdzieś z ok. roku 750, odkryto dość gruby mur, i pozostałości ok. 500 domostw. Mając na względzie to, że w każdym domu mieszkało od pięciorga do dziesięciorga osób, możemy się domyślać że ok. 2750 lat temu to miasto liczyło kilka tysięcy mieszkańców — od dwóch do pięciu tysięcy mieszkańców. Zatem tradycja jest wspaniała, i jest bardzo piękna. Ale z tą tradycją związany jest również pewien dramat. Ok r. 600 przed Chr. to miasto greckie zostało zburzone przez miejscowe, tzn. anatolijskie — czyli z Azji Mniejszej, z dzisiejszej Turcji — plemię Lidyjczyków. Ci Lidyjczycy spustoszyli to miasto, złupili je, zburzyli to miasto kompletnie. Przez następne 200 - 250 lat miasto w ogóle nie mogło się podnieść. Dlatego też Smyrna w lokalnej tradycji greckiej była uznawana za miasto, które umarło. W tamtym regionie świata, zwłaszcza w starożytności, miasta postrzegano tak, jak ludzi — miasto żyje, albo miasto umiera. Jeżeli umiera, to już go nie ma, i najprawdopodobniej nigdy w tym miejscu nie będzie. A ponieważ inaczej, niż inne miasta, Smyrna przez ponad ćwierć tysiąca lat nie było, zatem ten stereotyp, że Smyrna umarła, utrwalił się bardzo silnie. I być może jego echa odnajdujemy także w liście Św. Jana do Kościoła, który przeczytamy za chwilę, i objaśnimy sobie później.

Nowa świetność Smyrny zaczęła się dopiero po roku 320 przed Chrystsem, czyli po podbojach Aleksandra Wielkiego. Sam Aleksander Wielki nie miał za wiele czasu, żeby zająć się odbudową tego regionu. Jak wiemy zmarł bardzo wcześnie. Miał tylko 33 lata, kiedy umarł w nieznanych do końca okolicznościach. Ale stworzył imperium, które rozciągało się od Grecji, aż po dzisiejsze Indie, czyli powiedzmy sobie: od Aten, aż po Ganges. Pozostała po nim pamięć, ale pozostała także Smyrna, która zaczęła być odbudowywana. I w III w przed Chr. zrobiło się to już zupełnie duże miasto greckie. Wtedy zaczęto mówić o wskrzeszeniu Smyrny, o jej zmartwychwstaniu, bo skoro przez kilkaset lat miasta nie było, i nagle z powrotem zaczęła istnieć, to był to powód do dumy.

W r. 189 przed Chr. ten region Azji Mniejszej zaczął być penetrowany przez Rzymian. Wtedy Smyrna sprzymierzyła się z innym znanym miastem, o którym będziemy mówić przy innej okazji, mianowicie z Pergamonem — od nazwy tego miasta pochodzi nazwa *pergamín*. Te dwa miasta sprzymierzyły się, ale dokonały też, jeżeli tak można powiedzieć, swoistej zdrady. Polegała ona na tym, że wyłamały się z koalicji miast greckich i prawie że dobrowolnie podporządkowały się Rzymowi.

Jeżeli wolno w ogóle w historii snuć takie rozważania: „co by było gdyby ...”, to tutaj można zapytać się tak. Co by było, gdyby Pergamon dobrowolnie nie podporządkował się Rzymowi, i gdyby Smyrna zrobiła to samo? Otóż prawdopodobnie wtedy Rzymianie dalej w głąb Azji Mniejszej by nie poszli, nie zajęliby Bliskiego Wschodu, Imperium Rzymskie byłoby dużo mniejsze, i losy świata potoczyły by się zupełnie inaczej. A już na pewno nie byłoby Bizancjum, nie byłoby później tego Imperium Wschodniego ze stolicą w Konstantynopolu, które padło. Zapewne dzieje świata potoczyłyby się w innym kierunku. Zatem to dobrowolne poddanie się Pergamonu i Smyrny Rzymianom spowodowało jakieś takie zawirowanie, którego skutki w gruncie rzeczy trwają aż do naszych czasów.

To spowodowało, że Smyrna dość łatwo poddawała się wpływowi rzymskiemu. I na krótko przed czasami Jezusa Chrystusa w Smyrnie wybudowano aż trzy świątynie, z których każda była poświęcona cesarowi, każdemu cesarowi — jeden następował po drugim. Wobec tego Smyrna była takim miastem cesarskim, w którym kult cesarza był obowiązkowy. I tutaj uwaga! Otóż od kultu cesarza zwolnieni byli w starożytności Żydzi. Żydzi zawsze z każdym cesarzem, może tylko z jednym czy dwoma wyjątkami, potrafili tak się ułożyć i tak dojść swojego, że wszyscy ludzie mieli obowiązek oddawania kultu cesarowi, religijnego kultu — natomiast Żydzi takiego obowiązku nie mieli, wyprosili sobie ten przywilej.

O tym, dlaczego to jest ważne, zobaczymy zaraz również w kontekście tego Listu. W czasach Jezusa Chrystusa miasto było już prężne, duże, przypomnijmy sobie: z licznymi więzami, które łączyły je z Rzymem. Był jeszcze jeden szczegół. Mianowicie kilkadziesiąt lat przedtem niektórzy mieszkańcy Smyrny zbuntowali się przeciwko Rzymowi. Rzymianie obeszlili się z nimi bardzo niegrzecznie, nie okrutnie, ale niegrzecznie — mianowicie zmniejszyli status tego miasta, i podporządkowali je Efezowi. Smyrna przeżywała to bardzo mocno dlatego, że mieszkańcy Smyrny zawsze rywalizowali z mieszkańcami Efezu. O Efezie mówiliśmy przed miesiącem. Z Efezu do Smyrny jest ok. 110 km, to jest mniej więcej 2 - 3 dni drogi. A więc jedno i drugie miasto było stosunkowo blisko siebie, i stąd ta rywalizacja była posunięta bardzo daleko. Kiedy więc Rzymianie umniejszyli status Smyrny, Efez na tym zyskał, natomiast mieszkańcy Smyrny byli niepokieszeni.

W Smyrnie mieszkało też sporo Żydów. Oni przybywali tam w różnych okolicznościach, głównie w II i I wieku przed Chrystusem, i wchodzili dość wyraźnie, i dość mocno, w komitywę z Rzymianami. Wskutek tego zdobywali sobie liczne przywileje, wyjednywali dla siebie rozmaite ulgi, rozmaite łaski. I powodziło im się stosunkowo dobrze. Jeżeli to, co mówią archeologowie, jest prawdziwe, to w Smyrnie Żydzi odpowiadali za bite tam monety. A więc prowadzili m.in. mennicę, także bank, a więc trudnili się wymianą pieniędzy. A także trudnili się pobieraniem cła ze statków, które tam przyływały. czyli trzymali się bardzo blisko tych spraw finansowych.

Teraz, po tym wszystkim, spróbujmy przeczytać List, a następnie zabierzemy się za jego komentowanie. Myślę, że dzięki temu Smyrna i jej mieszkańcy stali się nam bliżsi. Natomiast właśnie do tych mieszkańców, tylko nie do wszystkich, lecz do mieszkających tam chrześcijan, Apostoł skierował następujący list.

Aniołowi Kościoła w Smyrnie napisz:

To mówi Pierwszy i Ostatni,

który był martwy, a ożył:

Znam twój ucisk i ubóstwo -

ale ty jesteś bogaty -

i [znam] obelgę wyrządzoną przez tych, co samych siebie zowią Żydami,

a nimi nie są, lecz są synagogą szatana.

Prześń się lękać tego, co będziesz cierpiał.

Oto diabeł ma niektórych spośród was wtrącić do więzienia,

abyście próbie zostali poddani,

a znosić będziecie ucisk przez dziesięć dni.

Bądź wierny aż do śmierci,

a dam ci wieniec życia.

Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Zwycięzcy śmierć drugą na pewno nie wyrządzi szkody.

Tyle list. Ten list różni się od wszystkich innych tym, że jest to jedyne pismo, obok listu do chrześcijan w Laodycei, w którym nie ma żadnego upomnienia. Jeżeli dobrze pamiętamy, to w liście do mieszkańców, do Kościoła w Efezie było upomnienie. Tutaj nie ma żadnego upomnienia, jest to wyłącznie pochwała tych chrześcijan, którzy byli w Smyrnie. A skąd oni tam się wzięli? Otóż w Dziejach Apostolskich, gdzie opisuje się podróże św. Pawła Apostoła, nie ma wzmianki o Smyrnie. Możemy się jednak domyślać, że kiedy Paweł Apostoł przebywał w latach 52 – 54 w sąsiednich okolicach, m.in. był w Efezie i Troadzie, a Smyrna leży między Efezem i Troadą, to Paweł był również w Smyrnie. Z tym że Łukasz, który napisał Dzieje Apostolskie, przeoczył bądź po prostu milczał na temat tej obecności Apostoła w Smyrnie. Możemy się też domyślać, że nawet jeżeli sam Paweł nie był w Smyrnie, to na pewno chrześcijańskie wpływy docierały tam z Efezu, położonego bardzo blisko. Faktem jest, że chrześcijanie musieli być tam bardzo wcześnie, czyli gdzieś od około roku 50, i najprawdopodobniej ogromna większość chrześcijan rekrutowała się, pochodziła z Żydów, z wyznawców judaizmu, którzy przyjęli Jezusa Chrystusa, wyznawali Jezusa jako Mesjasza i Syna Bożego, a zatem stali się chrześcijanami.

Co więcej, wygląda na to, że wielka fala emigrantów chrześcijańskich przybyła na teren Azji Mniejszej, a więc na pewno do Smyrny również, po przegranej przez Żydów wojnie i powstaniu, które wybuchło w r. 66 a zakończyło się w r. 70. Wtedy, kiedy Rzymianie zaczęli masowo dokonywać represji na terenie Judei i Galilei, czyli na terenie Palestyny, wówczas wielu chrześcijan przeniosło się do Azji Mniejszej, i zapewne trafili właśnie do Smyrny również. Zatem byli to ludzie o mentalności imigrantów. Byli to ludzie, którzy, jeżeli tam przybyli, przybyli 20 – 25 lat przed tym listem, który dzisiaj czytamy. I przyjrzyjmy się temu listowi.

Aniołowi Kościoła w Smyrnie napisz:

Wspominaliśmy o tym przed miesiącem, że już w przekonaniu św. Jana, i pierwszych pokoleń chrześcijańskich, nie tylko pojedynczy ludzie mają swoich aniołów, Aniołów Stróżów, ale także Kościoły mają swoich aniołów, swoich opiekunów. Ślady tej wiary pozostały do dnia dzisiejszego. Bo wiemy że każdy kościół ma swoje wezwanie, i każda parafia ma swoje wezwanie. I że to wezwanie, i ta okoliczność, jest jakimś szczególnym zwornikiem modlitwy, pobożności, pozyskiwania odpustów itd. W czasach Nowego Testamentu, i w czasach późniejszych, wiara poszła jeszcze dalej — w kierunku tego, żeby każdemu kościołowi przyznać już nie patrona, jak my to czynimy, ale właśnie anioła. Można by powiedzieć tak: kiedy ten list przychodzi, to nie jest to tylko list do tych mieszkańców, do tych chrześcijan, ale jest to list do anioła, który się nimi opiekuje. A więc ten anioł ma obowiązek dopilnować, aby słowa zawarte w liście się spełniły. Zatem nie jest to przypadkowe posłannictwo, ale jest to wyraz opieki Bożej. Kim bowiem jest anioł? Nazwa pochodzi od greckiego angelo — *posyłać, wysyłać*, angelus — spolszczone *anioł* — to wysłannik, posłaniec Boga. I ten właśnie posłaniec Boga stoi na straży tej danej wspólnoty, aby ona mogła żyć, i aby mogła się rozwijać.

To mówi Pierwszy i Ostatni,
który był martwy, a ożył:

Tak, autorem tego listu jest sam Jezus Chrystus. *Pierwszy* — bo Słowo zrodzone u Boga, i *Ostatni* — bo ku Niemu zmierza historia, *który był martwy, a ożył*. Raz jeszcze, jak w tym liście, który czytaliśmy przed miesiącem, mamy silny nacisk na to, co w naszej wierze jest najważniejsze: męka, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. To jest samo sedno naszej wiary dlatego, że przez mękę, śmierć i zmartwychwstanie Jezus dokonał zbawienia. Zatem wiara w to, kim jest Jezus, jest tutaj bardzo żywa. Mało tego — to sam Jezus, który umarł i zmartwychwstał, sam Jezus staje się autorem tych listów, które wierni, wierzący w Niego, mają przyjąć, zrozumieć i starać się je wdrażać w życie.

Tak mamy subtelne nawiązanie do tego wszystkiego, co wydarzyło się pod Damaszkiem. Przypominamy sobie bowiem, kiedy prześladowca Szaweł udawał się z Jerozolimy do Damaszku, to wtedy w pewnym momencie przed osiągnięciem stolicy Syrii spadł z konia i usłyszał słowa: „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?” „Kim ty jesteś?” zapytał Szaweł. „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz.” Szaweł zrozumiał wtedy, że prześladując chrześcijan, wyznających Jezusa Chrystusa, prześladuje samego Jezusa Chrystusa. Ta prawda została ujęta później w słynnej formule,

powtarzanej do dnia dzisiejszego i wyznawanej, o Kościele jako mistycznym ciele Jezusa Chrystusa. Że Chrystus jest obecny w każdym z tych, którzy w Niego wierzą, oraz w Kościele, który jest Jego Ciałem. I właśnie ta obecność Jezusa Chrystusa we wspólnocie jest tak bardzo mocno podkreślona. Przypominam, że jest to mniej więcej rok 95. Święty Jan apostoł znał Jezusa jako dziecko. Teraz jest już starcem i zdaje sobie sprawę z tego, że te wspólnoty, do których pisze swoje listy, nie są pozostawione same sobie. Że ich los jest jednocześnie losem Jezusa Chrystusa. I dalej czytamy tak:

Znam twój ucisk i ubóstwo -
ale ty jesteś bogaty -

Ucisk i ubóstwo. Ucisk dlatego, że najprawdopodobniej — możemy tutaj się domyślać, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa, położenie chrześcijan na terenie Smyrny było bardzo złe. Dlaczego było bardzo złe? Otóż wspomniałem państwu o tym, że od kultu Cezara zwolnieni byli tylko i wyłącznie Żydzi. Ale w każdym mieście Rzymianie ustanowili tzw. delatores, znaczy to po polsku *donosiciel*. Ludzie na usługach władzy, coś w rodzaju szpiegów, wywiadowców, którzy w każdym ustroju i w każdym państwie są. Ci ludzie donosili władzom rzymskim o tym, że ktoś nie chce oddawać czci Cesarowi. A oddawanie czci Cesarowi, obok płacenia podatków, było jedynym w gruncie rzeczy widocznym aktem lojalności, bądź być może zapowiedzią buntu wobec władz rzymskich.

Zatem pierwsi chrześcijanie na terenie Smyrny przeżywali ucisk dlatego, że owi delatores donosili władzom rzymskim, że chrześcijanie nie chcą oddawać czci Cesarowi. A skąd brali się delatores? Uczeń przypuszcza, że tymi donosicielami byli Żydzi, którzy nie uwierzyli w Jezusa Chrystusa. I ponieważ spośród tych, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, też większość była Żydami, to w związku z tym tamci, wyznawcy judaizmu, którzy pozostali przy swojej starej wierze, szli do Rzymian i wskazywali donosili na swoich współbraci, tych współbraci — żydowskich chrześcijan, że ci nie oddają czci Cesarowi, a przecież my z nimi nie mamy nic wspólnego.

Proszę zauważyć, że w ten sposób rozdział, pęknięcie w Smyrnie przebiegało wśród Żydów. Zrobiło się rozdwojenie między tymi, którzy uznali Jezusa Chrystusa, oraz między tymi, którzy nie uznali Jezusa Chrystusa. A ponieważ ci, którzy nie uznali Jezusa Chrystusa, byli w bliskich, zażyłych nieraz stosunkach z władzą rzymską, zatem mogli donosić na swoich współbratymców — ale chrześcijan. I w ten sposób chrześcijanie cierpieli prześladowanie z rąk Rzymian.

Teraz, jak państwo wiedzą przygotowany jest film „Quo vadis”. Dzisiaj nawet cała ekipa spotkała się z księdzem Prymasem. Otóż kiedy przychodziło do przemyśleń pewnych scen, wyłoniło się pytanie: „Skąd, jak i kiedy, jak często były prześladowania chrześcijan przez Rzymian?” Wydaje się, że to nie było tak, że Kościół był prześladowany non stop. Tylko w pewnych okolicznościach nasilały się te prześladowania. Wtedy, kiedy te prześladowania się nasilały, to rzeczywiście położenie chrześcijan było tragiczne. A w jakich okolicznościach one się nasilały? Otóż nasilały się wtedy, kiedy doniesiono władzom rzymskim, że chrześcijanie czczą Jezusa, a nie Cezara, i kiedy władze rzymskie niejako z urzędu musiały przeciwko temu reagować. I kończyło się to uciskiem chrześcijan.

I tutaj słyszymy : *Znam twój ucisk*. A więc Kościół w Smyrnie musiał przeżywać prześladowania. I znam również twoją biedę, twoje *ubóstwo*. Możemy się domyślać, że ci chrześcijanie, którzy przybyli tam z Palestyny po roku 70, osiedleni w tym mieście dopiero 20 – 25 lat, zostali odsunięci przez swoich pobratymców Żydów od rozmaitych możliwości zarabiania, a przede wszystkim bogacenia się. Było najprawdopodobniej tak, że Żydzi mieszkający w mieście od pokoleń, którzy nie przyjęli Jezusa Chrystusa, nie chcieli dopuścić tych nowych przybyszów, chrześcijan żydowskiego pochodzenia, do współudziału w dobrach, którymi dysponowali. W ten sposób chrześcijanie należeli do biedniejszej warstwy mieszkańców Smyrny. I apostoł zwraca się do nich z tymi wyrazami uznania: *Znam twój ucisk i twoją biedę*. Czyli przeżywacie prześladowania, i przeżywacie niedostatek. *Ale ty jesteś bogaty*. W ten sposób apostoł wskazuje na pewien paradoks. Że aczkolwiek prześladowania i bieda są czymś zewnętrznym, to jednak prawdziwe bogactwo bądź prawdziwe ubóstwo mieści się we wnętrzu człowieka. To znaczy można być bogatym, i duchowo być żebrakiem, i można cierpieć niedostatek, ale jednocześnie być w sytuacji uprzywilejowanej, bo przeżywać to w poczuciu wolności.

Mamy tutaj pierwszy wielki wyraz uznania wobec Kościoła w Smyrnie. Cierpicie, przeżywacie niedostatek, jesteście prześladowani — a przecież jesteście bogaci. Bo umiecie tę sytuację przeżyć,

umiecie tę sytuację znieść, umiecie w tej sytuacji trwać. Właśnie to, te słowa, które pojawiają się za moment, będą najważniejsze — tzn. wytrwałość. Ten list jest wezwaniem do wytrwałości. Można by powiedzieć, że w jakimś sensie wytrwałość jest kluczem do zrozumienia położenia tego Kościoła. I zachęta do wytrwałości stanowi jego istotę i też klucz, wedle którego my powinniśmy ten list czytać. Dalej:

i [znam] obelgę wyrządzoną przez tych, co samych siebie zowią Żydami,
a nie są nimi, lecz są synagogą szatana.

Ten fragment Apokalipsy jest przytaczany jako jeden z najtrudniejszych tekstów w całych rozmowach i zbliżeniu chrześcijańsko - żydowskim. Ale jeżeli chcemy go zrozumieć, to my musimy nie tylko ustawić się pod kątem tego, co jest lekkie, łatwe i przyjemne, i co strona żydowska chciałaby usłyszeć, lecz musimy starać się zgłębić znaczenie tego tekstu w tamtej sytuacji historycznej — a także i w naszym kontekście. Otóż: *Znam obelgę wyrządzoną przez tych, co samych siebie zowią Żydami, ale nimi nie są.* Obelga! A więc pomiędzy Żydami, którzy nie uznali Jezusa, a tymi Żydami, którzy stali się chrześcijanami, są napięcia, konflikty, i tamci względem chrześcijan miotają obelgi. Na czym one polegały? Otóż najprawdopodobniej na tym że ci, którzy nie uznali Jezusa, mówili o chrześcijanach żydowskiego pochodzenia, że to już nie są Żydzi. A skoro to nie są Żydzi, to nie mogą korzystać z przywilejów zwolnienia z czci, z kultu oddawanego Cezarowi. I w ten sposób zmuszano chrześcijan żydowskiego pochodzenia do pewnego wyboru: albo będą wyznawać Jezusa Chrystusa, i mimo to oddawać kult Cezarowi — religijny kult Cezarowi, a więc będzie się łamało ich sumienia, albo też będą wyznawać Jezusa Chrystusa, odmówią składania tego kultu Cezara, i wtedy będą przez Rzymian, przez pogan prześladowani. I tak właśnie było. Ta *obelga miotana przez tych, co samych siebie zowią Żydami* polegała właśnie na tym, że w sytuacji kryzysu, w sytuacji cierpienia, spychano chrześcijan na pozycje dużo trudniejsze. Zatem nastąpiło pęknięcie we wspólnocie żydowskiej.

Tak mówiąc prawdę to pęknięcie trwa po dzień dzisiejszy. Problem bowiem polega na tym, co to znaczy być Żydem. Wspominaliśmy o tym wielokrotnie. Być Żydem, to być urodzonym z matki Żydówki, oraz wyznawać judaizm. A jeżeli ktoś wyznaje np. islam i ma matkę Żydówkę, to jest Żydem? Jest Żydem, chorym, kalekim, ale jest Żydem! A jeżeli ktoś ma matkę Żydówkę, a jest zupełnie ateistą — te sytuacje są nam bliższe, niż z islamem? Dalej jest Żydem! Chociaż jest ateistą, ale jest Żydem, bo ma matkę Żydówkę.

A jeżeli ktoś ma matkę Żydówkę, a jest chrześcijaninem, to czy jest Żydem? Opinia rabinów jest zgodna — NIE! Zatem z żydowskiego punktu widzenia lepiej jest być ateistą niż być chrześcijaninem. Skoro tak się rzeczy mają — proszę zwrócić uwagę — to początek tej przepaści, która oddziela wyznawców judaizmu i chrześcijan był tutaj w pierwszym wieku. Dlatego, że już wtedy zaczęli odmawiać chrześcijanom żydowskiego pochodzenia tego, że są oni Żydami. Wskutek tego chrześcijanie żydowskiego pochodzenia byli pozbawiani przywileju zwolnienia z kultu Cezara, który mieli wszyscy ówczesni Żydzi. Zauważmy zatem, że chrześcijanie są tutaj na pewno w sytuacji prześladowanych. Powiedzmy też sobie jasno, że ci Żydzi, którzy nie uznali Jezusa, są w sytuacji prześladowców. Oczywiście kiedyś później, w następnych wiekach, te role będą się zmieniały w rozmaity sposób, ale tu w samych początkach mamy do czynienia z ogromnym problemem.

Którzy zowią siebie Żydami, ale nie są nimi, lecz są synagogą szatana. Otóż tutaj św. Jan idzie równie radykalnie, równie gwałtownie jak ci, którzy go kontestowali, którzy występowali przeciwko niemu. Bo św. Jan mówi tak: „Żydami są ci, którzy żyli według Starego Testamentu, i wyznają w Jezusie Chrystusa, wyznają w Jezusie Mesjasza. Skoro cały Stary Testament był ukierunkowany ku przyjściu Mesjasza, to oto Mesjasz przyszedł.” A ci, którzy Go nie uznali? To św. Jan mówi krótko: *to jest synagoga szatana.* Bo odmowa uznania w Jezusie Mesjasza nie jest tylko jakąś prostą odmową, jakimś prostym „nie”, ale zawiera w sobie wymiar zatwardziałości, którego lekceważyć nie wolno. W ten sposób św. Jan bardzo mocno stawia sprawę uznania, bądź nieuznania, Jezusa jako Chrystusa, Jezusa jako Syna Bożego.

Proszę popatrzmy, że w dzisiaj podejmowanych dialogach rozmaitych, także tych międzyreligijnych, nie ma pod tym względem klarowności. Czasami bywa tak, że mówi się wszystkie religie są jednakowe, wszystkie są takie same, wszystkie prowadzą w jednym kierunku, nie jest ważne kto kim jest itd. I kiedy kardynał Ratzinger na początku września ogłosił deklarację *Dominus Jezus*

przypominającą tradycyjną i przyjętą naukę Kościoła o prawdziwości i jedyności zbawczej Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła, to powstała ogromna kontestacja względem tej deklaracji. Bo nadal jest taka wola pójścia w kierunku subiektywizmu — że właściwie nie ma jednej prawdy, tylko każdy ma swoją prawdę. A deklaracja została przecież podparta autorytetem samego papieża. Te reakcje i rozmaite gwałtowne wypowiedzi na razie osłabły, ale w przyszłym roku, jeżeli dożyjemy, przedmiotem tego sympozjum, które mamy zorganizować na uniwersytecie, będzie właśnie dialog międzyreligijny w świetle deklaracji Dominus Jesus. I ten problem jest już tutaj, na samym początku. Żydzi, którzy nie przyjęli Jezusa, odmawiają chrześcijanom uznania, że są Żydami mimo urodzenia z matki Żydówki. Św. Jan odpowiada tym samym — nie, to nie my nie jesteśmy Żydami, to wy przestaliście być Żydami, kiedy żeście zatracili właściwe odczytywanie Starego Testamentu. I staliście się, jak mocno tutaj nazywa, synagogą szatana.

Nie ma mocniejszych słów w całym Nowym Testamencie niż to jedno. Oczywiście gromady komentatorów, interpretatorów starają się te słowa złagodzić, wybielić, nieco pokolorować i obłożyć kwiatkami. Ale na niewiele to się zda, bo problem pozostaje. To znaczy wymowa tych słów jest ostra. Można by powiedzieć: a dlaczego św. Jan, z natury tak łagodny, był tak sarkastyczny i dosadny? Odpowiedź jest prosta — dlatego, że chrześcijanie smyrneńscy bardzo wiele wycierpieli. Dlatego, że przelewała się krew. Dlatego, że za tę krew obwiniali swoich współrodaków Żydów. W związku z tym, w tej sytuacji już nie tylko konfliktu ale przelewu krwi, okrucieństwa, prześladowań, apostoł nie wytrzymał, i powiada „Opamiętajcie się, tak nie wolno. To nie tylko, że kłócimy się wewnątrz własnej wspólnoty etnicznej, ale nie wolno dopuszczać do takiej sytuacji, w której bylibyśmy prześladowani. A skoro jesteśmy, to uświadomcie sobie,” — mówił do swoich współrodaków — „co się z wami stało.” Dalej:

Przestań się lękać tego, co będziesz cierpieć.

Proszę zwrócić uwagę, że apostoł nie zapowiada, że cierpienia ustaną. Apostoł wzywa tych chrześcijan w Smyrnie do tego, aby przestali się lękać cierpienia, które przyjdą. Myślę, że to wskazanie jest niesłychanie ważne dla każdego człowieka, dla każdego chrześcijanina. Chyba na tym polega dojrzałość chrześcijańskiego życia. Otóż każdy z nas ma przed sobą perspektywę różnych cierpień, utrapień, a wreszcie perspektywę śmierci. Psychologowie opisują, że i chrześcijanie przeżywają wątpliwości, że chrześcijanie przeżywają bunty, że chrześcijanie popadają w niewiarę, nawet w swoistą agresję wobec Pana Boga. A umiejętność dojrzałego życia właśnie na tym się zasadza, by przestać się lękać że to cierpienie przyjdzie. I te słowa padły właśnie tam, w Smyrnie. I dalej:

Oto diabeł ma niektórych spośród was wtrącić do więzienia,
abyście próbie zostali poddani,
a znosić będziecie ucisk przez dziesięć dni.

W komentarzu Biblii Tysiąclecia *dziesięć dni* zostało objaśnione, że to jest krótka stosunkowo sprawa, mianowicie dziesięć dni to znaczy „w ogóle krótko” — napisał komentator. Niestety rzecz ma się *na odwrót*. Dziesięć dni, oraz zwielokrotnione dziesięć: dziesięć razy dziesięć, dziesięć razy sto, dziesięć razy tysiąc, a więc sto, tysiąc dziesięć tysięcy, oznacza w Piśmie Świętym *długo*. I mamy tutaj zapowiedź: „Będziecie cierpieć. Niektórzy z was zostaną wtrąceni do więzienia, i pozostaną tam długo. Wobec tego nie lękaj się tego, co będziesz cierpieć.”

Ten Kościół w Smyrnie, ta wspólnota w Smyrnie otrzymuje zapowiedź, że będzie Kościołem męczeństwa. To przedziwna sprawa, ale to się bardzo spełniło. Otóż jednym z najbardziej znanych męczenników kościoła w Smyrnie jest św. Polikarp. On był drugim biskupem Smyrny. Poniósł śmierć męczeńską w roku 155. Kiedy umierał, był już starszym człowiekiem, starym, miał 82 lata. Wzięto go teatru w Smyrnie — teatr zachował się po dzień dzisiejszy — i tam poganie domagali się od niego, żeby się wyrzekł swojej wiary, żeby się wyrzekł wiary chrześcijańskiej. Uczyniono to na oczach zgromadzonego tłumu. I wtedy Polikarp, jak napisane jest w aktach męczenników, najpierw wysłuchał tego żądania a następnie zaczął się szydlerczo śmiać. I podanie nie mogli zrozumieć, dlaczego on się śmieje, skoro stoi w przedsiönku śmierci. A on im powiedział: „To ja 80 lat jestem chrześcijaninem od dziecka, i dzisiaj chcecie żebym ja wyparł się swojej wiary? Przecież niezależnie

od tego, czy będę żył dłużej czy krócej, to perspektywa tego, co przeżyję, jest już żadna. Ja miałbym dzisiaj wyprzeć się Chrystusa? Przenigdy!” I został zamordowany w Smyrnie.

Ilekoć później, przez dalsze jeszcze 150 lat, wybuchały prześladowania, to te prześladowania wyniszczały miejscowych chrześcijan. Zatem te słowa, które tutaj słyszymy, były w jakimś sensie prorocstwem, zapowiedzią losu, który ich czeka. Ale nawet więcej. Na początku naszego stulecia był pewien badacz angielski, anglikanin, Ramsay (William Mitchell Ramsay, 1851-1939), który objechał Azję Mniejszą, opisał jak Azja Mniejsza, czyli dzisiejsza Turcja, wyglądała prawie sto lat temu, i badał ruiny, pozostałości rozmaitych Kościołów. I on, który doskonale znał dzieje tej ziemi, napisał w swojej książce na ten temat — jest to do dzisiaj sztandarowy podręcznik do poznawania dziejów tego regionu — że chociaż wszystkie Kościoły w Azji Mniejszej zachowywały wierność wobec Chrystusa, to Smyrna swoją wiernością przewyższyła pozostałe. Zatem ten list odniósł swój skutek. Apostoła, który wzywał mieszkańców do wytrwałości, spotkał się z ich odpowiedzią trwającą przez pokolenia.

I dalej — te słowa można uczynić mottem dzisiejszego spotkania, bo one są też najczęściej powtarzane w Smyrnie:

Bądź wierny aż do śmierci,
a dam ci wieniec życia.

Otóż wezwanie do wierności. To jest skierowane do mieszkańców Smyrny. Nie wystarczy słomiany zapal, nie wystarczy ot taki sobie ogień. Nie wystarczy tylko jakieś jedno czy drugie poruszenie serca. Wezwanie do wierności, i do wytrwałości. *Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci wieniec życia.* I dalej:

Kto ma uszy do słuchania, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.
Zwycięzcy śmierć drugą na pewno nie uczyni szkody.

Otóż w przekonaniu apostoła każdy człowiek umiera dwa razy. Raz umiera w ciele tak, jak każda istota, każdy organizm musi obumrzeć. Ale potem stajemy przed Bogiem — i tam dopiero rozgrywają się nasze losy na wieczność. Stąd można by powiedzieć, że ci, którzy tam nie wybierają Boga, tam jak gdyby umierają po raz drugi. I ta druga śmierć podczas sądu, na spotkaniu z Bogiem, jest bardziej brzemienne w skutki, niż ta śmierć pierwsza. Bo ta pierwsza jest opuszczeniem ciała, ta druga jest natomiast skazaniem się na życie bez Boga. Ale apostoł mówi że zwycięzcy, więc temu, który wytrwa do końca, ta druga śmierć już nie wyrządzi żadnej szkody. Zatem nagrodą za wytrwałość będzie życie z Bogiem. W ten sposób apostoł w Smyrnie przenosi nacisk z życia doczesnego na wieczność.

Drodzy państwo, człowiek to, co ma jedno, to jest z pewnością życie. Zatem musi je cenić, musi się o nie troszczyć, musi zabiegać o zdrowie, chciałby żyć jak najdłużej. I każdemu z nas wydaje się, że jakby świat bez nas jest niemożliwy. Aczkolwiek dobrze wiemy, że ci, co odchodzili przed nami zostawili lukę, pustkę, ale wszystko biegnie dalej. Otóż cały nacisk z doczesności przeniesiony zostaje na wieczność. W ten sposób już w czasach apostołskich, w Kościele apostołskim, właśnie św. Jan ukazuje tę drugą perspektywę, tę poza bramą śmierci, perspektywę nieba.

Dzisiaj trzeba powiedzieć jedno, że jakby coraz rzadziej chrześcijanie, także w Kościele, także ci, którzy głoszą słowo Boże, mówią o niebie, o czyśćcu, o piekle — tak jak gdyby się wstydzili mówić o tym, jak gdyby to wszystko było staroświeckie. Ale przecież życie chrześcijanina o tyle tylko ma sens, o ile śmierć jest bramą a nie końcem. Jeżeli śmierć byłaby absolutnym końcem, to można by powiedzieć, że i nasze chrześcijańskie życie nie ma większego znaczenia. I tu jest silny związek pomiędzy zmartwychwstaniem Jezusa Chrystusa, a naszym zmartwychwstaniem. Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, napisał św. Paweł, to próżna jest nasza wiara. Ale Chrystus zmartwychwstał, dodaje apostoł. A apostoł Jan, którego pisma teraz czytamy, podkreśla bardzo mocno, że temu, który wytrwa do końca, śmierć drugą już nie zaszkodzi.

Taką to właśnie perspektywę kreśli apostoł dla Kościoła uciśnionego, pośród prześladowań. Ten ucisk był tym większy, że pokłócili się ze sobą i spierali się ze sobą ci, którzy z pochodzenia byli Żydami. I ci chrześcijanie żydowskiego pochodzenia cierpieli tak ogromnie. Na koniec raz jeszcze posłuchają państwo tego listu. Teraz na bieżąco, na świeżo mamy w głowach to, co powiedzieliśmy.

I spróbujmy przypomnieć sobie to, co wiemy o Smyrnie, przypomnieć sobie to, o czym teraz była mowa. I spróbujmy posłuchać tych słów, które powinny być teraz bliższe również nam. Aczkolwiek nie jesteśmy w sytuacji Kościoła uciśnionego, to jednak są Kościoły uciśnione. Słyszeli państwo, że w ubiegłym tygodniu w Azji Środkowej znów zostało zamordowanych kilkudziesięciu chrześcijan dlatego, że nie chcieli przejść na islam. Okrutnie ich zamordowano. Zatem te problemy Kościoła w Smyrnie nie przeszły całkowicie do przeszłości.

Aniołowi Kościoła w Smyrnie napisz:

To mówi Pierwszy i Ostatni,

który był martwy, a ożył:

Znam twój ucisk i ubóstwo -

ale ty jesteś bogaty -

i [znam] obelgę wyrządzoną przez tych, co samych siebie zowią Żydami,

a nie są nimi, lecz są synagogą szatana.

Przestań się lękać tego, co będziesz cierpiał.

Oto diabeł ma niektórych spośród was wtrącić do więzienia,

abyście próbie zostali poddani,

a znosić będziecie ucisk przez dziesięć dni.

Bądź wierny aż do śmierci,

a dam ci wieniec życia.

Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Zwycięzcy śmierć drugą na pewno nie wyrządzi szkody.

Wspomniałem państwu, że ten list miał znaczenie również w naszym stuleciu. Otóż po pierwszej wojnie światowej, gdy powstała dwa lata później Republika Turecka na której czele stanął Atatürk — ojciec Turków, który próbował na terenie Turcji szerzyć rewolucję bolszewicką, i który zmarł w 1938 roku na marskość wątroby, przepił się i umarł. Ale zanim to nastąpiło, Smyrna była oblegana przez Turków. A w Smyrnie mieszkała ludność wyłącznie grecka. Na odsiecz przybyła armia grecka, rozpoczęły się bardzo zacięte walki które miały miejsce w r. 1923. Smyrna została niemal całkowicie zniszczona, w 95 - 98%. Turcy wyparli Greków do morza. Natomiast ci Grecy, którzy tam byli — byli oczywiście chrześcijanami prawosławnymi — umierali tak, jak opowiadali i napisali świadkowie, właśnie z tym fragmentem Pisma Świętego, który zachęcał ich do wytrwałości.

Dzisiaj w Smyrnie są trzy kościoły. Kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, jeszcze jeden kościół, oraz kościół pod wezwaniem św. Polikarpa, tego, o którym wspominaliśmy. W kościele św. Polikarpa jest również bardzo piękna tablica, która upamiętnia Paca, który trafił tam w okresie tuż po Wiośnie Ludów, na początku XIX gdzieś z terenów północno-wschodniej dawnej Rzeczypospolitej. Tablica trwa do dnia dzisiejszego jako świadek, i ślad jednocześnie tej odrobiny polskości. Taka jest Smyrna dzisiaj. Chrześcijan jest bardzo mało. Ale pozostaje faktem, że ten mały liścik stał się dla kilkudziesięciu pokoleń mieszkających tam chrześcijan wielką zachętą do wytrwałości, i że oni ten egzamin zdali.

Od dziś za miesiąc, a dokładniej w drugi poniedziałek miesiąca, czyli 8 stycznia, zapraszam państwa bardzo serdecznie na kolejną konferencję, kolejne spotkanie, poświęcone kolejnemu Kościołowi. Po drodze mamy oczywiście święta Bożego Narodzenia. Chciałbym życzyć państwu obfitych łask Bożych, wszystkiego co dobre, co najpiękniejsze. W niedzielę 24 grudnia będziemy mieli Wigilię. proszę pamiętać i wierzyć mi, kiedy my kapłani będziemy tutaj siadać do wigilijnego stołu, będziemy również pamiętać o każdej i każdym z państwa. I łamiemy się ze wszystkimi opłatkiem.

A najlepsze życzenia niech będą jednocześnie o tyle wyjątkowe, że jak państwo wiedzą za trzy tygodnie kończy się wiek XX, i kończy się drugie tysiąclecie. Ciągłe jeszcze mamy tertio millennio adveniente czyli *zbliżające się trzecie tysiąclecie*. Ale jeżeli przeżyjemy do pierwszego stycznia, jeszcze trzy tygodnie, to będziemy mogli powtórzyć z Kościołem, że tertio millennio adventum est, że trzecie tysiąclecie rozpoczęło się i nadeszło. I życzę państwu na cały ten czas tego przejścia wieków i tysiącleci dużo łask Bożych, dużo siły, dużo pokoju i zdrowia.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

4 List do Kościoła w Pergamonie (dn. 15 stycznia 2001)

Na samym początku jestem winien państwu przeproszenie także za to, że ten termin uległ zmianie. Mieliśmy się spotkać tydzień temu, tzn. w ubiegły poniedziałek. Ale niestety nie doszło to do skutku dlatego, że przez kilka dni przebywałem w Rzymie na zakończeniu Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Oczywiście ten pobyt był planowany wcześniej. Problem tylko polegał na tym, że uległa zmianie godzina przylotu samolotu. I samolot, który miał być w Warszawie w poniedziałek koło godziny drugiej, wylądował około godziny siódmej po południu. No i oczywiście już nie było mowy o odbyciu tej konferencji biblijnej.

Zatem kilka dni byłem w Rzymie. Myślę, że należy się państwu parę słów takiego, może nie tyle podsumowania, ile uwag i obserwacji związanych z zakończeniem Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Powiedzieć można kilka rzeczy. Myślę, że te najważniejsze dadzą się zebrać w kilku zdaniach. Otóż po pierwsze. Choć przedtem mieszkałem w Rzymie przez prawie 5 lat, ponad 20 lat temu, i później przebywałem w Wiecznym Mieście wiele razy, to nigdy nie widziałem w Rzymie takich tłumów, jakie były teraz na zakończeniu Roku Świętego. Mówiąc prawdę to i wcześniej, bo przebywałem w tym Wielkim Jubileuszu jeszcze dwukrotnie, było tam mnóstwo ludzi. Ale to, co się oglądało teraz na zakończeniu tego Wielkiego Jubileuszu, przerasta wszelkie wyobrażenia. Zarówno do poszczególnych bazylik większych, tzn. Maria Maggiore, św. Jana na Lateranie, św. Pawła za Murami, jak oczywiście do Bazyliki św. Piotra, były bardzo, bardzo długie kolejki. I te ostatnie dwa dni przed zakończeniem Wielkiego Jubileuszu, to kolejki były dosłownie już nie metrowe, ale kilometrowe. Np. żeby wejść do Bazyliki św. Piotra trzeba było czekać wiele godzin. Można było wejść tylko, kiedy się tam poszło rano, gdzieś ok. siódmej, wpół do ósmej. Czekaliśmy wtedy mniej więcej pół godziny. Natomiast jeżeli ktoś poszedł do tej bazyliki już po południu, to musiała ona być ostatniej nocy otwarta prawie do rana, żeby kolejka tych tysięcy ludzi mogła do bazyliki wejść.

Zatem ogromne poruszenie, ogromne zainteresowanie tym Wielkim Jubileuszem, i ogromna wiara. Jeżeli ktokolwiek z państwa będzie miał szczęście teraz pojechać do Rzymu, to zobaczą państwo wszystkie te marmury, które otaczają Drzwi Święte, na wysokości mniej więcej człowieka, ludzkich rąk i ludzkich twarzy widać ślady obecności tysięcy, setek tysięcy, a może milionów ludzi. Nawet na tych marmurach widać, że przez ten rok ostatni bardzo się zmieniły.

Druga taka uwaga, która się cisnęła, to bardzo duża liczba Włochów, ale nie tylko Włochów, jednak przede wszystkim oni, do sakramentu pokuty. Otóż jak wiemy był to Rok Jubileuszowy, a więc czas wielkiej łaski. I ja nigdy jeszcze nie widziałem takich kolejek do konfesjonałów tam, w tych wszystkich bazylikach i innych kościołach, jak te, które można było oglądać przez zakończeniem tego Wielkiego Jubileuszu. Jeżeli więc mówimy u nas o ożywieniu wiary, to z całą pewnością także w zachodniej Europie, a zwłaszcza we Włoszech, też się to obserwuje, i te dary Roku Świętego są prawdziwie błogosławione.

Wreszcie trzecia uwaga, myślę, że jakaś trochę osobista, taka zakorzeniona w życiu Kościoła. Można było oglądać, jak Ojciec Święty zamyka te Drzwi Święte. Myślę, że ponieważ była bezpośrednia transmisja telewizyjna, państwo oglądali dokładnie to samo. Będąc na placu św. Piotra można było ten moment oglądać tylko na dużych telebimach, ustawionych w kilku miejscach, gdyż samo to zamknięcie odbywało się przy wejściu do Bazyliki, gdzie mogła być tylko kamera telewizyjna. I muszę państwu powiedzieć że miałem takie wrażenie, że kiedy Ojciec Święty dopełnił zamknięcia tych Drzwi Świętych, że jednocześnie czuło się jakieś takie poczucie spełnionego obowiązku. Można byłoby chyba ten moment zatytułować, opatrzyć taką nazwą: „Spełniony pontyfikat”. I tutaj przypominają mi się słowa, o których już państwu znacznie wcześniej mówiłem. Kiedy to Jan Paweł II został wybrany, i w kilka dni później kardynał Wyszyński powiedział mu — to są historyczne, prawdziwe słowa — że „teraz masz wprowadzić Kościół w trzecie tysiąclecie”. I oczywiście to wprowadzenie Kościoła w trzecie tysiąclecie dokonało się w takim historycznym momencie szóstego stycznia tego właśnie roku poprzez zamknięcie tych Drzwi Wielkiego Jubileuszu, Drzwi Świętych. I myślę, że Ojciec Święty ma jakieś poczucie spełnionej misji. I można by powiedzieć że wszystko, co teraz obserwujemy, wszystko, co teraz widzimy, jest już jakimś zwieńczeniem i zamknięciem tego pontyfikatu. To się widzi, to się czuje. I myślę, że tę świadomość zwłaszcza my, Polacy, powinniśmy mieć.

Tu trzeba powiedzieć jasno że widać wyraźnie, że Jan Paweł II jest chory, że bardzo cierpi.

Oczywiście stara się przewycięzać ten ból, który odczuwa, i stara się być aktywny, stara się być czynny. Ale rzecz jasna zarówno wiek, jak i te strzały niegdyś na placu św. Piotra, i wyczerpanie, robią swoje. I czuje się wyraźnie, że każda taka chwila, każdy taki czas przeżywania przysparza Ojcu Świętemu dużej trudności.

Więc było to wielkie święto, wielka uroczystość, nieprzebrane tłumy na placu św. Piotra, ogromne skupienie, ogromna uwaga, bardzo dużo modlitwy. Ludzie dosłownie z całego świata. Mnóstwo autokarów z całej Italii. Nie było tak bardzo wiele grup polskich. Może dlatego, że jest to czas zimowy, dojazd autokarami przez Alpy jest bardzo trudny. Natomiast dojazd samolotem jest mimo wszystko dość kosztowny, bardzo wielu pielgrzymów, czy chętnych do pielgrzymowania na to nie stać. I z tego powodu liczebność Polaków była stosunkowo skąpa. Ale cały plac, i przyległa ulica Conciliazione, były zajęte przez ludzi, i ogromne to było przeżycie. Oczywiście coś wielkiego się skończyło, coś wielkiego jest za nami.

Rozpoczęliśmy więc nowe stulecie, nowy wiek, nowe tysiąclecie. Każdy z nas rozpoczął pewnie na swój własny sposób, na różne sposoby żeśmy rozpoczęli. Z jednej strony oglądaliśmy się wstecz, z drugiej strony na pewno wybiegaliśmy myślą w przyszłość. I z całą pewnością jesteśmy ciekawi tego, co nas czeka. Możemy tylko — jeżeli wolno jeszcze na jedną refleksję — możemy sobie wyobrazić, że będzie to na pewno wiek jakiegoś przeogromnego przyspieszenia technicznego i technologicznego. Jeżeli się porówna świat w roku 1900, i świat w roku 2000, to przez te sto lat ludzkość uczyniła szalony postęp, jakiego nie uczyniła nigdy przedtem w całych swoich dziejach. Natomiast gdyby to tempo było utrzymane, to wręcz nie sposób sobie wyobrazić, jaki będzie świat w roku 2100.

I uwaga druga. Ten mijający wiek, chociaż był ten bardzo wielki postęp techniczny i technologiczny, to jednak był to wiek najbardziej śmiercionośnych wojen i konfliktów w dziejach ludzkości. Wyginęły setki milionów ludzi na całym świecie w wojnach światowych, w konfliktach zbrojnych, w rozmaitych rewolucjach, przewrotach, gwałtownych wyniszczeniach, przesiedleniach ludności itd. Jeżeli pod tym względem sytuacja polityczna się nie zmieni, jeżeli człowiek nie zmańdrzeje, jeżeli człowiek również nie stanie się lepszy — jeżeli pod tym względem ten wiek, który zaczęliśmy, będzie powtórzeniem wieku XX — to możemy się spodziewać straszliwych dramatów, straszliwych kataklizmów, których rozmiarów nie sposób przewidzieć. Być może nawet straszliwych wojen i wyniszczeń, których lepiej sobie nie wyobrażać. Miejmy nadzieję że tutaj, zarówno wśród ludzi wierzących, jak i wysiłki tych, którzy rządzą, być może tę perspektywę, straszną i taką śmiercionośną, zmienią.

Czy tak będzie — trudno powiedzieć. Trudno też powiedzieć, jaka będzie ta najbliższa perspektywa. Wydaje się, że w tej chwili najbardziej zapalnym punktem świata, tak patrząc z perspektywy trochę europejskiej, jest Bliski Wschód. I bardzo dużo zależy od tego, co dzieje się tam na Bliskim Wschodzie. Zdaje się, że tam następuje eskalacja konfliktu i eskalacja napięć, które mogą mieć bardzo złe skutki nie tylko dla tamtego rejonu, ale także dla innych rejonów świata.

Skoro tak, to na pewno potrzebna jest modlitwa o pokój, wołanie o pokój. I na tym również skupił się Jan Paweł II podczas swojego ostatniego spotkania z dyplomatami kilka dni temu, kiedy to podkreślił, że obowiązkiem dyplomatów jest właśnie troska na rzecz pokoju.

I jeszcze jedna refleksja, już powiedzmy sobie, bardzo poważna. Mianowicie przeżyliśmy Rok Jubileuszowy, Rok Święty. Następny taki Rok będzie w roku 2025. Oczywiście dla wielu spośród nas — trudno powiedzieć dla ilu, ale na pewno dla wielu osób tutaj obecnych — ten Rok, który przeżyliśmy, Rok Święty, był ostatni. I pewnie tylko część spośród nas doczeka tego następnego Roku Świętego 2025. A więc coś też się w naszym życiu bezpowrotnie skończyło.

Myślę, że teraz możemy przejść do kolejnego fragmentu Apokalipsy św. Jana. Będzie to list do Kościoła w Pergamonie, mieście, które ze wszech miar zasługuje na uwagę, i list do Kościoła, który ze wszech miar wart jest tego, by mu poświęcić nieco czasu. Najpierw przeczytałem ten list, potem osadzimy go w kontekście geograficznym i historycznym. Później powiemy o Kościele, do którego ten list był skierowany, oraz o aktualności tej problematyki, która w liście św. Jana Apostoła jest zawarta. Otóż treść tego kolejnego, trzeciego już, listu brzmi tak:

Aniołowi Kościoła w Pergamonie napisz:

To mówi Ten, który ma miecz obosieczny, ostry.

Wiem, gdzie mieszkasz: tam, gdzie jest tron szatana,

a trzymasz się mego imienia

i wiary mojej się nie zaparłeś,

nawet we dni Antypasa, wiernego świadka mojego,
który został zabity u was, tam gdzie mieszka szatan.
Ale mam nieco przeciw tobie,
bo masz tam takich, co się trzymają nauki Balaama,
który pouczył Balaka, jak podsunąć synom Izraela sposobność do grzechu
przez spożycie ofiar składanych bożkom i uprawianie rozpusty.
Tak i ty także masz takich, co się trzymają podobnie nauki nikolaitów.
Nawróć się zatem!
Jeśli zaś nie - przyjdę do ciebie niebawem
i będę z nimi walczył mieczem moich ust.
Kto ma uszy, niechaj posłysz, co mówi Duch do Kościołów.
Zwycięzcy dam manny ukrytej
i dam mu biały kamyk,
a na kamyku wypisane imię nowe,
którego nikt nie zna oprócz tego, kto [je] otrzymuje.

Trzeba powiedzieć po przeczytaniu tego listu, że jest on dla współczesnego słuchacza w Polsce, i gdzie indziej, bardzo trudny. Kiedy posłuchamy takich słów po raz pierwszy, albo kolejny raz — ale bez objaśnienia, to oczywiście musimy przyznać, że bardzo trudno odebrać z nich tę treść, która byłaby potrzebna i pożyteczna dla każdego z nas. Skoro tak, to dzisiejsze wyjaśnienie powinno się przydać. I mam nadzieję, że chociaż po części rozjaśni te problemy i jednocześnie pokaże doniosłość i potrzebę tego listu dla naszego życia.

Najpierw parę słów na temat Pergamonu. Cały czas jesteśmy na terenie Azji Mniejszej, czyli na terenie dzisiejszej Turcji. Dwa miesiące temu omówiliśmy list do Kościoła w Efezie, miesiąc temu omówiliśmy list do Kościoła w Smyrnie. Powiedzieliśmy, że jedno miasto od drugiego dzieli ok. 80 km, może do 100 km — w zależności od tego, jaką drogą się jedzie. A więc stosunkowo blisko. Ze Smyrny do Pergamonu jest mniej więcej 110 km. Pergamon jest przedziwnie położony, w linii prostej mniej więcej 20 km od morza. Ale od morza oddzielają go góry, zatem od strony morza nie widać Pergamonu. Również z Pergamonu nie widać morza, tylko góry. Całe miasto położone jest na wzgórzu, które wybija się 300 m ponad otoczenie. Kiedy się więc jedzie do Pergamonu z którejkolwiek strony, bardzo dobrze to wzgórze widać już z odległości kilkunastu kilometrów.

Właśnie na tym wzgórzu zostało założone pierwsze miasto. Teren jest bardzo sprzyjający człowiekowi, jest bardzo rolniczy. Płynie tam niewielka rzeka Kalikos, a do niej dopływają dwie mniejsze rzeczki, dwa potoki, które są całoroczne. Zatem i ta rzeka, która oczywiście potem daje swoje wody do morza, też jest całoroczna, co w tym rejonie świata znaczy bardzo wiele. Ziemię dookoła tego wzgórza są bardzo żyzne, oraz są dwa jeziora. Ale żeby dostać się na to wzgórze, trzeba piąć się te 300 m do góry. Skoro jedno piętro ma ok. 3 m, to jest to jakby wejście na stupiętrowy wieżowiec. Dzisiaj wjeżdża się tam autokarem, ale objeżdża się te wzgórze dookoła. Ten autokar serpentynami wjeżdża coraz wyżej i wyżej. Natomiast ostatnie mniej więcej 50 - 60 m, czyli mniej więcej 15 - 20 pięter, trzeba pokonać już na piechotę. Jeżeli tam się pojedzie latem, to oczywiście wejście na Pergamon, na Akropol, pamięta każdy, kto się tam znalazł, bo jest to wejście bardzo trudne. Jeżeli jest gorąco, to jest ono oczywiście bardzo kłopotliwe.

W starożytności wybrano to miejsce na miasto ze względu na jego strategiczne położenie. Ze wzgórza można było doskonale obserwować okolicę — widać ją w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Zbudowano zatem gdzieś ok. r. 1000 przed Chr. taki warowny zamek i z tej warowni bardzo skutecznie kontrolowano okolicę. W późniejszych czasach wybudowano także inne miasto dlatego, że na wierzchołku wzgórza było za mało miejsca, żeby mogło tam mieszkać wielu ludzi, więc wybudowano jeszcze jedno miasto u podnóża. Na ruinach tego właśnie miasta u podnóża wierzchołka znajduje się współczesne miasto tureckie, które nosi nazwę Bergama. Liczy ono dzisiaj 50 - 60 tys. ludności. I możemy się łatwo domyśleć, że ta współczesna Bergama żyje z tego starożytnego Pergamonu, i z odwiedzających go turystów.

Największą świetność Pergamon miał w okresie hellenistycznym, po podbojach Aleksandra Wielkiego, tzn. mniej więcej po roku 320 przed Chr. Historia tego wzniesienia jest bardzo ciekawa. Można by powiedzieć nawet, że od dziejów tego wzniesienia zależały w jakimś sensie losy świata — bo proszę posłuchać. Otóż na początku IV wieku, czyli gdzieś ok. roku 300, teren należał do

syryjskiej dynastii Seleucydów, którzy kontrolowali ten teren z odległej Syrii. Jeden z władców syryjskich wyznaczył jako dowódcę Pergamonu człowieka o imieniu Filetajros, pochodzącego z małej osady o nazwie Hias, którego uważał za swojego zaufanego człowieka. Początkowo ten Filetajros był rzeczywiście bardzo lojalny wobec swojego władcy. Ale w r. 283 przed Chr. zbuntował się przeciwko niemu, wszczął powstanie, rebelię. Ponieważ był skarbnikiem swojego władcy, miał pewien zasób pieniędzy. I w skutek tej rebelii przeciw królowi Lizymachowi zupełnie uniezależnił się od niego. Wtedy Pergamon, ok. roku 280 przed Chr., stał się niezależnym miastem-państwem, i zaczęła rządzić dynastia wywodząca się od tego buntownika. Chcąc uniezależnić się od Syrii ów buntownik związał się z Rzymianami. Rzymianie wtedy parli coraz bardziej na wschód, zajęli już tereny dzisiejszej Grecji. Natomiast nigdy nie myśleli o tym, aby zajmować Azję Mniejszą. Nie przychodziło im do głowy, żeby iść na te tereny dlatego że uważali, że jest to już poza zasięgiem ich ekspansji. Jednak następcy owego Filetajrosa, a przede wszystkim Eumenes II, który rządził w latach 197 - 159 — a więc rządził przez 40 lat — wdał się w taki flirt z Rzymianami, związał się z Rzymianami. Wskutek tego, to państwo ze stolicą w Pergamonie bardzo okrzepło i bardzo urosło w siłę.

Wtedy, na początku II wieku przed Chrystusem, w świecie starożytnym pojawił się mit Pergamonu. Wszystko, co pochodziło z Pergamonu było naj...: było najlepsze, największe, najpotężniejsze, najładniejsze, najsolidniejsze. W ten sposób Pergamon zaczął dorównywać takim znanym miastom jak Aleksandria, Ateny, Rzym, Antiochia, Efez. Pergamon tak okrzepł i wzrósł w siłę, że to miasto-państwo podporządkowało sobie całe północno-zachodnie rejony dzisiejszej Turcji. Miasto było bardzo bogate. Wzbogaciło się dzięki rolnictwu, i dzięki eksportowi tych produktów rolnych. proszę sobie wyobrazić, że to małe w końcu miasto było w starożytnym świecie drugim co do wielkości, po Egipcie, eksporterem zboża. Tutaj też ciekawostka — dzisiejszy Egipt jest krajem bardzo biednym, natomiast Egipt starożytny był największym w starożytnym świecie eksporterem zboża. A po Egipcie — właśnie Pergamon. W okolicach Pergamonu również hodowano owce. Rozwinął się przemysł tkacki, przemysł farbiarski. Wszystko to przyczyniało się do zamożności Pergamonu.

Co więcej, z Pergamonem wiąże się jeszcze jedna nazwa, którą dobrze znamy — mianowicie pergamin. Otóż właśnie od nazwy tego miasta została urobiona nazwa materiału rękopiśmienniczego. Pergamin są to skory owcze albo kozie, specjalnie wyprawiane, następnie okrojone na których można było jednostronnie lub dwustronnie pisać. I te skory obcinano specjalnymi nożami czyniąc z nich takie karty. I żeby te karty się nie gubiły, to zapisane skory kładziono jedna na drugą, zszywano po jednym boku. I w ten sposób pojawiły się prototypy, pierwsze załączki dzisiejszej książki. I w Pergamonie powstała jedna z pierwszych na świecie bibliotek. Liczyła ona około ćwierć miliona dzieł. Więc była to ogromna biblioteka, która swoją świetnością dorównywała słynnej bibliotece aleksandryjskiej. Losy tej biblioteki też były bardzo dziwne, ponieważ Antoniusz zajął Pergamon, właściwie siedł tam za przyzwoleniem tych, którzy tam mieszkali, i podarował całą bibliotekę Kleopatrze. I biblioteka została przewieziona do Egiptu, gdzie później została zniszczona podczas podbojów arabskich, ale to dopiero w VII w. po Chrystusie.

Zwróćmy uwagę, że Pergamon w starożytności był miastem, które miało się z czego szczycić. Nawet więcej — był miastem, które miało powody do tego, żeby się do pewnego stopnia chełpić. Szczyt świetności Pergamonu przypadł mniej więcej na lata 159 – 133 przed Chr. Rządziło tam wtedy dwóch władców, kolejno ojciec i syn: Attalos I i Attalos II. Ten drugi zmarł w roku 133. I tutaj rzecz jest bardzo ciekawa. Jak powiedziałem Rzymianie nigdy nie byli zainteresowani wcześniej Azją Mniejszą. Ale Attalos II miał wielki respekt dla Rzymian, i w swoim testamencie zapisał Pergamon, miasto i państwo, Rzymianom. Wskutek tego Rzymianie weszli do Pergamonu, a następnie rozpoczęli ekspansję na teren całej Azji Mniejszej.

Gdyby nie ten testament Attalosa II, to być może Rzymianie nigdy nie weszli by na obszar Azji Mniejszej. To by oznaczało, że losy świata potoczyły by się zupełnie inaczej. Bo nie byłoby później kultury hellenistycznej w głębi Azji Mniejszej, nie byłoby na pewno Cesarstwa Wschodniego, nie byłoby Konstantynopola, nie byłoby Bizancjum, nie byłoby kultury bizantyjskiej itd. Wszystko to, co się stało później, cała ta przeogromna i arcyciekawa historia, jest właściwie skutkiem tego jednego testamentu jednego umierającego człowieka, który tak zakochał się w Rzymie, że Rzymowi zapisał miasto i należące do niego terytoria. Skąd my to wszystko wiemy?

Otóż dzieje Pergamonu znamy bardzo dobrze. Dlatego, bo Pergamon był miejscem wykopalisk

archeologicznych, które prowadzili Niemcy. W latach 1878 – 1880 w Pergamonie pracował archeolog niemiecki Humann. Niedaleko pracował jeszcze Schliemann, który odkrył Troję. Humann na wzniesieniu wydobył na światło dzienne to, czym Pergamon się w starożytności chlubił, tzn. ołtarz Zeusa. Ten ołtarz to jest coś absolutnie wspaniałego. 120 m długości, ponad 2 m wysokości, taki potężny fryz, na którym przedstawiono gigantomachię czyli walkę gigantów, walkę bogów z gigantami, walkę bogów pomiędzy sobą, a wszystko to wykonane jest z białego marmuru. Ponieważ to się znajdowało wysoko nad ziemią i miało długość 120 m, zatem ten potężny ołtarz Zeusa widać było ze wszystkich stron, kiedy się podróżny zbliżał do Pergamonu. Ołtarz, gdy go Humann odkrywał, był oczywiście mocno zniszczony. Wtedy to rząd otomański, a czasy imperium otomańskiego zbliżały się powoli do końca, zawarł specjalną umowę z rządem pruskim, żeby ołtarz Zeusa przewieźć do Niemiec i poddać rekonstrukcji. Przewieziono więc go do Niemiec, z potłuczonych fragmentów złożono całość i ołtarz został udostępniony publiczności w r. 1930. Znajduje się w Berlinie, jest tam cały kompleks, który nosi nazwę Pergamonmuseum. Jeżeli ktoś z państwa chciałby zobaczyć ten ołtarz Zeusa i znaleziska z Pergamonu, to najwięcej znalezisk z Pergamonu jest nie w samym Pergamonie, a właśnie w Berlinie. W 1945 r. sowieci weszli do Berlina. Ołtarz praktycznie wrzucono do wagonów kolejowych, i wywieziono do Petersburga, ówczesnego Leningradu. Chciano włączyć go do muzeum Ermitażu, już nawet został wykazany w katalogu zbiorów. I, jak wieść niesie, na początku lat pięćdziesiątych, w okresie zimnej wojny, Niemcy wysłali delegację do byłego ZSRR, i tam za pieniądze i za wódkę ten ołtarz wykupili, i z powrotem pociągiem przywieźli do Berlina. W roku 1955 z powrotem został złożony, i do dzisiaj można go oglądać właśnie w Berlinie.

Tyle, jeżeli chodzi o znaleziska, i jeżeli chodzi o dzieje Pergamonu. Przejdźmy, po tym wprowadzeniu historycznym i geograficznym, do samego listu. Posłuchajmy, bo zapewne teraz łatwiej nam będzie zrozumieć myśl św. Jana.

Aniołowi Kościoła w Pergamonie napisz:

Skąd się wzięli chrześcijanie w Pergamonie? Otóż najprawdopodobniej jednym z pierwszych apostołów tego miasta był św. Paweł Apostoł. Wydaje się bardzo możliwe, że podczas swojej drugiej podróży misyjnej, która miała miejsce w latach 50 – 54, a później podczas trzeciej podróży misyjnej, kiedy św. Paweł znajdował się na terenie Azji Mniejszej, to zaszedł również do Pergamonu. Ale chyba on tam tego Kościoła nie zakładał, bo wydaje się, że już przed nim byli tam chrześcijanie. To najprawdopodobniej byli Żydzi, którzy znaleźli się w Jerozolimie w dzień zesłania Ducha Świętego. Kiedy wrócili po tym żydowskim święcie Pięćdziesiątnicy do Azji Mniejszej, to oczywiście tam pozostali i w poszczególnych miastach, z których pochodzili, zakładali Kościoły, zakładali pierwsze wspólnoty chrześcijańskie. Gdy św. Paweł docierał na te tereny, to oczywiście już spotykał chrześcijan. A kiedy później, mniej więcej 30 – 35 lat po św. Pawle, pojawił się tam św. Jan Apostoł, to już te Kościoły, te wspólnoty chrześcijańskie, były bardzo okrzepnięte.

To mówi Ten, który ma miecz obosieczny, ostry.

Otóż mamy tutaj nawiązanie do Księgi Izajasza — to jest jedna strona, ale z drugiej strony mamy nawiązanie do realiów Pergamonu. Otóż w Pergamonie rezydował namiestnik rzymski. Przyśługiwało mu tzw. ius gladii czyli *prawo miecza*. Polegało ono na tym, że tylko on mógł skazać kogoś na śmierć, mógł zatwierdzić wyrok śmierci, a także mógł wyrok śmierci cofnąć. I odbywało się to praktycznie tak, że gdy przyprowadzano do niego człowieka, przeprowadzano sąd, to wówczas namiestnik miał w ręku miecz. Ruchem tego miecza decydował, czy ten człowiek ma iść na śmierć, czy też zachowywał mu życie. I właśnie nawiązując do tego namiestnika św. Jan powiada: *To mówi Ten, który ma miecz obosieczny, ostry*. A więc nawiązując do namiestnika wskazuje, że taka władza rozstrzygania między życiem a śmiercią przysługuje tylko Bogu. I symbolicznie nawiązuje do tego miecza, i symbolicznie podkreśla, że ten miecz, który ma Bóg, jest mieczem obosiecznym. A więc jest jeszcze skuteczniejszy od tego, który ma rzymski namiestnik. Oczywiście dla nas taka aluzja jest trudna do zrozumienia. Ale dla tamtych ludzi, którzy na co dzień mogli oglądać to sprawowanie ius gladii, prawa miecza, nawiązanie do wydawania wyroków jest tutaj bardzo jasne. Mamy więc przedstawienie Boga, a szczególnie Chrystusa, Syna Bożego, jako sędziego. Sędziego, który rozstrzyga o ludzkich losach. I dalej:

Wiem, gdzie mieszkasz: tam, gdzie jest tron szatana,

Zwróćmy uwagę, że powiedzieliśmy tutaj sporo dobrego o tym, jak piękny i wystawny był ołtarz Zeusa. Ale dla chrześcijanina, dla chrześcijanina pierwszych wieków zwłaszcza, ten ołtarz Zeusa był przecież niczym innym, jak uosobieniem i wyrazem kultu pogańskiego. Przecież Zeus to było główne bóstwo w panteonie pogańskim. Można by powiedzieć, że Zeus stał na antypodach Jezusa Chrystusa. Dlatego to, co dla pogan było przedmiotem uwielbienia, dla chrześcijan było przedmiotem krytyki. I z tego powodu św. Jan zwraca się do tych chrześcijan, i wypowiada się o Pergamonie bardzo sarkastycznie, z wielką dozą ostrego sposobu patrzenia. Mianowicie: *Wiem, gdzie mieszkasz: tam, gdzie jest tron szatana*. Otóż ci mieszkańcy Pergamonu szczycili się, że mieszkają wysoko, że są niedostępni, że ich twierdza jest nie do zdobycia — a z drugiej strony, że jest zewsząd widoczna, że jest przedmiotem podziwu. I to pogańskie miasto staje się w Apokalipsie symbolem tronu szatana. To jest jedna strona. A druga:

ale trzymasz się mego imienia
i wiary mojej się nie zaparłeś,
nawet we dni Antypasa, wiernego świadka mojego,
który został zabity u was, tam gdzie mieszka szatan.

Z tych słów dowiadujemy się, że prześladowania chrześcijan, które trwały za czasów cesarza Domicjana, o których mówiliśmy w przypadku każdego Kościoła, nie ominęły również Pergamonu. I dowiadujemy się, że w Pergamonie był jakiś chrześcijanin, który miał na imię Antypas, który został nazwany *wiernym świadkiem* Chrystusa, i który *został zabity u was*, zabity tam, w Pergamonie, gdzie jest tron szatana. Powiedzieliśmy, że ta konfrontacja pomiędzy poganami a chrześcijanami, pod koniec pierwszego wieku, była bardzo ostra. Elementy tej konfrontacji, czy obraz tej konfrontacji, zobaczymy wkrótce choćby na filmie „Quo vadis?” Także kiedy się jest w Rzymie, dobrze widać owe katakumby, do których chrześcijanie przez prawie trzy wieki się chronili, do których uciekali, aby ocalić swoje życie. Więc jeżeli słuchamy tego listu, jeżeli jest on tak dosadny, to musimy pamiętać, że chrześcijanie pierwszych wieków cudem nieraz ratowali swoje życie. Stąd napięcie między nimi, i poganami, było bardzo silne. Pergamon, tu nazwany tronem szatana, jest jednocześnie miejscem męczeństwa chrześcijan. I św. Jan daje poznać uznanie dla tego chrześcijanina, którego znamy z imienia — miał na imię Antypas — i który tam został zabity. Można by powiedzieć, że mamy tutaj do czynienia z myśleniem wręcz paradoksalnym. Możemy je streścić tak: namiestnik rzymski skazał na śmierć chrześcijanina, a uczynił tak dlatego, ponieważ miał to prawo miecza. A św. Jan mówi: prawo rozstrzygnięcia o życiu i śmierci przysługuje tylko Bogu. A więc sam Bóg upomni się o swoich wybranych. Sam Bóg upomni się o tych, którzy Go wyznają. I dalej:

Ale mam nieco przeciw tobie,
bo masz tam takich, co się trzymają nauki Balaama,
który pouczył Balaka, jak podsunąć synom Izraela sposobność do grzechu
przez spożycie ofiar składanych bożkom i uprawianie rozpusty.

Mamy tutaj bardzo subtelną aluzję do epizodu znanego ze Starego Testamentu, z Księgi Liczb. Otóż Izraelici wyszli z Egiptu, doszli na pustynię Synaj, otrzymali dziesięć Bożych Przykazań. Idą następnie w kierunku Ziemi Obiecanej. W pewnym momencie, za Jordanem, kiedy mają wejść do Ziemi Obiecanej wychodzi na przeciwko nich prorok pogański Balaam, który stara się ich odwieść od zajęcia tej ziemi, który stara się unicestwić zamiar Boży. I tu św. Jan powiada: chociaż znosicie prześladowania, to macie między sobą takich ludzi, którzy usiłują was odwieść od Chrystusa, jak kiedyś Balaam Izraelitów. Jeżeli św. Jan używa takiego obrazu, nawiązującego do Starego Testamentu, to możemy się domyślać, że czyni to wobec ludzi, którzy pochodzili z Żydów. Bo przecież gdyby byli poganami przedtem, to by nie rozumieli tej aluzji do Starego Testamentu, bo Starego Testamentu jeszcze tak dobrze nie znali. Zatem domyślamy się, że wyznawcami Jezusa Chrystusa są tam przede wszystkim tzw. judeochrześcijanie. I na czym polega ich błąd? Otóż na tym, że wzorem tego starotestamentowego pogańskiego proroka usiłują teraz chrześcijan zwieść na manowce.

W jaki sposób? Przez spożywanie *ofiar składanych bożkom i przez uprawianie rozpusty*. Otóż ofiary składane bożkom to zapewne udział chrześcijan we wspólnych ucztach z poganami. W samej uczcie nie było nic złego. Ale problem polegał na tym, że to mięso, które było spożywane przez pogan, było ofiarowane bożkom pogańskim. A więc uczty miały w swoim podstawowym charakterze wymiar pogański. I apostoł daje poznać, że chrześcijanie nie mogą brać udziału w ucztach

pogańskich. I daje również poznać jeszcze jeden błąd, który się powtarzał w różnych wspólnotach, i który wcześniej św. Paweł tępił np. w Koryncie — ale nie tylko. Mianowicie wyznawali Jezusa Chrystusa, ale jednocześnie dopuszczali się rozpusty. Prawdopodobnie było tak dlatego, że byli to ludzie bardzo bogaci. Tak jak wszyscy inni mieszkańcy Pergamonu, tak i tamtejsi chrześcijanie mieli udział w bogactwie i ogólnej zamożności tego regionu. A ponieważ byli bogaci, sądzili, że mogą sobie na więcej pozwolić. I w ten sposób list, obok pochwały za to, że trwają przy wierze w Jezusa Chrystusa, zawiera również ich krytykę za ich pychę, ich butę, za ich pewność siebie, oraz za schlebianie swoim własnym żądzom.

I to jest właśnie problem, z jakim mamy do czynienia w tym liście. Można by go streścić tak. Że i dzisiaj mamy do czynienia z ogromnym rozwarstwieniem nie tylko społeczeństwa, ale także wyznawców Jezusa Chrystusa. Są wśród nich ludzie bardzo biedni, cierpiący z tego powodu i z wielu innych powodów, ale są również ludzie bardzo bogaci. I można by nieraz mieć wrażenie, że ci bogaci chrześcijanie ulegają pokusie takiego łatwiejszego chrześcijaństwa. Tzn. takiego, w którym mniej od siebie wymagają. W Pergamonie było właśnie tak. I z tego powodu chrześcijanie Pergamonu zostają upomniani. Apostoł powiada: to prawda, że jest wam dobrze. To prawda, że staracie się zachować wierność w tym mieście, które jest tronem szatana. Ale nie możecie sobie folgować. Nie wolno wam pozwalać sobie na niedopuszczalne kontakty z poganami, ani tym bardziej nie wolno wam dopuszczać się rozpusty.

Tak i ty także masz takich, co się trzymają podobnie nauki nikolaitów.

Oprócz takich „praktycznych” nadużyć, mamy też nadużycia natury bardziej teoretycznej. Jak wspominaliśmy miesiąc temu, nikolaici była to sekta, która nie miała właściwego rozeznania co do natury Jezusa Chrystusa. Apostoł to widzi, nie wystarczy wierzyć — mówi — trzeba jeszcze wierzyć tak, jak należy. Trzeba mieć właściwy wizerunek Boga i właściwy wizerunek Jezusa Chrystusa. I teraz pojawia się wołanie:

Nawróć się zatem!

Otóż list do kościoła w Pergamonie można by nazwać wezwaniem, zobowiązaniem do nawrócenia. Proszę zauważyć, że nie jest to zobowiązanie do tego, żeby poganie nawrócili się na chrześcijaństwo. Jest to zobowiązanie, żeby chrześcijanie nawrócili się, tzn. żeby chrześcijanie żyli zgodnie z zasadami Ewangelii. Można by powiedzieć, iż pod tym względem mamy bardzo daleko posuniętą analogię do sytuacji w naszych czasach, kiedy to Jan Paweł II wzywa do nowej ewangelizacji. A więc wzywa nas, którzy już jesteśmy wyznawcami Chrystusa. I dalej:

Jeżeli zaś nie - przyjdę do ciebie niebawem
i będę z nimi walczył mieczem moich ust.

Zatem — zapowiedź kary, zapowiedź sądu. Ale ten sąd będzie odbywać się *mieczem moich ust*, czyli przez upominanie. Sąd, który ma być wezwaniem do zmiany życia, i który ma być szansą na to, aby ci chrześcijanie żyli w nowy sposób.

Kto ma uszy, niechaj posłyszycy, co mówi Duch do Kościołów.
Zwycięzcy dam manny ukrytej

To jest bardzo ciekawy motyw z tą ukrytą manną. Państwo pamiętaj, że w Starym Testamencie, w Pięcioksięgu, mamy opowiadanie o tym, jak to Izraelici idąc przez pustynię wymogli na Panu Bogu, aby ich karmił manną. Stwierdzili, że nie mają co jeść i w związku z tym powiedzieli do Pana Boga: „Czy po to nas wyprowadziłeś na pustynię, żeby nas uśmiercić? My chcemy jeść!” I otrzymali mannę. Tą manną byli karmieni przez czterdzieści lat. Ale w tradycji żydowskiej, która była popularna w tamtych czasach, zachował się również taki wątek, taki motyw, że gdy Izraelici weszli do Ziemi Obiecanej, to wtedy do Arki Przymierza, przechowywanej w świątyni jerozolimskiej, Mojżesz włożył trochę manny. I że ta manna ukryta raz jeszcze stanie się pokarmem ludzi — wtedy mianowicie, kiedy przyjdzie Mesjasz.

Otóż do tego wątku manny ukrytej nawiązał Jezus w synagodze w Kafarnaum, kiedy zapowiedział ustanowienie Eucharystii. I pamiętamy ten fragment, opisany w ewangelii św. Jana w rozdziale 6, jak Żydzi dopominają się u Jezusa o chleb, bo przypominają, że Mojżesz karmił ich przodków

manną. „A Ty co nam dasz?” A Jezus odpowiada: „Tym pokarmem, który Ja wam dam jest Ciało moje”. I kiedy teraz w liście do mieszkańców Pergamonu słyszymy *Zwycięzcy dam manny ukrytej*, to jest to oczywiście aluzja do Eucharystii. Mianowicie św. Jan mówi: ci, którzy są wierni, pomimo swojego bogactwa są wierni Bogu. Ci, którzy trwają przy Chrystusie — ich pokarmem jest Eucharystia. To jest ta manna ukryta, trzymana przez Boga na czasy mesjańskie. Te czasy mesjańskie się zaczęły. Jeżeli więc ktoś chce skutecznie trwać przy swojej wierze, to Eucharystia jest jego chlebem, jest ową ukrytą manną.

Zwycięzcy dam manny ukrytej
i dam mu biały kamyk,
a na kamyku wypisane imię nowe,
którego nikt nie zna oprócz tego, kto [je] otrzymuje.

Cóż to jest ten *biały kamyk*? Otóż w Pergamonie był teatr. Ten teatr zachował się do dnia dzisiejszego. Jest to najbardziej stromy teatr, jaki człowiek zbudował w starożytności. Nawet dzisiaj, kiedy patrzy się na ten teatr, tak bardzo stromy, to człowiek zastanawia się, jak było możliwe go zbudować. Akustyka jest wspaniała. W tym teatrze mieściło się ok. 15 tysięcy ludzi. Jak wyglądały bilety do teatru? Było tam dużo białego marmuru. Wobec tego bilet do teatru polegał na tym, że się szło do dzisiejszej kasy, dawało się pieniądze, a sprzedający dawał kamień, kawałek białego marmuru z napisanym numerem rzędu, albo numerem miejsca nawet, ale zazwyczaj numerem rzędu. I to było podzielone, np. pierwsze rzędy były dla urzędników. Rząd szósty w teatrach greckich zwyczajowo był dla Żydów. Dalej po Żydach szli następni, i na końcu niewolnicy. I wszyscy mieli takie białe kamienie z numerami. I kiedy wchodził do teatru, to stał sprawdzający. I oddawało się ten kamień, i wchodziło się do środka i siadało w tym rzędzie, który był zarezerwowany. Więc podobnie trochę do naszych.

Ten kamień potem wracał do kasy i był sprzedawany na następny występ. I właśnie aluzję do tego białego kamienia znajdujemy i tutaj. Dam *biały kamień*, a na nim *wypisane imię nowe*. A więc już nie numer rzędu w teatrze, ale imię nowe. A cóż to za imię? To jest imię Jezusa! Otóż ci, którzy przetrwają, którzy przezwyciężą samych siebie, otrzymają mannę ukrytą, karmić się będą Eucharystią, a także otrzymają jak gdyby bilet do nowego życia. A co jest tym biletem do nowego życia, do życia wiecznego? Jezus, Jezus Chrystus!

Tak oto, w nawiązaniu do teatru w Pergamonie, św. Jan nawiązuje czy też wyjaśnia sprawę ostatecznego losu i ostatecznego przeznaczenia wierzących w Jezusa Chrystusa. Ten kamień, na którym *wypiszą imię nowe, którego nikt nie zna oprócz tego, który [je] otrzymuje*. Czyli imię Jezusa staje się przepustką do życia wiecznego. Ale tylko ten je zna, czyli tylko ten je ceni, kto je przyjmuje.

Myślę, że po tych rozważaniach ten list jest choćby odrobinę państwu bliższy. Można, streszczając go w kilku słowach, wskazać na to, że do miasta butnego, wielkiego, wspaniałego, o długiej historii, do miasta, w którym była jedna z pierwszych wspólnot chrześcijańskich, apostoł pisze list zachęcając je do pokory, zachęcając do życia zgodnego z Ewangelią, zachęcając do znoszenia prześladowań. I pisząc to wzywa tamtejszych chrześcijan do nawrócenia. A jako fundament tego nawrócenia, jako źródło tego nawrócenia czyni Eucharystię i wiarę w Jezusa Chrystusa, imię Jezusa. Św. Paweł napisał w jednym ze swoich listów, że nie ma na świecie żadnego innego imienia, pod którym moglibyśmy być zbawieni, jak tylko imię Jezusa. I do tego samego nawiązuje tutaj św. Jan.

Chciałbym jeszcze raz przeprosić państwa za głos. Otóż gdyby nie to, że tydzień temu trzeba było odwołać, to pewnie dzisiaj zrobiłbym to samo. Ale w żadnym wypadku nie chciałem tego zrobić, więc proszę mi to wybaczyć. W szczególniejszy sposób chciałbym przeprosić tych z państwa — bo było co najmniej kilka osób, które tydzień temu przyszły jednak na tę konferencję — którzy nie mogli wiedzieć, że została przełożona. Więc tym bardziej przepraszam. I dziękuję pięknie za uwagę. A na następną — z nadzieją, że się nie wydarzy nic nieprzewidzianego, i że będzie już łatwiej mówić, a zatem i łatwiej słuchać — zapraszam w poniedziałek 12 lutego, czyli od dziś za cztery tygodnie. Dziękuję pięknie.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

5 List do Kościoła w Tiatyrze (dn. 12 lutego 2001)

Cieszę się bardzo, że mamy jeszcze raz możliwość wspólnej refleksji. Dobrze pamiętamy, że przedmiotem naszego zainteresowania są listy do siedmiu Kościołów Apokalipsy. I cieszę się bardzo, że jest tak wiele osób. Dla mnie jest to zobowiązanie, i do pewnego stopnia krepujące. Powtarzam to państwu do znudzenia, prawie co miesiąc dlatego, że zawsze ufam że ten wykład, i ten trud związany z państwa podróżą, jest wart tego wysiłku, który państwo podejmują. Bardzo też przepraszam te osoby, które na początku stycznia w ustalonym terminie tutaj przybyły. Natomiast w ostatniej niemal chwili, w przeddzień, został tamten wykład odwołany, i przełożony na następny tydzień. Wiem, że były takie osoby. Więc jest mi bardzo przykro tym bardziej, że to była zima. I proszę mi wybaczyc również i tamtą sprawę.

Po tych wszystkich przeprosinach, które należą się państwu, przejdźmy teraz do rzeczy. I muszę państwu powiedzieć, że to jest naprawdę rzecz niezwykła, żeby listy do siedmiu Kościołów, napisane ok. 1900 lat temu, napisane do chrześcijan innych czasów, i w innym miejscu, cieszyły się takim zainteresowaniem ze strony państwa. Znak to, że istnieje jakaś taka podstawowa solidarność w wierze i ciągłość wiary która sprawia, że te problemy, przed którymi stawali nasi odlegli przodkowie w wierze są jakoś mimo wszystko także naszymi problemami. Byłoby rzeczą najlepszą, niestety jednak z rozmaitych powodów niewykonalną, aby po tego rodzaju spotkaniach biblijnych odbyć podróż biblijną. Jestem przekonany, że gdyby było dane zobaczyć te siedem miast Apokalipsy — od niedawna zaczęły się takie podróże — to z całą pewnością taka grupa, jak ta, przecież to jest kilkaset osób, przeżywałaby tam niezwykle wzruszenia. A świadomość, że moglibyśmy zobaczyć te miejsca, byłaby czymś absolutnie porażającym. Na pociechę — nie po to, żeby można było to zastąpić — chciałbym przypomnieć państwu, że miej więcej za miesiąc, dwa powinien być gotowy album, który nosi tytuł: „Śladami Apostołów Pawła i Jana”. Jest to album kolorowy, wydany w Krakowie, w którym będą dwa wprowadzenia: ks. biskupa Gondeckiego i moje, oraz setki fotografii, m.in. także ze wszystkich omawianych tu miejsc.

Pamiętając państwo, że po ogólnym wprowadzeniu, które miało miejsce w październiku, w listopadzie, grudniu i styczniu omówiliśmy pierwsze trzy listy do poszczególnych Kościołów — mianowicie do Kościoła w Efezie, do Kościoła w Smyrnie i do Kościoła w Pergamonie. Te nazwy, te Kościoły, te wspólnoty, jakże od nas geograficznie i historycznie odległe, stały się nam jednak jakoś bliższe.

Dzisiaj kolej na następny Kościół, na następną wspólnotę — myślę, że bardzo interesującą — mianowicie na list do Kościoła w Tiatyrze. O Tiatyrze powiemy sobie za chwilę, zaczniemy od przeczytania tego listu. Jest on bowiem pod wieloma względami osobliwy. Jego osobliwością jest także i to, że jest najdłuższy ze wszystkich listów. Podkreślałem państwu fakt, że one wszystkie były napisane na niewielkich fragmentach pergaminu albo papirusu. A wszystko dlatego, żeby można je było łatwo zwinąć i schować, żeby mogły przetrwać, i żeby było można na publicznych zgromadzeniach je czytać. Napisane były po grecku. Ten fragment Apokalipsy, z listem do Kościoła w Tiatyrze, w tłumaczeniu na język polski brzmi tak:

Aniołowi Kościoła w Tiatyrze napisz:

To mówi Syn Boży:

Ten, który ma oczy jak płomień ognia,

a nogi Jego podobne są do drogocennego metalu.

Znam twoje czyny, miłość, wiarę, posługę i twoją wytrwałość,

i czyny twoje ostatnie liczniejsze od pierwszych,

ale mam przeciw tobie to,

że pozwalasz działać niewieście Jezabel,

która nazywa siebie prorokinią,

a naucza i zwodzi moje sługi, aby uprawiali rozpustę

i spożywali ofiary składane bożkom.

Dałem jej czas, aby się mogła nawrócić,

a ona nie chce odwrócić się od swojej rozpusty.

Oto rzucam ją na łożę boleści,
a tych, co z nią cudzołożą - w wielkie utrapienie,
jeśli od czynów jej się nie odwróca;
i dzieci jej porażę śmiercią.
A wszystkie Kościoły poznają,
że Ja jestem Ten, co przenika nerki i serca;
i dam każdemu z was według jego czynów.
Wam zaś, pozostałym w Tiatyrze, mówię,
wszystkim, co tej nauki nie mają, tym, co - jak mówią - nie poznali „głębin szatana”:
nie nakładam na was nowego brzemienia,
to jednak, co macie, zatrzymajcie, aż przyjdę.
A zwycięzcy
i temu, co czynów moich strzeże do końca,
dam władzę nad poganami,
a różgą żelazną będzie ich pasł:
jak naczynie gliniane będą rozbici -
jak i Ja to wziąłem od mojego Ojca -
i dam mu gwiazdę poranną.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Ci z państwa, którzy pamiętają poprzednie listy, teraz są upewnieni, że jest to pismo nieco dłuższe. Natomiast wszyscy z państwa, jestem tego pewny, wysłuchawszy tego listu mają zapewne nikle pojęcie o tym, o co tutaj może chodzić. List jest rzeczywiście tajemniczy. Dominującym wątkiem listu jest symboliczna niewiasta Jezabel, i symboliczna rozpusta, która jest potępiona, i jednocześnie jest wezwanie do tego, aby owej rozpusty unikać. O co chodzi? Ten zawołowany czyli ukryty i symboliczny sposób mówienia pozwala nam zrozumieć, że chodzi na pewno o rzecz ważną. Ale jednocześnie o rzecz tego rodzaju, o której apostoł, autor tego listu, nie chce mówić otwarcie. Mówi raczej właśnie w taki sposób symboliczny po to, żeby nie nazywać rzeczy po imieniu. Dlaczego tak? Może dlatego, żeby sobie tych słuchaczy nie zrażać. Może dlatego, że nie chciał pewnych rzeczy, z którymi tam miał do czynienia, właśnie po imieniu nazywać. Trudno nam powiedzieć. Ale spróbujmy przyjrzeć się temu listowi, bo przecież musi on mieć jakiś głęboki sens, skoro został napisany, a następnie był przepisywany, został zapamiętany, i mamy go dzisiaj włączonego do Apokalipsy.

Zacznijmy od samego początku, tzn. od miasta Tiatyry. Pierwsze historyczne wzmianki o tym mieście, położonym nad rzeką Lykos. To nie jest wielka rzeka, taka powiedzmy sobie, jak nasz Wieprz, albo Narew, albo Bug — ale nie tu, bliżej Warszawy, tylko znacznie dalej od Warszawy. Rzeka, która w porze deszczowej, czyli zimą, jest znacznie większa, a latem jest znacznie mniejsza. Nigdy nie była spławna, ale służyła zwłaszcza do nawadniania pól, i tak jest po dzień dzisiejszy. Przypomnijmy sobie, że apostoł porusza się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ja często zastanawiam się nad tym, skąd ci starożytni ludzie tak dobrze znali geografię i topografię. Bo on porusza się po tym rejonie tak, jak gdyby oglądał ten rejon z lotu ptaka. Oczywiście oglądać go w ten sposób nie mógł. Więc jak on znał tę topografię, pozostaje tajemnicą tamtych starożytnych ludzi. Jest faktem, że znał doskonale.

Jan Apostoł zaczął od Efezu, posuwa się dalej na północ do Smyrny, następnie jeszcze dalej na północ do Pergamonu, a następnie skręca na wschód, i obraca się na południowy-wschód od Pergamonu, i dochodzi właśnie do Tiatyry. Może tak właśnie poruszali się pierwsi misjonarze chrześcijańscy. Może ich rozeznanie o Azji Mniejszej, tak zresztą jak i o innych regionach, opierało się na doskonałym rozeznaniu geografii i topografii tych rejonów. Wygląda na to, że był to ściśle ustalony szlak. A więc być może było i tak, że kiedy Jan Apostoł napisał te listy do poszczególnych Kościołów, to ten czy ci, którzy je zanosili, szli zgodnie z tym ruchem wskazówek zegara.

Miasto Tiatyry zostało założone ok. 300 roku przed Chr., aczkolwiek archeolodzy, którzy badali ten teren, odkryli tam znacznie wcześniejsze ślady zasiedlenia. Nie są one jednak poparte żadnymi inskrypcjami, nie ma żadnych napisów, żadnych informacji historycznych. Znalezione tylko pozostałości budowli, i znalezione trochę ceramiki. Natomiast wiadomo, że syryjski król Seleukos Nikator

założył to miasto ok. r. 300, i osiedlił tam Greków. Kraina, w której to miasto leżało, nazywa się Lidia, a jej mieszkańcy nosili w odległej starożytności miano Lidyjczyków. Był to naród nieznanego pochodzenia, nie zachowały się jego jakiegokolwiek istotne zabytki piśmiennicze. Więc tak na dobrą sprawę nie wiemy, kim oni byli.

I dopiero kiedy osiedlili się na tym terenie Grecy, wiemy o tym mieście więcej. Miasto jest położone w dolinie przy drodze biegnącej ze wschodu na zachód, i z północy na południe. Dookoła jest okolica dość przychylna dla człowieka — jest woda, są pola uprawne, a także jest sporo pastwisk. Dlatego to miasto było w starożytności znane ze skór, z ich barwienia, z wyrobów futrzarskich. Ale także uprawiano tam len, i była oczywiście wełna, bo były owce. Zatem było tam już w odległej starożytności bardzo rozwinięte rzemiosło tkackie, włókiennicze, i rozwijał się handel. W związku z tym potworzyły się tam cechy kupców i rzemieślników, było to miasto kupców i rzemieślników. Ponieważ miejscowi kupcy i rzemieślnicy byli dość skonsolidowani, niechętnie dopuszczali do interesów pojawiających się tam Żydów. Tym niemniej, podobnie jak w innych miastach, jeszcze w epoce przedchrześcijańskiej w tej Tiatyrze Żydzi również byli. I pomiędzy jednymi i drugimi, jak to zresztą po dzień dzisiejszy w różnych miejscach świata, była bez przerwy spora rywalizacja.

W Tiatyrze, jak świadczą o tym starożytne dokumenty, był bardzo ciekawy zwyczaj. Tamtejsi rzemieślnicy byli zorganizowani w cechy tak, jak jest dzisiaj. I żeby się zintegrować, także przeciwko Żydom, żydowskim handlarzom, co miesiąc urządzały sobie posiłki, spotkania, wieczerze. Co miesiąc spotykali się przy stole, oczywiście przy jedzeniu i przy picu. I bardzo niechętnie dopuszczali na te spotkania handlarzy żydowskich. Dla odmiany handlarze żydowscy bardzo chcieli na tych posiłkach być, bo uchodziło to za potwierdzenie wejścia do danego cechu. Rzemieślnicy byli różnego rodzaju, bo byli tam ci, którzy wyprawiali skóry, ci, którzy farbowali skóry, farbowali tkaniny. Byli ci, którzy zajmowali się wyrobem przedmiotów metalowych, zwłaszcza bardzo dużo było miedzi. Więc ci rzemieślnicy byli podzieleni na rozmaite cechy, i pomiędzy nimi była też hierarchia. Jedne cechy były lepsze, inne cechy były gorsze — była nieustanna konkurencja i rywalizacja. To wszystko jest ważne żebyśmy zrozumieli, przynajmniej na tyle, na ile da się zrozumieć, to, o czym mowa w niniejszym liście.

Zatem miejscowa społeczność pogańska była bardzo dobrze zorganizowana. Do tego stopnia, że handlarzy z Tiatyry spotykano w rozmaitych miastach Azji Mniejszej, a nawet Europy. Co więcej, wśród tych sprzedawców, wśród tych handlujących były również kobiety. Potwierdzeniem tego, co nam mówi bardzo dużo o statusie kobiety w starożytności, jest obecność kobiety, która miała na imię Lidia i mieszkała w Filipinach, na terenie Grecji. Ona pochodziła z Tiatyry i była jedną z tych osób, które Paweł podczas swoich podróży misyjnych, a dokładniej drugiej wyprawy misyjnej do Europy ok. roku 51, spotkał jako pierwszą, i ochrzcił jako pierwszą kobietę, i pierwszego w ogóle człowieka w Europie. Proszę zwrócić uwagę, że ta ochrzczona w Europie kobieta nie była Europejką z pochodzenia, pochodziła z Azji Mniejszej, właśnie z tej Tiatyry. Ktoś może mieć wątpliwości — jak to możliwe, żeby w owych czasach nie tylko kupcy-mężczyźni, ale również i kupcy-kobiety, przemieszczali się tak daleko. Otóż droga z Tiatyry do Filipin w Grecji zajmowała w starożytności mniej więcej 4 - 5 dni. Wystarczyło zejść z Tiatyry do Smyrny, to było ok. 2 dni drogi. Następnie wsiąść na statek, popłynąć następnie 2 dni i wysiadało się w Europie. Zatem te wodne szlaki były bardzo dobrze obsadzone i były bezpieczne. W tamtych okolicach działali także korsarze. Jeżeli więc chciano mieć z ich strony spokój, przekupywano jeden czy dwa statki korsarskie i czyniono z nich opiekunów danego statku, na którym płynęli zainteresowani. I wtedy ta mafia korsarska chroniła ich przed następną. I w ten sposób oni mogli spokojnie podróżować z jednego miejsca na drugie.

Co jeszcze było w Tiatyrze? W Tiatyrze były czczone dwa bóstwa. Jedno — to Apollon, bóg, który był czczony jako bóg wojny, i bóg męstwa, i bóg siły, i bóg sprytu, i bóg przebiegłości. Wiadomo, że te wszystkie cechy przydawały się kupcom i handlarzom. Apollona czczona tam jako syna Zeusa. Wybudowano dla niego piękną świątynię, jej pozostałości zachowały się do dzisiaj. Ale w Tiatyrze była również świątynia Sybilli. Otóż to, co być może znamy z dawnych opowiadań o wyroczni Sybilli, księgi Sybilli, jest związane z Tiatyrą. Kult Sybilli tym różnił się od innych kultów, że posługę sprawowali nie mężczyźni tylko sprawowały kobiety. Kobiety były kapłankami, i kobiety oddawały cześć owej bogini Sybilli. I być może na tym tle być może będzie nam łatwiej zrozumieć to, o czym mówi apostoł. Nie wiemy dokładnie, kiedy dotarło tam chrześcijaństwo. Jest bardzo prawdopodobne, że podczas drugiej podróży misyjnej był tam św. Paweł Apostoł. Ała na

ten temat wyraźnej wzmianki w Dziejach Apostolskich nie ma. Może, jeżeli próbujemy zgadywać, było tak, że gdy owa Lidia wróciła do domu z Filipi, ochrzczona przez Pawła, może stała się początkiem Kościoła w swoim rodzinnym mieście?

Tiatyra dzisiaj nosi w Turcji nieco inną nazwę — nazywa się Akhizar, i znajduje się mniej więcej przy drodze ze Smyrny w kierunku Ankarę. Archeolodzy odkopali tę starożytną Tiatyrę, ona znajduje się w środku współczesnego miasta. Odkopano grecką agorę, dość dobrze zachowaną, odkopano pozostałości świątyni ku czci Apollona, ku czci Sybilli niestety nie znaleziono. Odkopano resztki kolumn, również jakieś budowle późniejsze, bizantyjskie. I gdyby kogokolwiek z państwa los rzucił w tam te rejony, to tam jest taka dość paradoksalna sytuacja, że trzeba dojechać do samego środka miasta, następnie jest piękny, zadbane deptak, który Turcy urządzili, i w samym środku miasta są te wykopaliska dawnej, starożytnej Tiatyry. Tutaj musimy powiedzieć to, co czasami sobie przypominamy, że Turcy wcale nie byli zainteresowani odkopywaniem pozostałości kultury greckiej dlatego, że między Turcją a Grecją bez przerwy toczy się rywalizacja o te regiony, i archeologia stoi tam na usługach polityki. Ponieważ jednak tych pozostałości archeologicznych nie było wiele, no to Turcy zdobyli się na to, że przeprowadzili tam dość gruntowne badania, i Tiatyra została odkryta.

Tyle na temat Tiatyry. Przyszło tam chrześcijaństwo, nie wiemy dokładnie w jakich okolicznościach. Wiemy jednak, że co najmniej od połowy pierwszego wieku byli tam wyznawcy Jezusa Chrystusa i gdzieś ok. roku 95 – 96, czyli już do drugiego pokolenia wyznawców, apostoł pisze list. I posłuchajmy raz jeszcze:

Aniołowi Kościoła w Tiatyrze napisz:

A więc i Kościół w Tiatyrze też ma swojego patrona. Dlatego, że Pismo Święte stawia sprawę tak: każdy człowiek ma swojego anioła, każda wspólnota ma swojego anioła, każdy Kościół ma swojego anioła, i reminiscencją tej wiary jest nasza wiara w Aniołów Stróżów. Oczywiście dzisiaj, jak dobrze o tym państwo wiedzą, sprawy z aniołami związane są raczej odsyłane do legendy. Pobożność związana z aniołami jest mało rozpowszechniona. Chyba mało które dziecko dzisiaj zna wierszyk „Aniele Boży, Strózu mój . . .” — jeżeli, to pewnie babcia uczy. Natomiast jeżeli chodzi o młodsze pokolenia i o tych, którzy teraz wydają dzieci na świat, pewnie sądzą, że tych aniołów za dużo nie ma. Niezależnie od siły tej wiary musimy wrócić do świadectwa Biblii. Pismo Święte jest przeświadczone, że i ludzie i wspólnoty — każda i każdy — ma swojego anioła. Może więc, mając to na względzie, warto również ożywić i ten aspekt pobożności pamiętając, że nigdy nie jesteśmy sami. Zatem list jest skierowany jak gdyby do Tego, który opiekuje się kościołem w Tiatyrze, i który ma za zadanie przywrócić i naprawić to, co tam wydarzyło się ewentualnie złego.

To mówi Syn Boży:

Ten, który ma oczy jak płomień ognia,
a nogi Jego podobne są do drogiego metalu.

I tak już w tej przedziwnej aluzji mamy odniesienie do tego, co tam w Tiatyrze się działo. Otóż była tam świątynia Apollona. A w świątyni był potężny posąg Apollona. I ten posąg miał oczy *jak płomień ognia*. Tzn. w posągu w miejsce oczu wkładano drogie kamienie, które błyszcząc sprawiały wrażenie żywych. Można to jeszcze zobaczyć w niektórych muzeach. Więc ten posąg Apollona miał *oczy jak płomień ognia, a nogi Jego podobne do drogiego metalu* — ponieważ jego nogi były najprawdopodobniej wykonane z miedzi. Miedź w starożytności była bardzo ceniona, podobnie dzisiaj – znajdują się tacy, którzy ją kradną. Proszę zatem zauważyć, że autor Apokalipsy w przedziwny sposób odwraca jak gdyby proporcje i powiada tak: „W Tiatyrze czcicie boga, który ma te szklane świecące się oczy, oraz ma miedziane nogi. Ale ów bóg, ten bożek, musi się skonfrontować z Synem Bożym. Otóż to Syn Boży w gruncie rzeczy jest jakby odzwierciedleniem, i odwróceniem, i wyzwaniem dla tej pogańskiej wiary. Gdybyście chcieli zrobić wizerunek Jezusa Chrystusa, to Jemu należało by włożyć te świecące oczy, i Jemu należało by dać te drogie nogi, wykonane ze szlachetnego metalu.”

To mówi Syn Boży, który ma oczy jak płomień ognia, a nogi Jego podobne są do drogiego metalu. Zatem już następuje przedziwne przesunięcie akcentów z tego posągu, który tam był

czczony, na Jezusa. Jezus już nie żyje, Jezus zmartwychwstał. Ale ponieważ Grecy byli przyzwyczajeni do sztuk plastycznych, Grecy byli mistrzami w rzeźbie zwłaszcza, zatem apostoł powiada im: „gdybyście chcieli wykonać posąg Jezusa Chrystusa, to on by wyglądał tak, jak posąg waszego boga”.

I że w gruncie rzeczy — i to jest chyba istota, najbardziej subtelna, jeżeli dobrze ten tekst rozumiem — że apostoł daje poznać chrześcijanom i mówi mniej więcej tak: „Jeżeli znacie tę piękną świątynię – a znacie, jeżeli widzicie ten piękny posąg – a widzicie, jeżeli jesteście czasami przymuszani do oddawania mu czci, to patrząc na ten posąg patrzcie tak, jak gdybyście widzieli przed sobą Jezusa Chrystusa. Zatem nie Apollona czcicie, ale wizerunek i podobieństwo Syna Bożego. I tak mamy już to odniesienie, ten punkt zaczepienia dla tego, co było ważne dla miejscowych chrześcijan. A dalej:

Znam twoje czyny, miłość, wiarę, posługę i twoją wytrwałość,
i czyny twoje ostatnie liczniejsze od pierwszych,

Otóż zwróćmy uwagę że tak, jak w każdym liście, tak i chrześcijanie w Tiatyrze zostają pochwaleni. Najpierw za miłość, ta z pewnością jest pierwsza. Pierwsza była w katalogu cnót u św. Pawła, ona jest również pierwsza w Ewangelii św. Jana, w listach św. Jana, i w Apokalipsie św. Jana. „Trwają teraz te trzy: wiara, nadzieja i miłość. Ale z nich największa jest miłość” napisał św. Paweł. Więc *Znam twoje czyny, miłość, wiarę, posługę i twoją wytrwałość*. Zwróćmy uwagę na pochwałę za wytrwałość. Bo przecież żadna cnota nie może ostać się bez wytrwałości. Jeżeli nie ma wytrwałości, jest swoisty słomiany ogień i zapal, który szybko opada. A chrześcijanie zostają pochwaleni za to, że byli i pozostają wytrwali. Ale mamy tutaj również rzecz jeszcze ciekawszą. Mianowicie *czyny twoje ostatnie liczniejsze od pierwszych*. I tak mamy przeciwwagę dla innych Kościołów. Bo innym Kościołom Apostoł mówi: „byliście dawniej gorliwi, a teraz nie”. A tu odwrócona proporcja: „dawniej byliście mniej gorliwi, a teraz wasze dobre czyny są liczniejsze od pierwszych”. Zatem okazuje się, że w tym środowisku pogańskich handlarzy, kupców, rzemieślników, pośród tych rozmaitych cechów wspólnota chrześcijańska umie zachować i rozwijać swoją tożsamość. Bardzo rzadko jest tak, że z pokolenia na pokolenie ludzie stają się lepsi. Zazwyczaj tendencja bywa odwrotna, zwłaszcza jeżeli mamy na względzie 2 - 3 pokolenia. Tutaj było tak, że ci chrześcijanie drugiego pokolenia byli lepsi niż chrześcijanie pierwszego pokolenia. I po tej niezwyklej pochwalie nagle pojawiają się zastrzeżenia. Apostoł mówi:

ale mam przeciw tobie to,
że pozwalasz działać niewieście Jezabel,
która nazywa siebie prorokinią,
a naucza i zwodzi moje sługi, by uprawiali nierząd
i spożywali ofiary składane bożkom.

Należy zakładać, że apostoł przemawia do chrześcijan żydowskiego pochodzenia. Dlaczego? Dlatego, że nawiązuje tutaj do Pierwszej Księgi Królewskiej ze Starego Testamentu, którą tylko oni mogli dobrze znać. Kim była ta prawdziwa niewiasta Jezabel, bo tutaj mamy do czynienia z imieniem symbolicznym? Otóż Jezabel żyła w IX w. przed Chrystusem i była córką króla Sydończyków, na terenie dzisiejszego Libanu, niedaleko granicy Libanu z Izraelem. Jej ojciec był władcą kaanańskim, fenickim, poganinem. Ona wyszła za mąż za króla izraelskiego Achaba. Oboje mieszkali w Samarii. Po przyjeździe do domu męża odwozili go od wiary w Boga Jedynego na rzecz rozmaitych kultów pogańskich. W Pierwszej Księdze Królewskiej mamy opisane wiele przykładów jej występków, natomiast dwa są jakby najważniejsze.

Pierwszy jest związany z zamierzeniem Achaba posiadania winnicy, przylegającej do jego majątku, ale należącej do niejakiego Nabota. Achab chciał ją nabyć, ale Nabot powiedział, że nie sprzeda swojej ojcowizny. Achab wraca smutny do domu. Jezabel — Biblia opisuje to bardzo dokładnie i drobiazgowo — wchodzi do pokoju męża, pyta: „Dlaczego jesteś taki smutny i rozdrażniony?”. Mąż tłumaczy, co się stało. Ona mówi: „To taki z ciebie król? Ja to za ciebie załatwię!” Wychodzi, przekupuje dwóch jakichś podłych ludzi. Każe im składać fałszywe świadectwo przed sądem.

Oni mówią, że Nabot obraził króla. Nabot zostaje skazany na śmierć. I kiedy Nabota ścięto, Jezabel przychodzi do Achaba i mówi: „Bierz winnicę, jest twoja!” W ten sposób była jedną z tych okrutnych kobiet starotestamentowych, na wspomnienie których człowiek może się wzdragać. Inny przykład z tejże samej Księgi Królewskiej, to jej spolegliwość wobec proroków pogańskich, wobec proroków Baala, z którymi musiał na górze Karmel rozprawić się prorok Elias. Ten epizod też dobrze znamy.

W całej tradycji Starego Testamentu owa niewiasta Jezabel stała się przykładem i synonimem podłości, grzechu, podstępu, zdrady. A tradycja żydowska dorzuciła do tego jeszcze jedno: mianowicie uprawianie nierządu. Około-biblijna tradycja żydowska twierdziła, że kobieta tak zła na pewno nie poprzestawała na związkach ze swoim mężem. W związku z tym pozwałała sobie na znacznie więcej. I widziano w niej symbol wszystkiego co najgorsze. Jeżeli więc chciano coś potępić, o czymś powiedzieć bardziej dosadnie, to zarówno w odniesieniu do indywidualnych ludzi, jak i do wspólnot, mówiono, że jest to niewiasta Jezabel. Nie wiem, czy my w polskiej tradycji i w polskiej kulturze mamy jakieś takie negatywne odniesienia, częściej sięgamy raczej po pozytywne. Być może, gdyby pogrzebać, znalazły by się i takie skojarzenia, kiedy człowiek zły i podły staje się symbolem zła i podłości w ogóle.

Więc apostoł powiada, że ma przeciw Tiatyrze to, że pozwala działać niewieście Jezabel. A więc albo jest jakaś jedna kobieta, ale bardziej prawdopodobne, że jest to grupa kobiet — najprawdopodobniej do kobiet to się odnosi — która *nazywa siebie prorokinią, i naucza i zwodzi*. Komentatorzy Nowego Testamentu, egzegeci, uczeni wypisali mnóstwo atramentu na ten temat. Z rozmaitych prób interpretacji jedna wydaje mi się najwłaściwsza. Mianowicie można się domyślać że chodzi tutaj o prorokinię i kapłanki związane z Sybillą. Otóż owa świątynia Sybilli była znana z dawania wyroczni, z wróżenia, z przepowiadania przyszłości. I najprawdopodobniej było tak, że chrześcijanie uwierzyli w Jezusa Chrystusa, oddawali Mu cześć i byli gorliwi, ale w wypadkach trudniejszych, rozmaitych losowych, a zapewne i innych, szli do wyroczni Sybilli, aby ta im powróżyła. Przypomina to do złudzenia dzisiejszą sytuację, nie rzadką w końcu, kiedy to są osoby głęboko wierzące, które biorą udział i we mszy św., i potrafią prosić Boga o pewne rzeczy we mszy św., ale na wszelki wypadek korzystają z pomocy wróżki, astrologa, jakichś przepowiedni, wyroczni. Czyli z jednej strony trwają w wierze, ale z drugiej strony dają chętnie posłuch przepowiadaczom przyszłości. I to jest najprawdopodobniej problem chrześcijan w Tiatyrze. Apostoł Jan wie, że ci, którzy uwierzyli w Jezusa, jednocześnie znajdują czas i siły, żeby pójść i pytać o poradę Sybillę.

Charakterystyczne jest to, że wśród tych kapłanek Sybilli, i w tym sanktuarium Sybilli, silne były wpływy żydowskie. I kiedy później chrześcijaństwo na terenie Azji Mniejszej okrzepło, to najprawdopodobniej Żydzi zadbali o to, żeby rozmaite tego rodzaju wyrocznie zapisywać. I to dało najprawdopodobniej początek owym księgom Sybilli, które przetrwały aż do naszych czasów, i w rozmaitych wersjach były znane i w naszej ojczyźnie. Największą popularność księgi Sybilli w Polsce miały w XIX w., w czasie niewoli, zaborów — zawsze trudne czasy mnożą wróżbitów, magów, przepowiadaczy, czarnoksiężników rozmaitego rodzaju. I zawsze w trudnych czasach znajdują się liczniej niż kiedykolwiek tacy, którzy chcą nie tylko przepowiedzieć przyszłość, ale i na nią wpływać.

I tam apostoł nie zostawia żadnej wątpliwości co do tego, że ta niewiasta Jezabel — owa symbolicznie nazwana grupa kapłanek Sybilli *nazywa siebie prorokinią, a naucza i zwodzi moje sługi, by uprawiali rozpustę i spożywali ofiary składane bożkom*. Dwie są możliwości, jeżeli chodzi o to uprawianie rozpusty. W starożytności znana była tzw. prostytutka sakralna. Polegała ona na tym, że w bliskości sanktuariów pogańskich urządowały i pracowały kobiety, które na sposób wręcz sakralny, uświęcony przez pogańską religię, świadczyły swoje usługi. Był to znak siły, męstwa, kobiecości, płodności itd. Oczywiście te kulty płodności były straszliwie niebezpieczne, i chrześcijaństwo je zwalczało, podobnie jak wcześniej zwalczał je Stary Testament i religia żydowska. Być może było tak, że przy tej świątyni Sybilli świadczone również takie frywolne usługi, z których chrześcijanie też korzystali. Albo — lub: i — było tak, że tam usług nie było, natomiast fakt, że chrześcijanie szli do świątyni Sybilli, korzystali z wróżby, z czarów, z magii, został nazwany nierządem, cudzołóstwem. Dlatego, że postrzega się Boga w kategoriach Starego Testamentu jako zazdrosnego o swoich wyznawców, jako Tego, który nie znosi miłości kierowanej względem Niego, i miłości kierowanej względem bóstw pogańskich.

I druga sprawa, za którą ci chrześcijanie zostają potępieni, to fakt, że *spożywali ofiary składane bożkom*. Kiedy oni mogli spożywać te ofiary składane bożkom? Prawdopodobnie na tych spotkaniach i ucztach organizowanych przez poszczególne pogańskie cechy. Byli rzemieślnicy, powiedzmy folusznicy, wyrabiający skóry, barwiący skóry, bili ci od wyrobów lnianych, wyrabiający rozmaite inne tekstylia, narzędzia i naczynia miedziane, żelazne. I wszyscy oni mieli swoje cechy, a także mieli swoje bóstwa opiekuńcze. Jeżeli chcemy szukać nieco ryzykownej analogii, to jest coś takiego, jak dzisiejsze cechy i zrzeszenia też mają swoich patronów — jedni tego, drudzy tego, trzeci innego itd. I tamci poganie też mieli zupełnie podobny zwyczaj. I kiedy zbierali się na te uczty, to na tych ucztach byli także chrześcijanie. Oni też byli rzemieślnikami. I wierzyli w Jezusa Chrystusa, ale przychodzili na te uczty, i solidaryzowali się ze swoimi pogańskimi kolegami. I kiedy ci poganie organizowali te uczty, np. ci, którzy wyrabiali wino, organizowali uczty ku czci Dionizosa, to i chrześcijanie jedli z nimi mięso, i chrześcijanie jak gdyby brali w tym udział. Zatem z jednej strony wierzyli w Chrystusa, i byli w tym rzetelni, ale Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. I ten podział, ta dwuznaczność, ta ambiwalencja apostoła bardzo drażni.

Nie muszę wyjaśniać, że kiedy przyglądamy się tym problemom kościoła w Tiatyrze to dobrze widać, że coś podobnego dzieje się i dzisiaj. Może niezupełnie chodzi o bóstwa pogańskie, a jeżeli tak — to inaczej nazywane. Ale też nie brakuje ludzi, którzy jak gdyby chwieją się na obie nogi. Co prawda robią to, co do nich należy w Kościele, ale jednocześnie mają czas, siły i środki, aby spożytkować je także jakby obok swojej wiary.

Więc chrześcijaństwo tam żyło, a nawet krzepło, ale było to takie chrześcijaństwo czasami połowiczne. I dalej:

Dałem jej czas, żeby mogła się nawrócić,
a ona nie chce się odwrócić od swojej rozpusty.

Zatem najprawdopodobniej było tak, że czy to jedna kobieta, czy bardziej prawdopodobnie owe kapłanki w świątyni Sybilli, zetknęły się z Ewangelią, zetknęły się z głosicielami Słowa Bożego, otrzymały możliwość nawrócenia. Ale nie chciały tego uczynić. Tak jest i dziś. Jeżeli słabnie wiara, to wiara jest zastąpiona przez astrologię. Tam, gdzie brakuje zdrowej i rzetelnej wiary religijnej, tam pojawiają się sekty, rozmaite grupy pseudoreligijne, tam pojawiają się czary, magia, wróżenie z kart, i na rozmaite inne sposoby człowiek chce wpłynąć na przyszłość. Tymczasem chrześcijaństwo jest taką religią, w której człowiek nie tyle wpływa na przyszłość, ile raczej ją kształtuje z Bożą pomocą. I tutaj mamy też bardzo dosadne potępienie tych środowisk pogańskich w końcu, które omamiały chrześcijan. I te środowiska, te kręgi pogańskie zostają przyrównane przez apostoła do cudzołożnicy. Problem polega na tym, że tak jak w życiu, tak również na poziomie symbolicznym, bardzo trudno jest z tą kategorią zła czy słabości zmagać się, bardzo trudno jest z nią zerwać. I te kapłanki pogańskie najwidoczniej też nie były zbyt podatne na głoszenie Ewangelii.

Oto rzucam ją na łożo boleści,
a tych, co z nią cudzołożą - w wielkie utrapienie,
jeśli od czynów jej się nie odwrócą;
i dzieci jej porażę śmiercią.

Zapowiedź zatem udręki i fatalnego końca zarówno tych, którzy udzielają tych rozmaitych czarnoksiężskich wróżb, przepowiadają przyszłość, jak i tych, którzy z tego korzystają. Właśnie ta aluzja do tego, że *dzieci jej porażę śmiercią*, może wskazywać na to, że nie tylko o teoretyczne wróżby tam chodziło, ale że to sanktuarium pogańskie było w gruncie rzeczy również miejscem rozpusty. I że nawet przychodziły tam na świat dzieci. Potępienie jest bardzo dosadne, potępienie jest bardzo mocne. Bo przecież trwa ciągle tam rywalizacja pomiędzy wiarą w Boga Jedyneho, a pogańskim sposobem życia. W tej rywalizacji ktoś wygrywa, ktoś musi przegrać. Na razie chrześcijaństwo jest jak gdyby rozdwojone. Ciągłe jeszcze chrześcijanie korzystają z tych rozmaitych usług. Ale apostoł zapowiada, że tak być nie może, ani tak nie będzie.

A wszystkie Kościoły poznają,
że Ja jestem Ten, co przenika nerki i serca;
i dam każdemu z was według waszych czynów.

A tu mamy zwrócenie uwagi na to, że tego rodzaju rzeczy, tego rodzaju czyny, są na ogół popełniane indywidualnie, w odosobnieniu. Tzn. nikt się nie pcha na świecznik korzystając z takich usług, albo lecąc do astrologa czy wróżbity. Raczej opowiadamy o tym wąskiemu kręgowi osób. Chcemy zachować tutaj swoją intymność, chcemy to pozostawić w tajemnicy. Mało kto chwali się, że z tego korzysta, albo że wierzy w tego rodzaju rzeczy.

Więc apostoł powiada tak: *wszystkie Kościoły poznają, że Ja jestem Ten, co przenika nerki i serca*. Nerka, w biblijnym sposobie myślenia, to jest symbol sumienia. Otóż nerka jest znakiem tego, co najbardziej ukryte, a jednocześnie niesłuchanie ważne. Starożytni przykładali ogromną wagę do nerek, bo choroby nerek były w starożytności nieuleczalne. Jeżeli nerki źle pracowały, to w organizmie odkładały się rozmaite nieczystości, człowiek bardzo cierpiał, i szybko umierał. Było bardzo mało specjalistów od nerek. Zatem sądzono że to, co najbardziej ukryte, dokonuje się w nerkach, ponieważ nie znano, tak na dobrą sprawę, sposobu ich funkcjonowania. Wiedzano, że mają one funkcje oczyszczające ale nie wiedzano, jak to się dzieje. Więc „Bóg zna nerki” tzn. Bóg zna wszystko, co się dzieje we wnętrzu człowieka. Ale Bóg zna również serce. Serce było w starożytności traktowane nie tyle jako siedziba miłości, tak jak w naszych kulturach, tylko jako siedziba rozumu.

Zatem można by powiedzieć tak: „Ja, Pan, znam to, co najbardziej tajemne w tobie, i to, co zamierzasz”. Czyli — jeżeli są tacy chrześcijanie, którzy korzystają z usług tych kapłanek, jeżeli są chrześcijanie, którzy biegają do astrologów, wróżek i do rozmaitych czarnoksiężników, jeżeli są chrześcijanie, którzy czytają Ewangelię i Sybillę — to niech wiedzą, że Pan Bóg zna ich sumienia, i zna ich zamysły. I że da każdemu według jego czynów. Zatem każdy chrześcijanin powinien wiedzieć, że przed Bogiem nie ma nic ukrytego. Że zaufanie Panu Bogu zakłada nie tylko powierzenie mu swojego życia teraz, ale również zaufanie i powierzenie mu swojej przyszłości. Na nic więc Sybilla, na nic więc wróżki. Sposób życia, który chrześcijanin powinien przyjąć, to sposób życia zakorzeniony w Ewangelii. Jeżeli ktoś sądzi, że może jedną nogą, jedną połową ciała być przy Ewangelii, a drugą połową być przy Sybilli, niech pamięta, że Bóg wie o wszystkim.

Wam zaś, pozostałym w Tiatyrze, mówię,
wszystkim, co tej nauki nie mają, tym, co - jak mówią - nie poznali
„głębin szatana”:
nie nakładam na was nowego brzemienia,
to jednak, co macie, zatrzymajcie, aż przyjdę.

Otóż chrześcijanie tam mieli dziwny zwyczaj, może nie tyle zwyczaj, co dziwne podejście, dziwne nastawienie, które i nam nie jest obce. Na czym ono polegało? Kiedy zobaczyli takiego wysłannika apostoła, to przedstawiali się przed nim w jak najlepszym świetle. Przedstawiali się tak, jakby nic złego się wśród nich nie działo. A nawet mówili: „Wymagaj od nas więcej. My chcemy być jeszcze lepsi. Co mamy robić, abyśmy byli jeszcze lepsi?” Oczywiście nie mówili głośno o swoich wadach ale chcieli, aby stawiać im poprzeczkę jeszcze wyżej. Twierdzili, że stronią od poznawania „głębin szatana” — bo Sybillę w starożytności również kojarzono z szatanem — i mówili apostołowi, chcąc pozyskać jego przychyłność „Daj nam nowe zadania, abyśmy mogli je wykonać”. Apostoł mówi *nie nakładam na was nowego brzemienia*. Nie chcę, abyście żądali ode mnie coś nowego. Bądźcie wierni temu, co znacie, do czasu *aż przyjdę*. **Cały czas mówi tu Chrystus i apostoł**. Zatem nie szukajcie czegoś więcej, tylko poprzestawajcie na tym, co powinniście robić.

To znów bardzo ważny i bardzo ciekawy wątek. Dlatego, że też jest jakiś aspekt chrześcijańskiej duchowości, również współczesnej, że człowiek chciałby aby nakładano na niego dodatkowe jarzmo. Już nie wystarczy, że pości w piątek. Chciałby jeszcze i w środę, i w poniedziałek. I ma za złe wszystkim innym, którzy nie postępują tak jak on, bo wydaje mu się, że działanie w świecie, i świadectwo w świecie polega na tym, żeby innych uczynić siłą dobrymi. A żeby ich upodobnić do siebie. Apostoł mówi „nie, nie nakładam na was nowego brzemienia”. Zachowywanie przykazań jest zawsze trudne. Jeżeli człowiek podejmuje się zbyt wiele, może zrezygnować ze wszystkiego. Lepiej podejmować mniej ale zachować wierność, niż stawiać sobie poprzeczkę tak, że nie będziemy w stanie tej poprzeczki przeskoczyć. I dalej:

A zwycięzcy
i temu, co czynów mych strzeże do końca,

dam władzę nad poganami,
a różgą żelazną będzie ich pasł:
jak naczynie gliniane będą rozbici -
jak i Ja to wziąłem od mojego Ojca -
i dam mu gwiazdę poranną.

Apostoł cały czas mówi językiem Pisma Świętego. Tutaj cytuje Psalm II. Mamy tam słowa: „a różgą żelazną będzie ich pasł, i jak naczynie gliniane będą stłuczeni”. Apostoł daje poznać, na czym polega konfrontacja pomiędzy chrześcijanami, a poganami. Otóż polega ona na tym że tak, jak Psalm II odnosił się do władzy królewskiej Chrystusa i ją zapowiadał, tak chrześcijanie w konfrontacji z poganami mają być naśladowcami Chrystusa, i mają mieć współudział w jego władzy królewskiej. Tzn. chociaż siła i przewaga polityczna jest po stronie pogan, to przewaga moralna jest po stronie chrześcijan. Chociaż poganie narzucają swój styl życia, to jednak chrześcijanie powinni być naśladowcami Chrystusa, którego Psalm II, napisany na długo przed Jego przyjściem, przepowiadał. Jeżeli więc chcesz pozostać sobą w tych warunkach zorganizowanego pogaństwa, pamiętaj o Chrystusie i przykładzie, jaki On dał. Zatem językiem Starego Testamentu zwraca się apostoł do chrześcijan. Raz jeszcze przypominam: prawdopodobnie, przynajmniej w większości, byli to chrześcijanie żydowskiego pochodzenia, skoro ten język rozumieli. Najprawdopodobniej byli to nawróceni z judaizmu, do których ten język trafiał. I właśnie to oni ulegali wpływom pogańskim, ale zarazem oni otrzymali upomnienie, aby w tej trudnej sytuacji, w tej sytuacji, która ich pociągała do niewierności, pozostać naśladowcami Chrystusa.

Ja wziąłem to od mojego Ojca -
i dam mu (*czyli: temu Kościołowi*) gwiazdę zaranną.

Gwiazda zaranna dla człowieka starożytności, i dla człowieka Wschodu dzisiaj, jest symbolem nadziei, radości, nowego dnia, symbol pewności i życia, i życia wiecznego. Zatem apostoł mówi: „Jeżeli chcecie ustrzec swojej nadziei, jeżeli chcecie otrzymać życie wieczne, jeżeli chcecie współuczestniczyć w tym, co przeznaczył dla was Pan Bóg, musicie iść tą drogą, którą ja wam wskazuję. Bo tylko wtedy możecie zobaczyć tę gwiazdę zaranną, czyli symbol życia danego przez Chrystusa.” Mówiąc inaczej: „Tylko wtedy możecie mieć prawdziwą nadzieję na życie z Bogiem, kiedy życie po Bożemu, tzn. kiedy całą nadzieję pokładacie w Bogu. Jeżeli natomiast wasza nadzieja rozkłada się między Boga i Sybillę, między Boga i bożków, między wierność Bogu a wpływy pogańskie, to ta nadzieja jest słaba, a zatem pewność zbawienia jest mniejsza.”

Kto ma uszy, niechaj posłysz, co mówi Duch do Kościołów.

Taki jest ten list. Jeszcze raz go przeczytam z nadzieją, że teraz jest jakby bardziej zrozumiały. Posłuchajmy:

Aniołowi Kościoła w Tiatyrze napisz:
To mówi Syn Boży:
Ten, który ma oczy jak płomień ognia,
a nogi Jego podobne są do drogiego metalu.
Znam twoje czyny, miłość, wiarę, posługę i twoją wytrwałość,
i czyny twoje ostatnie liczniejsze od pierwszych,
ale mam przeciw tobie to,
że pozwalasz działać niewieście Jezabel,
która nazywa siebie prorokinią,
a naucza i zwodzi moje sługi, by uprawiali rozpustę
i spożywali ofiary składane bożkom.
Dałem jej czas, by się mogła nawrócić,
a ona nie chce się odwrócić od swojej rozpusty.
Oto rzucam ją na łożo boleści,
a tych, co z nią cudzołożą - w wielkie utrapienie,
jeśli od czynów jej się nie odwrócą;
i dzieci jej porażę śmiercią.

A wszystkie Kościoły poznają,
że Ja jestem Ten, co przenika nerki i serca;
i dam każdemu z was według waszych czynów.
Wam zaś, pozostałym w Tiatyrze, mówię,
wszystkim, co tej nauki nie mają, tym, co - jak mówią - nie poznali
„głębin szatana”:
nie nakładam na was nowego brzemienia,
to jednak, co macie, zatrzymajcie, aż przyjdę.
A zwycięzcy
i temu, co czynów mych strzeże do końca,
dam władzę nad poganami,
a różgą żelazną będzie ich paść:
jak naczynie gliniane będą rozbici -
jak i Ja to wziąłem od mojego Ojca -
i dam mu gwiazdę poranną.
Kto ma uszy, niechaj posłysz, co mówi Duch do Kościołów.

I tak, drodzy państwo, przebrnęliśmy przez ten list. Tiatyra była pełna kupców i handlarzy. Była bardzo otwarta na obce wpływy, i to udzielało się chrześcijanom. I w tym świecie pogańskim, który tam silnie oddziaływał na chrześcijan, apostoł zachęca wyznawców Jezusa Chrystusa aby ustrzegli swojej tożsamości, aby pozostali sobą, aby nie ulegali bałwochwalstwu, aby nie chwiali się na dwie strony, i nie dzielili serca i sumienia pomiędzy to, co pogańskie i to, co chrześcijańskie. Tylko w ten sposób, powiada do nich, możecie osiągnąć nadzieję na życie z Bogiem, kiedy zachowacie wierność do czasu, aż przyjdę.

Dlatego ten list jest tak piękny, tak bardzo przemawiający również i do nas. Bo tamte problemy przecież są aktualne również i dzisiaj.

Tyle, jeżeli chodzi o ów list do Kościoła w Tiatyrze. Na koniec kilka rzeczy. Państwo pamiętają jeszcze z ubiegłego roku, że planowaliśmy jakąś pielgrzymkę do Ziemi Świętej, zwłaszcza taką bardziej tanią. Cały czas przyglądamy się sytuacji w Ziemi Świętej, i niestety na pewno w tym roku akademickim ta pielgrzymka nie może dojść do skutku ze względu na to, że tam sytuacja jest straszliwie skomplikowana. Wygląda na to, że Izraelcy Żydzi poszli na całość. W tej chwili jeżdżą bardzo nieliczne grupy. Jeżeli chodzi o duszpasterstwo pielgrzymkowe księży palotynów, to tylko z ks. Tkaczem, czy z jego zastępcą ks. Wójtowiczem. Natomiast to, co sporadyczne — grupy parafialne, zintegrowane — normalnie biorąc: nie! No i oczywiście zdarza się, że nie wszystko widzą. Nie można przecież, tak przynajmniej sądzę, pojechać do Ziemi Świętej, i nie przeżyć tego jak się należy, tylko widzieć tam sytuację niepokoju itd. Całe stare miasto jest w gruncie rzeczy zamknięte, wiele rzeczy jest nieczynnych, wiele miejsc jest niedostępnych, dróg nieprzejezdnych. No i nie możemy niestety — przynajmniej na razie — niczego planować.

Trudno powiedzieć w jakim kierunku ta sytuacja pójdzie, ale nic dobrego na razie to nie wróży. Wygląda po prostu na to, moim skromnym zdaniem, że część Żydów, zwłaszcza ultraortodoksyjnych i związanych z tzw. Instytutem Trzeciej Świątyni, postanowiła odbudować Trzecią Świątynię. Co by to znaczyło? Znaczyło by to, że zamierzają wysadzić — bo innej możliwości nie ma — Kopułę Skały czyli meczet Omara, i sąsiedni meczet Al-Aksa, i wybudować tam świątynię, w której chcieliby wskrzesić kult. Znamienne, że kiedy parę dni temu Szaron objął rządy, to pierwsze poczynanie to było pójście pod Ścianę Płaczu. I tam powiedział, że wzgórze świątynne jest ich! Szaron jest potomkiem białoruskich Żydów, zdecydowanych w gruncie rzeczy na wszystko. Trudno powiedzieć, jak to się dalej potoczy. Ale gdyby na to się zdecydowali, należy się liczyć z tym, że sytuacja tam jest na granicy wojny. Właśnie dlatego Arabowie są tak straszliwie wyczuleni. Bo dla nich — jeżeli chcemy szukać jakiegoś języka — to byłoby coś takiego, jak gdyby Niemcy weszli do Polski, chcieli wysadzić Jasną Górę, i wybudować coś tam. Dla nich jest to miejsce absolutnie święte. Musimy zatem zaczekać, obserwować to. Charakterystyczne też, proszę państwa, że w środkach masowego przekazu o tym religijnym wymiarze konfliktu nie mówi się w ogóle. Rozmaite polityczne kombinacje, ale nie idzie to w dobrym kierunku.

6 List do Kościoła w Sardes; „Sprawa” Jedwabnego (dn. 12 marca 2001)

Cieszę się bardzo, że państwo znowu tak licznie biorą udział w kolejnym spotkaniu. To dzisiejsze nasze spotkanie będzie podzielone w gruncie rzeczy na dwie części. Część pierwsza będzie dotyczyła kolejnego Kościoła, mianowicie listu do Kościoła w Sardes. Ten list jest krótszy od innych, i pod wieloma względami łatwiejszy, chociaż też bardziej dramatyczny. Myślę, że starczy nam czasu w ramach tej godziny, aby odnieść się jeszcze do tematu niezwykle aktualnego, również nawiązującego do tych treści, o których mówiliśmy przed tygodniem z tymi z państwa, którzy byli na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. A więc temu poświęcimy ostatnie jakieś dwadzieścia minut, czy kwadrans. Natomiast zaczniemy od tego, co jest bezpośrednio treścią naszego spotkania, czyli listu do Kościoła w Sardes.

Zapowiadam państwu od początku, że bardzo rychło ma ukazać się album: „Śladami Apostołów Pawła i Jana”. Mam nadzieję, że będzie bardzo piękny, bo widziałem już jego przedwydaniowe wersje. Powinien być wydany do końca tego miesiąca. Jeżeli tak, to na spotkaniu 9 kwietnia mogliby państwo go zobaczyć i ewentualnie nabyć album, który jest poświęcony miejscom świętym na terenie Azji Mniejszej. Otóż w tym albumie znajdą państwo te miejsca, które omawiamy, tak, jak one wyglądają dzisiaj. Być może to nieco uplastyczni wszystkie Kościoły, do których tak bardzo często nawiązujemy, które są tak daleko od nas i w przestrzeni, i w czasie.

A dzisiaj zacznę od pewnej ciekawostki, ale niesłychanie wymownej. Otóż na przełomie XIX i XX wieku po ówczesnej Turcji, która stanowiła samo serce imperium otomańskiego, pielgrzymował, podróżował i badał ją brytyjski archeolog i historyk William Ramsay. Był to protestant rozmiłowany w Pismie Św., jego ulubione teksty to były Listy św. Pawła i Apokalipsa. Ramsay uzyskał specjalne pozwolenie od sułtana, aby podróżować po Turcji, i rozpoznawać miejsca związane z chrześcijaństwem. Oczywiście zadał sobie również trud, aby odwiedzić siedem Kościołów Apokalipsy, o których my w tym roku rozważamy. Udał się do Efezu, udał się do Smyrny, do Pergamonu, do Tiatyry — o tych Kościołach już mówiliśmy. Udał się również do Sardes, a następnie do Filadelfii i do Laodycei. Podróżował też po innych rejonach ówczesnej Turcji i pozostawił po sobie wspaniałą książkę, która — chociaż od jej napisania upłynęło 100 lat — stanowi nadal fundamentalny podręcznik do chrześcijańskiego zwiedzania Azji Mniejszej. W tej książce zwrócił uwagę na bardzo charakterystyczną rzecz. Mianowicie napisał tak: spośród tych siedmiu Kościołów, Kościoły w Sardes i Laodycei zostały przez Apostoła Jana potraktowane z największą powściągliwością. I znamienne jest to, że tam, gdzie były te wspólnoty, dzisiaj nie zachowało się niemal kompletnie nic.” Apostoł odniósł się do nich z takim dużym dystansem, i — napisał Ramsey — ”kiedy zwiedza się okolice Sardes, i okolice Laodycei, to mamy tylko skąpe pozostałości z dawnej przeogromnej świetności.”

Otóż dzisiaj przychodzi nam zająć się jednym z tych Kościołów, po którym nie zostały prawie żadne szczątki. Natomiast list do tego Kościoła jest bodaj najkrótszy spośród tych siedmiu listów, które my sobie czytamy. Posłuchajmy najpierw tego listu, potem krótko przedstawię państwu dzieje Sardes, dzieje tamtejszej wspólnoty, i wreszcie zajmiemy się treścią tego listu. Apostoł Jan do Kościoła w Sardes napisał tak:

Aniołowi Kościoła w Sardes napisz:

To mówi Ten, co ma Siedem Duchów Boga i siedem gwiazd:

Znam twoje czyny:

masz imię, [które mówi], że żyjesz,

a jesteś umarły.

Stań się czujnym i umocnij resztę, która miała umrzeć,

bo nie znalazłem twoich czynów doskonałymi wobec mego Boga.

Pamiętaj więc, jak wziąłeś i usłyszałeś,

strzeż tego i nawróć się!

Jeśli więc czuwać nie będziesz, przyjdę jak złodziej,

i nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie.

Ale w Sardes masz kilka osób, co swoich szat nie splamiły;

będą chodzić ze Mną w bieli, bo są godni.
Tak szaty białe przywdzieje zwycięzca,
i z księgi życia imienia jego nie wymaże.
I wyznam imię jego przed moim Ojcem i Jego aniołami.
Kto ma uszy, niechaj posłyszcy, co mówi Duch do Kościołów.

Tak pisał Jan do Sardes. Sardes leży w Azji Mniejszej na terenie dzisiejszej Turcji, ok. 100 km na wschód od Morza Śródziemnego, mniej więcej 100 km na wschód od współczesnego Izmiru, w krainie bardzo zielonej, bardzo pięknej, żyznej. Obok rozwiniętego rolnictwa również bardzo dobrze jest tam rozwinięta hodowla owiec i kóz. W związku z tym zarówno w starożytności, jak i teraz, jest tam rozwinięty przemysł włókienniczy, jak zresztą w całej tamtejszej okolicy. Jest tam obfitość wody, często padają deszcze, łagodny klimat. Nic zatem dziwnego, że w tych okolicach ludzie osiedlali się od bardzo dawna.

Sardes jest znane w starożytności przedchrześcijańskiej z tego, że w VI w. było stolicą króla Lidyjczyków, który miał na imię Krezus. Rządził on w latach 560 – 547 p. Chr. czyli ponad dwa i pół tysiąca lat temu, i słynął z przeogromnego bogactwa. Lidyjczycy wynaleźli, jak się sądzi, monety, i wprowadzili je do powszechnego obiegu. Ich monety były bardzo poszukiwane, ponieważ były wyrabiane z czystego złota, i były rozpowszechnione w rozmaitych regionach basenu Morza Śródziemnego. Imię Krezusa weszło do historii i legendy jako synonim kogoś opływającego we wszystkie dostatki. W Sardes pozostała pamięć o niezwykle bogatych początkach. Stąd utarło się takie przekonanie, że nigdy później Sardes nie osiągnęło już takiej świetności, jaką osiągnęło w VI wieku przed Chrystusem.

Już w VI w. przed Chrystusem, tzn. w okresie wygnania babilońskiego, trafili do Sardes pierwsi Żydzi. Tak przynajmniej uważają niektórzy komentatorzy, którzy tłumaczą aluzję w Księdze Abdiasza, najkrótszej księdze Starego Testamentu, z obecnym tam hebrajskim słowem [szarpa](?), jako właśnie aluzję do Sardes. Jest dość prawdopodobne, że podczas wygnania babilońskiego część Żydów uciekła z terenów nad Tygrysem i Eufratem, poszła bardziej na północ, gdzie było dużo spokojniej. I wydaje się prawdopodobne, że już od VI w. była tam prężna wspólnota żydowska. Dodatkowym argumentem są liczne związki, nie tylko dzisiaj, ale i w starożytności, Żydów z pieniędzmi i systemem bankowym, który się w starożytności tworzył. Już w czasach przedchrześcijańskich te związki w Sardes były bardzo mocno potwierdzone.

Kiedy upłynęło 100 lat Sardes zostało zajęte przez Persów, i było stolicą satrapy perskiego. Zatem znowu było bardzo zamożnym miastem. Żydom nadal powodziło się bardzo dobrze. Później, kiedy nastały czasy syryjskich Seleucydów, gdzieś na przełomie III i II w. przed Chr., kolonia żydowska w Sardes była tak znacząca, że sława o niej rozchodziła się po całej Azji Mniejszej. To samo było w czasach rzymskich. W I w. przed Chr. doszło nawet do niezwyklej rzeczy, które opisuje Józef Flawiusz, jeden z najbardziej znanych historyków starożytności, który zresztą był Żydem. Otóż Flawiusz pisze, że Żydzi z Sardes ślali wiernopoddańcze listy do cesarza, upraszając u niego o łaski dla siebie — o wyjęcie ich spod obowiązków, do których należało oddawanie boskiej czci cesarzowi, a więc o możliwość własnej modlitwy. Cesarz na to wszystko się zgodził. Otrzymali zatem możliwość własnej modlitwy, mieli zatem w Sardes własny zarząd, własne pieniądze, własną administrację. Po uzyskaniu takiej wolności wybuchły w Sardes zamieszki antyżydowskie — uważano że ulgi, jakie otrzymali Żydzi, są zbyt duże — i wówczas znowu napisali list do cesarza w którym zwrócili się o jeszcze jeden przywilej. Mianowicie żeby cesarz pozwolił im wysyłać część pieniędzy do Jerozolimy na utrzymanie świątyni. Cesarz również na to się zgodził tak, że z Sardes wysyłano regularnie podatki na rzecz świątyni jerozolimskiej.

Proszę zauważyć, że miasto było zamożne, jego historia długa, a położenie tamtejszej wspólnoty żydowskiej było co najmniej dobre, lub nawet bardzo dobre. Na taki grunt również trafiło chrześcijaństwo. Zwróćmy uwagę, że ponieważ Żydzi mieli tam bardzo dużo do powiedzenia, i mieli bardzo dobre kontakty z Jerozolimą, to apostołowie do Sardes się nie udawali. Św. Paweł, który kręcił się w pobliżu podczas swoich podróży misyjnych, zdaje się do Sardes nie wchodził. Dlaczego? Dlatego że zdawał sobie sprawę, że gdyby tam poszedł — a ci miejscowi Żydzi mają dobre układy z Jerozolimą — natychmiast spotkały by go takie same prześladowania, jakie czekały na niego w Jerozolimie. Więc w gruncie rzeczy nie wiemy, kto przyniósł wiarę chrześcijańską do Sardes. Faktem jest, że ok.

r. 96, za czasów cesarza Domicjana, kiedy apostoł Jan pisze swój list, w Sardes była bardzo mała grupa chrześcijan.

Ci chrześcijanie byli, jeżeli tak można powiedzieć dzisiejszym językiem, pomiędzy młotem a kowadłem. Bowiem z jednej strony byli bardzo bogaci poganie, którzy mieli tam swoje przepiękne wystawne świątynie. Była tam świątynia Artemidy, była tam świątynia Chybele — to było takie lokalne, anatolijskie bóstwo, była tam świątynia Demetry, i była wreszcie świątynia Persefony. Proszę zwrócić uwagę na nazwy tych bóstw — to są wszystko kobiety, to były bóstwa żeńskie. W związku z tym Sardes służyło również, mówiąc delikatnie, z „niefrasobliwego” trybu życia. Obok czcicieli miejscowych przybywały tam również rozmaite kobiety podające się za kapłanki, i dochodziło do rozmaitych nadużyć, także na tle seksualnym. Tak że Sardes było miastem o dwuznacznej reputacji. Do Sardes dojechać, nawet dzisiaj, jest bardzo trudno. Jest ono bowiem położone tak na uboczu od głównych dróg. Do dzisiaj zachowały się pozostałości wspaniałej świątyni Artemidy. Ta świątynia rzeczywiście budzi prawdziwy podziw. Zbudowana u stóp wzgórza, otaczającego ją od strony południowo-wschodniej, jest prawie zawsze w cieniu. Dookoła jest zielono. Biały marmur powoduje, że kiedy patrzy się na tę świątynię z odległości kilkuset metrów, kilometra a nawet dwóch, to ten biały marmur na tle zielonego wzgórza budzi prawdziwy podziw. To jest świat pogański: świątynie pogańskie, kultury bogiń pogańskich, i wystawność tego kultu — to jest jedna strona.

Druga strona — to są Żydzi. Zachowała się wielka synagoga. Pochodzi ona dopiero z III w. po Chrystusie ale należy domniemywać, ponieważ Żydzi budowali synagogi zawsze na jednym miejscu, to znajduje się ona — podobnie jak synagoga w Kafarnaum — na miejscu synagogi starszej. Należy ona do największych synagog, jakie znaleziono w późniejszej starożytności na terenie świata śródziemnomorskiego. Przypomina ona do złudzenia dzisiejszy wielki kościół. Była to synagoga bardzo bogata. Zresztą w ostatnich latach została odnowiona staraniem Żydów amerykańskich, którzyłożyli na to duże pieniądze, i rządu tureckiego, który został nakłoniony przez amerykańskich Żydów, aby również wyłożył fundusze na ratowanie tej synagogi.

Obok tej synagogi znajduje się gimnazjum, a dokładniej: gimnazjon. To też jest znacząca sprawa. W starożytnym świecie, świecie pogańskim, poza Izraelem, Żydzi budowali synagogi na uboczu — nie w środku miasta, tylko na uboczu. Sardes stanowi wyjątek dlatego, że synagoga została zbudowana niedaleko gimnazjonu. Z tego wniosek, że Żydzi w tym mieście byli wspólnotą dominującą. Że w gruncie rzeczy to oni nadawali ton temu, co tam się działo. I druga sprawa. Ponieważ synagoga sąsiaduje z pięknym gimnazjonem, a w gimnazjonie odbywały się ćwiczenia fizyczne, biegi sportowe, tam odbywały się zapasy, i również pobierano naukę np. pogańskiej retoryki, oraz wystawiano sztuki, podobnie jak w teatrze, bądź śpiewano — ponieważ synagoga przylega niemal do gimnazjonu to możemy wnosić, że ci Żydzi z Sardes oprócz tego, że byli bogaci, byli również w bardzo dobrych kontaktach z poganami. Nawet można by powiedzieć, że byli to Żydzi dalece przystosowani do życia w pogańskim świecie. I chociaż utrzymywali ściśle kontakty z Jerozolimą, to na miejscu u siebie pozwalali raczej na życie dość dalekie od ortodoksji.

I ten paradygmat żydowskiego zachowania na obczyźnie można obserwować nie tylko w starożytności, ale i dzisiaj. Również dzisiaj tym, co łączy amerykańskich Żydów, nie jest religia, nie są przekonania, nie jest wiara — ale między innymi wspólnie łożone środki na utrzymanie państwa Izrael. Zatem ta tradycja ma bardzo długi rodowód, i Sardes jest jednym z jej potwierdzeń.

Myślę że teraz, na tym tle mogą państwo nieco lepiej zrozumieć ten list. Chrześcijaństwo przyjmowało się tam z trudem. Ludzie byli bardzo bogaci, ideał wyrzeczenia tam nie trafiał, mówienie o wierze w Jezusa Chrystusa nie było zbyt pociągające. W dodatku ta zażyłość pogan i Żydów powodowała, że był to teren wyjątkowo trudny do rozprzestrzeniania się Ewangelii. Ale przecież jacyś chrześcijanie tam byli. I to właśnie do nich Jan napisał tak:

Aniołowi Kościoła w Sardes napisz:

Zatem i kościół w Sardes ma niejako swojego Anioła Stróża. To, co apostoł pisze, przeznaczone jest nie tyle dla wiernych, ale jakby świadkiem tego ma być sam Bóg, i z Bożą pomocą należałoby te zachęty Jana wdrożyć.

To mówi Ten, co ma Siedem Duchów Boga i siedem gwiazd:

Siedem, jak już dobrze wiemy, to jest cyfra symboliczna oznaczająca pełnię, doskonałość. Zatem apostoł w ten zawoalowany sposób, bo przecież był to czas prześladowań, chce powiedzieć tak: „To, co wam mówię, nie pochodzi ode mnie, ale jest przejawem mądrości Bożej, nauki Bożej. Jest jakby pełnią tej mądrości, którą chciałbym się z wami podzielić. Przyjmijcie ją zatem. W tym jest siedem darów Ducha, i w tym jest siedem gwiazd jako symbol natury, symbol stworzenia, symbol tej mądrości, którą Bóg wlał w dzieła stworzenia.” I czytamy:

Znam twoje czyny:
masz imię, [które mówi], że żyjesz,
a jesteś umarły.

Otóż mamy tu prawdopodobnie nawiązanie do tego, że wszyscy mieszkańcy Sardes wciąż żyli tą bardzo bogatą przeszłością. Chętni się, że z ich miasta pochodził Krezus. Chętni się, że zawsze było to miasto bardzo bogate. Zatem twierdzili, że żyją pełnią życia. Mają świątynie pogańskie, mają pieniądze, mieli przemysł włókienniczy, mieli handel. I pomiędzy nimi są chrześcijanie. Apostoł mówi: „Mówisz, że żyjesz. A przecież jesteś umarły.” A więc apostoł mówi, że pod tą osłoną blichtru, tego bogactwa mieści się jakaś rozpacz, jakiś dramat tych ludzi. I dalej:

Stań się czujnym i umocnij resztę, która miała umrzeć,
bo nie znalazłem twych czynów doskonałymi wobec mego Boga.

Co to znaczy „stać się czujnym”? Także i pod tym względem Sardes miało bardzo ciekawą historię. Akropol, czyli główny punkt miasta, był położony dość wysoko, i był trudno dostępny. Sardes przez kilkaset lat przed Chrystusem nigdy nikt nie oblegał, nikt nie najeżdżał, nikt nie rujnował. Ale dwa razy zostało to miasto splądrowane, zwłaszcza najbliższe otoczenie Agory – tam, gdzie gromadzono pieniądze, bogactwa itd. Dwa razy w ciągu dziejów pod osłoną nocy, zimą, w bardzo złą pogodę najechali jacyś złodzieje i splądrowali dwukrotnie skarbiec miasta. Po tych splądrowaniach w Sardes panowała swoista gorączka. Wystawiano „ochroniarzy”, mało tego — w Sardes, podobnie jak w Rzymie, zatrudniono do pilnowania gęsi. Jak państwo wiedzą gęsi są bardzo czujne na obcych, zatem w rozmaitych punktach miasta poumieszczano zagrody dla gęsi. O ile psa można uspić, albo otruć, albo pozyskać — chociaż w starożytności psy nie były tak wykorzystywane, jak dzisiaj, do tych celów — o ile ludzi również można zwieść, o tyle kilkadziesiąt gęsi jest niezawodne. Z kilkuset metrów wyczuwają obcych ludzi. Nawet dzisiaj w niektórych okolicach Polski, zwłaszcza tam, gdzie są rozmaite zakłady pracy albo bardzo bogate domy itd., coraz częściej oprócz rozmaitych czujników elektronicznych zatrudnia się właśnie gęsi.

I w Sardes panowała taka atmosfera wiecznej czujności. Mianowicie pilnowano, żeby nikt w nocy już nie przyszedł i nie przerzedził zasobów Sardes. W nawiązaniu do tego apostoł mówi: *Stań się czujnym*. Tylko czyni tutaj aluzję już nie do tych skarbów, i zapewne nie do tych gęsi, tylko czyni aluzję do troski o siebie. I *umocnij resztę, która miała umrzeć*. Otóż chrześcijanie w ten sposób mają się stać znakiem dla pozostałych. Dla pogan, i dla Żydów, którzy z różnych względów, i bardzo długo nie przyjęli Ewangelii. Chrześcijanie są zachęceni do tego, aby tak, jak poganie i Żydzi, być czujnymi, ale dla innych celów. Tak jak tamci pilnują swojego skarbu, tak chrześcijanie w Sardes mają się troszczyć o własne wnętrza i dawanie świadectwa Ewangelii.

Bo nie znalazłem twych czynów doskonałymi wobec mego Boga. Okazuje się, że chrześcijanie w Sardes należą do tych nielicznych Kościołów w Apokalipsie, które zostały przez apostoła upomniane. Apostoł mówi te słowa z bólem: „nie znalazłem twych czynów doskonałymi wobec Boga.” Zatem wygląda na to, że w tym bogatym mieście również chrześcijanie byli bogaci. I w związku z tym praktykowanie wiary chrześcijańskiej przychodziło im strasznie trudno. Wygląda na to, że ci miejscowi chrześcijanie brali jakoś udział w tej ogólnej atmosferze pewnego luzu, w której poruszali się i poganie, i Żydzi. I na to właśnie zwraca uwagę apostoł. Popatrzmy, że znacznie trudniej jest być chrześcijaninem w dobrym położeniu, aniżeli w położeniu trudniejszym. Że znacznie trudniej wierzyć w Pana Boga w okresie pomyślności, niż w okresie kryzysu, czy jakiś cierpień i kłopotów. Ja myślę, że my wszyscy tego uczymy się, każdy na swój sposób. I że dopiero jakaś bieda powoduje, że dokonujemy przewartościowania swojej wiary. Wiemy dobrze, że to podejście znalazło wyraz w naszym starym powiedzeniu, przysłowiu, które też zawiera jakąś głęboką mądrość: „jak trwoga

to do Boga”. Natomiast jeżeli tej trwogi nie ma, to i Bóg jest jak gdyby mniej potrzebny. Wydaje się, że to był problem Sardes. Można by powiedzieć, że pod wieloma względami Sardes jest jakimś symbolem i zapowiedzią tych wspólnot chrześcijańskich, w których panuje pewien luz: ekonomiczny, moralny, duchowy. I dalej:

Pamiętaj więc, jak wziąłeś i usłyszałeś,
strzeż tego i nawróć się!

Jan nawołuje chrześcijan w Sardes do nawrócenia. Prosi ich, aby przypomnieli sobie początki swojej wiary: „Przypomnijcie sobie, jak was uczono”. Zwróćmy uwagę, że nie ma tutaj żadnego imienia. Nie mówi się ani o Pawle, ani Jan o własnej pracy misyjnej nie wspomina. Nie wiemy więc skąd wzięło się chrześcijaństwo w Sardes. Ale mają wrócić do korzeni, mają zastanowić się nad swoją tożsamością, i mają się nawrócić. Państwo popatrzą: zaledwie rok 96; od śmierci Jezusa upłynęło około 60 lat — zatem stosunkowo niedawno — a już pojawiają się bardzo silne wezwania do nawrócenia. Zatem w każdym pokoleniu chrześcijańskim te wezwania się pojawiają, i one w każdym pokoleniu są ważne. To nie jest tak, że są pokolenia zdecydowanie lepsze, albo zupełnie złe. Myślę że dylematy, przed którymi stali chrześcijanie w Sardes, przypominają również te liczne dylematy, wobec których stają Kościoły dzisiaj, np. Kościoły zwłaszcza bogatych krajów, bogatych państw Europy i Ameryki, gdzie być chrześcijaninem w głębokim tego słowa znaczeniu jest naprawdę bardzo trudno. Gdzie istnieje bez przerwy pokusa upodobnienia się do otoczenia.

Jeśli więc czuwać nie będziesz, przyjdę jak złodziej,
i nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie.

Wygląda na to, że nawiązując tutaj do słów Jezusa Chrystusa, św. Jan nawiązuje jednocześnie do losów, do historii Sardes. Powiada: „Jeżeli nie będziecie czuwać, jeżeli się nie nawrócicie, to przyjdę do was tak, jak ci złodzieje, którzy złupili tamte bogactwa. Otóż musicie pamiętać, że troska o własne wnętrze, troska o siebie, wymaga takiej właśnie czujności. Że troska o dobra duchowe jest tak samo ważna, jak troska o dobra materialne.” *Że nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie.* Z tego wniosek: „Nie wolno odkładać nawrócenia. Każda godzina może być ostatnim darem łaski. Odkładanie nawrócenia na jutro — może się okazać, że jutra żadnego już nie będzie. Wezwanie do nawrócenia jest to wezwanie do nawrócenia dziś i teraz. Otóż skoro tak, to i pod tym względem te nawoływania, te zachęty w Liście do Kościoła w Sardes, są dla nas bardzo pouczające. I dalej:

Lecz w Sardes masz kilka osób, co swoich szat nie splamiły;

Co to znaczy „splamić swoje szaty”? Kiedy przybywali czciciele bóstw pogańskich do pogańskiej świątyni, to przybywali nieraz z daleka, to oczywiście mieli po takiej podróży brudne ubrania. Należało zatem te ubrania zdjąć, i przebrać się w czyste ubrania. To samo pozostało w pobożności również chrześcijańskiej gdzie przywykliśmy do tego, że idąc do kościoła ubieramy się inaczej niż wtedy, kiedy chodzimy po domu, idziemy do pracy, czy kiedy odpoczywamy. Otóż przyjdzie do kościoła wymaga, jeżeli tak można powiedzieć, również tego splendoru, który jest widoczny w odzieży, uroczystego, odświętnego ubrania. Widać to bardzo dobrze zwłaszcza na wsiach i w miasteczkach, kiedy jedno ubranie — bo zazwyczaj na więcej nie stać — to jest ubranie do kościoła. Widać było jeszcze do niedawna w niektórych okolicach Polski. A z tych przekazów jak się jeździ po Polsce, i ze wspomnień, można ułożyć bardzo ciekawy obraz jak to zwłaszcza kobiety kiedy szły do kościoła, to szły w jednych butach, bo po drodze pole albo błoto, zwłaszcza wiosną. Natomiast kiedy wchodziły do kościoła, to miały ze sobą inne, eleganckie buty, i tam je zakładano. Z ubraniami podobnie — z tym, że w domu.

W świątyni jerozolimskiej był też inny zwyczaj. Mianowicie kiedy wchodziło na teren świątyni jerozolimskiej to kapłani, którzy mieli składać tam ofiary, a także mężczyźni, którzy mieli być bliżej na dziedzińcu, zakładali białe ubrania. Te białe ubrania były symbolem odświętności, ale także symbolem czystości, nie tylko tej fizycznej, ale również duchowej. Państwo zwrócą uwagę, że kiedy dzisiaj od czasu do czasu widzimy przekaz telewizyjny np. spod Ściany Płacz, to mogą tam państwo zobaczyć na biało ubranych modlących się Żydów. Ale nie tylko Żydów to dotyczy. Proszę

popatrzeć również na księży sprawujących mszę świętą Alby, w których sprawuje się mszę świętą, są właśnie białe. Zatem biel jest symbolem stanięcia przed Panem Bogiem z czystym sercem. I my tutaj czytamy:

Lecz w Sardes masz kilka osób, co swoich szat nie splamiły;
będą chodzić ze Mną w bieli, bo są godni.

Zatem pośród chrześcijan w Sardes, jakoś tam zepsutych i wymagających nawrócenia, byli jednak tacy, którzy zachowali gorliwość. I w gruncie rzeczy to jest też zobowiązanie i wyzwanie, przed którym staje każde chrześcijańskie pokolenie. Im trudniej jest być chrześcijaninem, tym bardziej potrzeba takich którzy wiedzą, co to znaczy, i chcą żyć po chrześcijańsku. I te kilka osób w Sardes, a Sardes liczyło wtedy około 15 - 20 tysięcy ludzi, te kilka osób zostaje pochwalonych. Z tego wniosek — warto być człowiekiem dobrym, bo dobro jest podzielne. Chociaż jest mało widoczne na pozór, to jednak dobro stanowi zawsze przykład, który pociąga i daje do zastanowienia. Jeden dobry człowiek może stanowić wyrzut sumienia dla setek, i dla tysięcy innych. Jeden dobry człowiek może stanowić również zachętę do rachunku sumienia. Tamta wąska grupka dobrych osób została pochwalona.

Tak szaty białe przywdzieje zwycięzca,
i z księgi życia imienia jego nie wymażę.

Szaty przywdzieje zwycięzca. To już jest nawiązanie do przejścia do Boga. W Apokalipsie mówi się o tych, którzy stoją przed Bogiem i przed tronem Baranka, że stoją w białych szatach — symbolu niewinności. I mamy tutaj również nawiązanie do *księgi życia*. W starożytności w miastach greckich i rzymskich istniał ciekawy zwyczaj. Co jakiś czas sporządzano spisy obywateli. I każdy człowiek, który był obywatelem swojego miasta, był z tego dumny. Jeżeli wyjechał gdziekolwiek i powiedział, że pochodzi z Sardes, bądź z Tiatyry, bądź z Efezu, wtedy będąc obywatelem swojego miasta był traktowany jako gość i ktoś znaczący. Gdy popadł w jakieś tarapaty, to pozostali obywatele musieli mu pomóc. Byli zobowiązaniłożyć na jego utrzymanie, wyciągnąć go z tych tarapatów kłopotów pod warunkiem, że nie były to jakieś rzeczy kryminalne, wspomóc go w chorobie itd. Zatem ta księga była taka, jak księga życia.

Ale w starożytności była też i inna księga. Mianowicie jeżeli ktoś źle się sprawował, jeżeli ktoś żył w sposób niegodny, dopuszczał się bezprawia i nie było na niego sposobu, był np. notorycznym złodziejem, to była druga księga, mianowicie księga wyrzutek, wypędzonych. Takiego wypędzano z miasta, i nigdy mu nie było wolno do tego miasta wrócić. Była to taka księga śmierci. Pozostawiony sam sobie był skazany nie tylko na liczne niebezpieczeństwa, ale również był pozbawiony jakiegokolwiek pomocy ze strony swoich ziomeków. Bano się tej księgi śmierci jak ognia. To była ostateczność, jeżeli kogoś wpisano do takiej księgi wyrzutek. Proszę zwrócić uwagę, że było to czasami gorsze, niż pójście do więzienia, bo więzienie dało jeszcze jakąś szansę na przywrócenie praw obywatelskich. Natomiast taki wyrzucony człowiek był bez miasta, bez ojczyzny, bez przynależności, bez papierów, w gruncie rzeczy bez rodziny. Nigdy nie mógł wrócić do tego miasta.

Nawiązując do tego autor napisał: *Tak szaty białe przywdzieje zwycięzca, i z księgi życia imienia jego nie wymażę.* Mamy więc nawiązanie do tego, że ci, którzy są wierni Panu Bogu, są zapisani w księdze życia, napisanej palcem Bożym. Że nigdy nie trafią pomiędzy tych, którzy do Boga nie doszli. I dalej:

I wyznam imię jego przed moim Ojcem i Jego aniołami.

Nawiązanie do tego znamy z Ewangelii: „Każdy kto się przyzna do Mnie teraz przed ludźmi, to Ja przyznam się do niego przed Moim Ojcem, który jest w niebie”. Apostoł zachęca: „Jeżeli wy, ta mała grupka, będziecie cierpliwi, będziecie wytrwali w swojej wierze, zostaniecie wpisani do tej Bożej księgi życia. I tak jak wy dzisiaj przyznajecie się do Boga, tak w przyszłości Bóg przyzna się do was.” Popatrzmy że ten list, jakże krótki i jakże prosty, jest pod wieloma względami niesłychanie aktualny.

Kto ma uszy, niechaj posłysz, co mówi Duch do Kościołów.

Taka jest treść listu do Kościoła w Sardes. Co tam wydarzyło się później? Najwyraźniej słowa z Apokalipsy św. Jana odniosły swój skutek, ponieważ w II w. była tam już dość prężna i pożądana wspólnota chrześcijańska. Ta wspólnota była niestety bardzo mocno prześladowana przez pogan i Żydów. Największe prześladowania przypadły na lata 150 - 160 po Chrystusie. W tamtym czasie w Sardes żył niejaki Meriton, wielki starochrześcijański myśliciel, człowiek ogromnego serca i ogromnego umysłu. Pozostały do dzisiaj jego homilie zapisane, zwłaszcza homilie o Męce Pańskiej. Są przetłumaczone na język polski, i wydane. Można je czytać, chociaż nie jest to lektura łatwa. I Meriton rozważał bardzo często sprawę śmierci Jezusa Chrystusa. I zadawał to pytanie, które my zadajemy sobie po dzień dzisiejszy: „Jak to się stało, że naród Bożego wybrania, przygotowywany tak cierpliwie przez Boga do uznania Mesjasza, z chwilą, gdy ten Mesjasz przyszedł, nie uznał Go, lecz Jezus został zabity, został ukrzyżowany?”

I Meriton pisząc te homilie stawiał te pytania Żydom, z którymi polemizował. Te polemiki były bardzo ostre, konfrontacja bardzo silna. Tak było w II wieku. W III wieku chrześcijan było nieco więcej, ale Żydzi zdecydowanie dominowali. Z tego okresu pochodzi ta synagoga, o której wspominałem na samym początku, niesłuchanie wystawna i niesłuchanie bogata. W IV wieku, kiedy prześladowania ustały, wybudowano tam pierwszy kościół. Do VII wieku chrześcijanie i Żydzi mieszkali obok siebie. W VII wieku ten teren najechali Persowie. Zburzyli wszystko, co było do zburzenia, splądrowali, co było tylko do splądrowania — i Sardes popadło w ruinę. Jeszcze na krótko odżyło w wieku VIII i IX, kiedy to w Sardes było biskupstwo, w nawiązaniu do Meritona. Ale potem przyszli Turcy Seldzuccy i od wieku XI Sardes stało się ruiną. Zatem przez prawie tysiąc lat Sardes pozostaje w takim stanie, w jakim możemy je oglądać dzisiaj, przy czym dzisiaj dokonano już tam rozmaitych rekonstrukcji.

Na koniec więc proponuję, żebyśmy raz jeszcze posłuchali tego listu. I każdy z państwa zapewne skojarzy te treści, o których mówiliśmy, ze słowami tego listu, które brzmią tak:

Aniołowi Kościoła w Sardes napisz:

To mówi Pan, co ma Siedem Duchów i siedem gwiazd:

Znam twoje czyny:

masz imię, [które mówi], że żyjesz,

a jesteś umarły.

Stań się czujnym i umocnij resztę, która miała umrzeć,

bo nie znalazłem twoich czynów doskonałymi wobec mego Boga.

Pamiętaj więc, jak wziąłeś i usłyszałeś,

strzeż tego i nawróć się!

Jeśli więc czuwać nie będziesz, przyjdę jak złodziej,

i nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie.

Ale w Sardes masz kilka osób, co swoich szat nie splamiły;

będą chodzić ze Mną w bieli, bo są godni.

Tak szaty białe przywdzieje zwycięzca,

i z księgi życia imienia jego nie wymażę.

I wyznam imię jego przed moim Ojcem i Jego aniołami.

Kto ma uszy, niech posłysz, co mówi Duch do Kościołów.

Taki to jest list pełen głębokiej symboliki, dość tajemniczy, i można by powiedzieć list, w którym słyhać pewne rozgoryczenie apostoła. A rozgoryczenie bierze się stąd, że wspólnota, do której pisze, jest maleńka i postawiona w sytuacji w której, jeżeli nie będzie troszczyć się o siebie, to grozi jej rozplątanie w nieprzyjaznym otoczeniu. Okazało się, że list pomógł przetrwać chrześcijanom w Sardes. Ale całe miasto nie przetrwało za długo. I dlatego miał rację Ramsay, który ponad sto lat temu, jak powiedzieliśmy na początku, odwiedzając te miasta powiedział, że jest jakiś przedziwny paradoks — tam, gdzie apostoł Jan pisał bardzo krótko, i z taką goryczą, tam dzisiaj w gruncie rzeczy nie ma żadnych śladów. Tyle na temat Sardes. Zostały nam dwa Kościoły: Filadelfia i Laodycea. O jednym powiemy w kwietniu, o Filadelfii, o drugim, o Laodycei, powiemy w maju.

Natomiast teraz, jeżeli państwo pozwoli, chciałbym powiedzieć kilka słów na tematy, które po pierwsze – podjęliśmy z wieloma osobami tydzień temu w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego mówiąc o „Drogach i bezdrożach dialogu katolicko-żydowskiego”. Po drugie – było kilkanaście co najmniej osób które prosiło, żeby odnieść się do tego, co obecnie się dzieje. I wreszcie były osoby, które nawet przelały na papier swoje myśli i swoje wspomnienia. Chodzi, jak państwo się łatwo domyślają, o Jedwabne i to, co jest z tym związane. Ponieważ tematu niektórzy z nas, i poniekąd słusznie, mają po dziurki w nosie, to ja nie będę dochodził do rozmaitych szczegółów, tylko chciałbym państwu zwrócić uwagę na to, co najistotniejsze. Bo z całą pewnością osoby takie, jak państwo, wierzący tacy, jak państwo, muszą mieć na ten temat pełniejsze rozeznanie. A w tej sprawie w ubiegły piątek, cztery dni temu, odbyło się również posiedzenie Komitetu Episkopatu Polski ds. Dialogu z Judaizmem. I stanowisko, które tam przedstawiłem, również w rozmowie z księdzem biskupem Stanisławem Stefankiem, biskupem łomżyńskim, było mniej więcej takie. Myślę, że dla każdego z państwa przynajmniej jakieś myśli z tego mogą się okazać pozytywne.

Otóż po pierwsze. Sądzę, drodzy państwo, że cała ta sprawa pokazuje jak niesłychanie ważną rzeczą jest historia, i jej znajomość. Otóż w Polsce przez ostatnie ponad pół wieku byliśmy karmieni wypaczoną wersją historii. Najbardziej wypaczone okresy to od września 1939 do czerwca 1941, a później okres po tzw. wyzwoleniu przez Związek Radziecki, poczynając od lipca 1944, aczkolwiek można byłoby zacząć już wcześniej, kiedy wojska sowieckie weszły na teren Rzeczypospolitej w jej granicach przedwojennych. Ale już tak się nam utrwaliła granica na Bugu, że nawet sobie specjalnie dzisiaj do serca nie bierzemy Wilna, Lwowa czy tamtych terenów wschodnich.

Tu jednak skupmy się na jednym — że cały czas był bardzo fałszywy wizerunek tej okupacji sowieckiej po 17 września 1939 roku. Na ten temat nie wolno było mówić, na ten temat nie wolno było pisać. Oficjalna wersja była taka, że Sowieci weszli, żeby zabezpieczyć interesy na Białorusi. Tymczasem że granica przebiegała pod Ostrołęką, i że nigdy to nie była Białoruś — tego już nikt nie mówił, i nikt nie chciał o tym pamiętać. Nie wolno było o tym pisać.

To się wiązało również z postawą ludności żydowskiej. Tematem tabu jest mówienie o postawie ludności żydowskiej wobec obydwu okupantów, którzy w 1939 roku najechali Polskę. Tak się złożyło, że po stronie niemieckiej w wielu miastach Żydzi wręcz entuzjastycznie, bądź na pokaz — ich sprawa, witali Niemców. Tak było np. w Łodzi, gdzie udekorowana została na wejście Niemców ulica Piotrkowska.

Dla odmiany na wschodzie, na terenach zajętych przez Sowieców, Żydzi entuzjastycznie witali Armię Czerwoną. I kiedy tamci weszli, stanęli po stronie okupantów. To jest temat tabu. Przy sposobności Jedwabnego zaczęto o tym temacie mówić, aczkolwiek bardzo niechętnie, i aczkolwiek do dzisiaj jest to sprawa, i dzisiaj też której nie wolno ruszać. A każdy, kto jej dotknie, natychmiast bywa okrzykany jako antysemita.

Proszę zwrócić uwagę, że w tej aktualnej kampanii myślenie jest takie. Żydzi stanęli po stronie Niemców, i po stronie Sowieców dlatego, że Polacy byli dla nich bardzo źli. Tak pisze Maria Janion, tak pisze środowisko Tygodnika Powszechnego, tak pisze Gazeta Wyborcza, tak również wypowiedzają się bardzo nieliczni duchowni z ks. prof. Michałem Czajkowskim włącznie. Że ta reakcja Żydów to była reakcja na niechęć, czy na nienawiść Polaków. Że przed wojną były narodówki, że były wystąpienia antyżydowskie itd.

Gdybyśmy zaczęli odpowiadać tymi kategoriami, to moglibyśmy powiedzieć tak. Że ani wystąpienia antyżydowskie, ani ekscesy, ani nastroje antyżydowskie nie brały się z powietrza. Tylko one znów były uwarunkowane sympatiami Żydów dla komunizmu, one były uwarunkowane syjonizmem i wyjazdami Żydów do Palestyny i do Ameryki, wywózką dóbr narodowych, wywózką kapitału itd. Więc jedno nakręcało drugie. Tu nikt nie przypomina w dzisiejszym kontekście listu kardynała Hlonda z 1936 roku, w którym kardynał Hlond zwrócił się do Żydów i pisał mniej więcej tak. W Niemczech ówczesnych sytuacja Żydów była bardzo zła. Kardynał współczuje, że tam ta sytuacja jest tak trudna. I mówi do Żydów tak: „Żyjemy z wami od stuleci. Mamy z wami liczne więzi, liczne związki, i to sobie bardzo cenimy. Ale — pamiętajcie, że nie wolno dopuścić do penetracji obcej kultury — chodziło tutaj i o bolszewizm, i o pornografię w okresie międzywojennym, związaną z wynalezieniem i rozpowszechnieniem fotografii, której było coraz więcej itd. Nie wolno wam tego robić w Polsce!” Z tego listu kardynała Hlonda, który jest długi i ciekawy, wybrano tylko drugi akapit podkreślając, że to jest list o wydźwięku antysemitycznym. I po dzień dzisiejszy list jest nieznany.

Oczywiście oskarżanie go o antysemityzm jest wierutną bzdurą, ponieważ list jest wyważony. Ale dotykał w bardzo dokładny sposób tych nastrojów i jednocześnie zaszłości polsko-żydowskich.

Do czego zmierzam? Że oto dowiadujemy się o okresie, który był straszliwie krwawy i ponury, i który tylko najstarsi z nas, jeżeli mieszkali na tamtym terenie, znają z autopsji. Bo było to mniej więcej tak. Niemcy ułożyli się z Sowietami, wyznaczyli granicę jeszcze zanim tam weszli — pakt Ribentrop - Mołotow. Następnie Niemcy zajęli kawał tej ziemi więcej, niż przewidywał ten pakt. Niemcy się wycofali w 39 r. na wielu odcinkach, weszli Sowietci. I oczywiście zaprowadzanie nowego porządku odbywało się również na bagnietach NKWD. Brali w tym udział Sowietci, brali w tym udział Żydzi, brali w tym udział również Polacy. A więc są to niesłychane zawilości. Tych Polaków nie było za dużo, zdarzali się jednak. Ilu było Żydów? Na pewno było ich więcej, niż wynika to ze statystyki. I to jest pewien problem, bo się wtedy zaczęło Polakom kojarzyć. No i oczywiście powstały ogromne dramaty. Jesień, zima 39 i 40 roku, wywózki, deportacje, polowania na nauczycieli, na księży.

W Jedwabnem w tym czasie nie było proboszcza, ponieważ proboszcz został wywieziony na wschód i zamordowany. Kto o tym mówi? W tym czasie biskup tylko wysłał administratora do Jedwabnego, czyli księdza, który pełnił posługę zamiast proboszcza. Ale proboszcz nie było.

Więc w wielu osadach nastroje antyżydowskie były bardzo silne. Ja sam się z tym spotykałem wielokrotnie także teraz, np. podczas pielgrzymek, kiedy jeżdżą ludzie z całej Polski. Jeżdżą do Izraela i wspominają tamte czasy. Bardzo wielu wspomina z ogromnym bólem.

Więc doszło do tego, że kiedy Sowietci w czerwcu 1941 r. wycofali się, a mieli przyjść Niemcy — bo tam było kilka dni takiej przerwy akurat w tych okolicach — to oczywiście te nastroje antyżydowskie były bardzo silne. W Jedwabnem Żydzi nawet wzniesli pomnik Lenina, i kazali Polakom zdejmować czapkę przed tym pomnikiem. Kiedy więc Sowietci się wycofali a pomnik został, to Polacy dla odmiany kazali Żydom z tym pomnikiem chodzić po rynku. To było właśnie 10 lipca 1940 r.

Co wydarzyło się 10 lipca 1940 r., ustalają to komisje rozmaite. Ja jestem przekonany, że pełnej prawdy nie wyświetlą, nie tylko z powodów obiektywnych, ale również z powodów subiektywnych. Jedno nie ulega wątpliwości. Niemcy zgonili miejscowych Polaków i nakazali im z kolei — ponieważ jedni drugich znali, w Jedwabnem mieszkało 60% Żydów — żeby zgonili Żydom na rynek. I następnie Niemcy zapowiedzieli, że nauczą Żydom porządku. Dali im łyżki stołowe, i kazali im tymi łyżkami czyścić rynek. Na tym rynku były kamienie, i oni tymi łyżkami ten rynek czyścili.

Oczywiście można się domyślać jaka była reakcja tych, którzy na to patrzyli. Wczoraj jedni dominują, dzisiaj inni są górą. Wtedy do Jedwabnego, właśnie 10 lipca, przyjechała grupa Niemców. Z całą pewnością tam byli, ponieważ jest zrobiony film — żaden Polak nie robił przecież takiego filmu! Ten film jest przechowywany w Niemczech, być może już jest w tej chwili w Ameryce, lub w Kanadzie, trudno powiedzieć. Niemcy zaczęli rzecz filmować. W pewnym momencie nakazano, żeby Polacy, część tych Polaków przepędziła Żydom do stodoły. Mieli pójść do jednej stodoły, ale jej właściciel uprosił Niemców — chyba znał niemiecki, nie wiem — żeby jego stodoły na to nie ruszali. Nie wiem, czy mu chodziło o Żydom, czy mu chodziło o stodołę — tego nie wiem. Tylko że uprosił, żeby jego stodoły nie ruszono. I wówczas była taka stodoła na boku, gdzieś 200 metrów od tej wsi. Jakaś część tych Polaków — nie wszyscy, broń Boże — jakaś część tych mieszkańców Jedwabnego spędziła, czy zgoniła, tak się przynajmniej wydaje, owych nieszczęśników do tej stodoły. Tamta stodoła została podpalona.

Proszę państwa, jakiś udział tych mieszkańców, którzy tam wtedy żyli, jest niezaprzeczalny. Trzeba powiedzieć, że to jest dramat. Nie jest to ani chrześcijańskie — bo nie wolno żadnemu chrześcijaninowi przyłożyć ręki do śmierci drugiego człowieka — ani nie jest to polskie. Rozciąganie winy na chrześcijan, czy na Polaków jest nieporozumieniem. Otóż nie ma odpowiedzialności zbiorowej! Zrobili to ci konkretni ludzie, którzy się tego mordu gwałtownego tam dopuścili. Inspiracja niemiecka jest niewątpliwa. Oczywiście mógłby ktoś powiedzieć: „No, ale mogli odmówić Niemcom”. Ale to tylko ci mogą tak mówić, którzy nie znają realiów okupacyjnych, nie wiedzą, co to znaczy. Więc trudno jest tu sądzić, ale z całą pewnością usprawiedliwiać tego nie można.

Zatem jaka jest pointa? Od początku — proszę zwrócić uwagę — kiedy Niemcy weszli na kresy wschodnie, od początku chcieli zaaranżować mordowanie Żydom tak, żeby wyszło, że to robiono polskimi rękami. To jest właśnie jedno z głównych nieszczęść, że Niemcom udało się poróżnić, po-

kłócić między sobą również Żydów i Polaków. Oni wiedzieli, że te wzajemne stosunki są trudne. Natomiast aranżując, przygotowując takie mordy, takie pogromy, jak ten, i filmując je, i puszczając je później światu, doskonale wiedzieli, co robią. Że zostanie zła żydowska pamięć o Polakach bardziej, niż o Niemcach. I myślę, że tu w stosunkach z Żydami też trzeba o tym głośno mówić.

Sprawa druga. Otóż z chrześcijańskiej perspektywy zawsze dla każdego z nas każdy taki dramat jest wielkim dramatem, i wielkim bólem — to nie ulega wątpliwości. Zatem musimy się do niego odnieść — jakby to powiedzieć — po prostu z bólem. No bo innej drogi nie ma. Śmierć każdego człowieka, człowieka niewinnego, kobiety, dzieciaka, cywila, to jest zawsze jakiś dramat. Tylko pamiętajmy o tym, że te dramaty rozgrywają się bez przerwy, również we współczesnym Izraelu. Nie wolno traktować sprawy Jedwabnego, izolować go, wyrwać z realiów wojennych, i izolować go od wszystkiego innego. Bo traktujemy wówczas go jako temat zastępczy! I dzisiaj kiedy patrzymy na to, co się dzieje w Izraelu — a przekazy stamtąd są bardzo skąpe — możemy być pewni, że niejeden podobny dramat w ciągu 50 lat Izraela miał tam miejsce. Tam też Żydzi i Palestyńczycy są obok siebie sąsiadami. Zwrócił na to uwagę ks. Prymas w swoim liście, że sąsiedzi to nie jest tylko problem polsko - żydowski, jest to również problem Albańczyków i Serbów, problem Żydów i Palestyńczyków, problem w Irlandii, problem w Hiszpanii z Baskami, problem w Stanach Zjednoczonych itd. Całe Stany Zjednoczone, ich pomyślność, zostały zbudowane na wymordowaniu Indian, ale się o tym nie mówi. Robi się Muzeum Holokaustu, natomiast nie ma Muzeum Martyrologii Indian!

Do tej pory, tzn. kilka lat wstecz, zazwyczaj przedstawiano taki „trójkąt”: Niemcy - Żydzi - Polacy, strona żydowska tak przedstawiała. Niemcy — to są prześladowcy, Żydzi — to są ofiary, Polacy — to są świadkowie. Myśmy na to odpowiadali: „Nie, moi drodzy!” Niemcy są prześladowcami, Żydzi są ofiarami, i Polacy są ofiarami. Bo przecież w okresie II wojny światowej zginęło sześć milionów obywateli polskich: około trzech milionów Żydów, i trzech milionów Polaków. Tylko o trzech milionach Polaków w podręcznikach historii nie ma mowy! Nawet w naszych podręcznikach historii!

Więc ten trójkąt: ofiary i prześladowcy, w ostatnich latach zaczął być zmieniany na nowy, i Jedwabne temu służy. Mianowicie: Niemcy — prześladowcy, Żydzi — ofiary, Polacy — prześladowcy. Tak się zmienia paradygmat, wzór II wojny światowej. Staje się to wojną Niemców i wszystkich innych przeciwko Żydom. Tak się uczy o wojnie w Ameryce, i w Kanadzie. A jeżeli o Jedwabnem Polacy nie będą mówić pełnej prawdy, i nie staną w obronie własnej godności, to bardzo szybko zostaniemy sprowadzeni do parteru i zrównani z Niemcami.

Jedwabne jest tutaj pewnym testem. Jeżeli się uda z Jedwabnem, uda się i dalej. Dlatego postawienie sprawy wyraźnie w tym przypadku jest niesłuchanie ważne dla ustrzeżenia polskiej tożsamości i polskiej godności. Na to trzeba również zwrócić niesłuchanie uwagę.

A ponadto, proszę państwa, dyskusja o Jedwabnem uczy nas, że aby zrozumieć te rzeczy, to nie można się poruszać w trójkącie: Polacy - Żydzi - Niemcy, tylko trzeba zrobić kwadrat: Polacy - Żydzi - Niemcy - Sowietci. I dopiero wtedy zrozumiemy, czy przynajmniej pojmiemy po trosze antagonizmy, niechęci, urazy itd. Dopiero wówczas!

A więc jeżeli Polacy mają odnieść się szczerze do własnej historii i zobaczyć w niej również to, czego winniśmy się wstydić, to to samo muszą zrobić i Niemcy — i to nie na poziomie politycznym, tylko na poziomie głębokim duchowym, i Żydzi, i Sowietci. Tymczasem po stronie żydowskiej, i po stronie sowieckiej — strony sowieckiej mówią, że nie ma, bo jest tylko Rosja, a więc Sowietci się rozplęnęli — po stronie żydowskiej nie ma nikogo, kto by chciał podjąć rzetelny obrachunek z żydowską historią. Czyli z żydowskim uwikłaniem w komunizm, z żydowską współpracą z NKWD podczas wojny i później, również z żydowską partyzantką walczącą z Polakami, z Żydami, którzy w 39 roku tak, jak w Grodnie, stanęli przeciwko Polakom, a nie przeciwko Sowietom. A więc byli to sąsiedzi — to prawda — którzy też mają sobie coś do wyrzucenia.

I dwie krótkie ostatnie uwagi. To, co obserwujemy dzisiaj, to nie jest żadna debata historyczna. Książka „Sąsiedzi” miała być wydana w Ameryce, i lada dzień będzie, ale tytuł w Ameryce miał być inny. Miał brzmieć nie „Sąsiedzi”, tylko „Zapomniane

Przełożenie kasety magnetofonowej

... byli przedstawiani obok Niemców jako ci, którzy sprawili Żydom Holokaust. Jeżeli jakiś tytuł układa światowa organizacja, to z całą pewnością nie o beletrystykę, ani o historię chodzi — chodzi

o politykę. I tego powinniśmy być świadomi.

I ostatnia uwaga. Można by powiedzieć tak: „O co w tym wszystkim chodzi?” Jeżeli ktoś mówi, że powinniśmy przeprosić Żydów, to w moim przekonaniu odpowiadam: „Zdecydowanie nie!” Dlaczego? Ponieważ istnieje różnica pomiędzy przeproszeniem, a pojednaniem. Kiedy człowiek zaczyna przeproszać, to można mu codziennie dać okazję do przeprosin. Wczoraj Auschwitz, dziś Jedwabne, jutro Radziłów, pojutrze jeszcze coś, za rok jeszcze coś itd. Otóż przeprosiny to jest postawa jednej strony. Ona nic nie daje. Nie daje tam zwłaszcza, gdzie jest zła wola.

To, czego naprawdę potrzeba, to jest pojednanie. Pojednanie to jest wola dwóch stron. Wtedy możemy i powinniśmy przeprosić wyciągając rękę, kiedy ta ręka spotyka drugą rękę. Kiedy ta ręka rzeczywiście jest wyciągnięta w geście pojednania, po którym mówimy: „Zaczynamy nową przyszłość!” Tak jest w rodzinie, kiedy dziecko przeprosza rodziców, tak jest między mężem i żoną. Nie jednostronne przeprosiny li tylko, tylko właśnie pojednanie. I pomiędzy narodami podobnie. Pojednanie zakłada dobrą wolę z dwóch stron — ze strony i jednej, i drugiej. Czy ta wola pojednania jest po obydwu stronach — zostawiam to raczej państwu pod refleksję. Obawiam się, że nie. Że jest to ciągle wzywanie nas do przeprosin. Dlaczego do przeprosin? Dlatego, bo przeprosiny można łatwo przełożyć później na żądania finansowe i ekonomiczne. Natomiast tam, gdzie jest pojednanie, to oczywiście żądania stają się kłopotliwe. I z tego tytułu jest bardzo bolesne, że wielu polskich polityków — a rząd mamy, jak się wydaje, centrowy czy prawicowy, i który w gruncie rzeczy został wybrany głosami katolików, tak to trzeba nazwać — że wielu polskich polityków dzień w dzień prawie zaczyna mówić o przeproszeniu: przeprośmy, przeprośmy! Do Prymasa idą delegacje zachęcające do przeproszenia, do biskupa łomżyńskiego, do nas — „Przepraszajcie!” I ks. Prymas bardzo dobrze powiedział parę dni temu. Że proszę nie przysyłać do mnie delegacji polityków, i nie instrumentalizować Kościoła dla takich rzeczy. Przeprosiny bowiem są głęboką postawą duchową.

Zatem sądzę, że jakby to bilansując możemy powiedzieć tak. Jeżeli chcemy zdecydować się na nową przyszłość w tych wzajemnych stosunkach, to muszą to zrobić obie strony. I wtedy warunkiem pojednania jest najpierw powiedzenie pełnej prawdy, jedna i druga strona, jest wyciągnięcie ręki do zgody, są przeprosiny — jest właśnie pojednanie. Czy to nastąpi? Trudno powiedzieć. Wydaje się, że w najbliższej przyszłości raczej nie.

Na następne nasze spotkanie bardzo serdecznie zapraszam państwa na 9 kwietnia. Dzisiaj na koniec tego bolesnego również tematu myślę, że będzie dobrą rzeczą, jeżeli pomodlimy się do Pana Boga za zmarłych, poległych, pomordowanych. Także tych, którzy zostali zamordowani w Jedwabnem i gdzie indziej, za Polaków, Żydów, Rosjan, Niemców, i każdego innego człowieka, który w rozmaitych okolicznościach przeszedł do Pana Boga, nieraz w sposób, który urągał ludzkiej godności. Pomodlimy się za nich wszystkich. Pomodlimy się również, żeby Pan Bóg strzegł nasze serca i nasze wnętrza od wszelkiej nienawiści, od obłudy, i od uprzedzeń, zwłaszcza takich, które miałyby powodować krzywdę naszych bliźnich.

Ojcze nasz ... Zdrowaś Maryjo ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

7 List do Kościoła w Filadelfii (dn. 9 kwietnia 2001)

Zanim przejdziemy do Kościoła w Filadelfii, najpierw do tekstu z Apokalipsy św. Jana, a następnie do objaśnienia tego tekstu, zanim uda nam się wydobyć z tego tekstu coś być może ważnego również i dla nas, to chciałbym nawiązać do tego wątku, do tego motywu, z którym prawie zawsze rozpoczynam te konferencje — zwłaszcza te dla państwa, i który, kiedy staje się przed państwem zwłaszcza, na samym początku narzuca się z taką oczywistością, że nie sposób o nim nie wspomnieć. Mianowicie wydaje mi się, że w starożytności, kiedy powstawały te pierwsze wspólnoty chrześcijańskie, kiedy powstawały pierwsze parafie w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, to te pierwsze zgromadzenia liturgiczne i obok-liturgiczne wyglądały właśnie mniej więcej tak. Nie było przecież jeszcze świątyń, nie było dużych kościołów, raczej były większe domy. I w tych domach, a może nawet na otwartej przestrzeni, zwłaszcza w pobliżu rzeki czy w pobliżu źródła, gdzieś pod drzewami w cieniu, po południu czy wieczorem, zbierali się tamtejsi chrześcijanie, aby rozważać Słowo Boże — najpierw w Ewangeliach, a następnie to, które kierowali do nich apostołowie którzy przecież sami byli świadkami życia, i działalności, męki i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. I skoro tak się działo, że rozważano to Słowo Boże, i że kierowali apostołowie listy, które były odczytywane i rozważane tak, jak my teraz to rozważamy, to możemy, kiedy się zbieramy tak, jak dzisiaj, możemy czuć się spadkobiercami tamtej dawnej tradycji wczesnochrześcijańskiej.

Wiele do myślenia daje to, że zarówno wtedy jak i dzisiaj przychodzą dziesiątki i setki osób, które chcą głębiej zrozumieć siebie, odnieść swoje życie do Pana Boga, i głębiej żyć wiarą niż kiedykolwiek przedtem. To jest właśnie jakaś ta życiodajna moc Słowa Bożego, które — jak mówił już Stary Testament — jest skuteczniejsze niż wszelki miecz obosieczny. Bo to Słowo Boże pomaga nam odróżnić rzeczy ważne od mniej ważnych, rzeczy zasadnicze od tych, nad którymi możemy przejść do porządku dziennego.

Wspominałem państwu, że kiedy dzisiaj wracamy myślą do tamtych listów, możemy sobie wyobrazić takiego wysłańca apostoła, który przybywa z króciutkimi listami do poszczególnych wspólnot, tam je odczytuje w języku greckim — bo grecki był językiem tych właśnie Kościołów apostolickich — a następnie rozpoczynała się dyskusja. Rozpoczynała się rozmowa, zadawano mu pytania, odpowiadał na te pytania. Pytano: „Jak mamy żyć? Co mamy robić? Jak mamy się zachowywać?” Również zgłaszano rozmaite wątpliwości itd. Były więc to na pewno długie wieczory, ale ślady tego wszystkiego zachowały się tylko w skąpych listach. I to, co my możemy dzisiaj zrobić, to po pierwsze przeczytać te listy bardzo dokładnie — niestety tylko po polsku, i możemy z każdego słowa zaczerpnąć jakąś naukę dla siebie. Nie tylko po to, żeby te listy lepiej zrozumieć, ale przede wszystkim po to, żeby lepiej zrozumieć samych siebie.

Dzisiaj mamy następny list, jeden z najdłuższych spośród tych siedmiu listów. I jak państwo pamiętają wspominałem również o tym, że te listy są ułożone do poszczególnych Kościołów według ruchu wskazówek zegara, zaczynając mniej więcej gdzieś od godziny dziewiątej. Na wysokości tej godziny dziewiątej to byłby pierwszy list, do Efezjan. Następnie drugi list, to gdzieś nasza godzina dziesiąta. Około południa mielibyśmy list do Kościoła najbardziej wysuniętego na północ w Pergamonie. Potem przesuwamy się na mapie na prawo, czyli w topografii Azji Mniejszej bardziej na wschód, mamy Kościół w Tiatyrze. Następnie Kościół w Sardes. I gdzieś na wysokości naszej trzeciej - czwartej godziny po południu mamy Kościół w Filadelfii. I tam, w tamtejszych okolicach, będzie jeszcze Kościół w Laodycei. To dziwne, przynajmniej mi zawsze wydaje się bardzo dziwne, jak to jest możliwe, żeby starożytni ludzie, którzy przecież nie mieli takich map, jakie my mamy dzisiaj, nie mogli wzbic się w powietrze i podróżować gdzieś tam nad ziemią — skąd mieli takie doskonałe rozeznanie o geografii i o topografii? Próbują to dzisiejsi geografowie zgadywać. Rzecz jasna istnieją pewne domysły, ale wiele na ten temat powiedzieć się nie da. Wiemy tylko, że to rozeznanie było naprawdę znakomite. I wyobrażamy sobie takiego wysłańca przybywającego do kościoła w Filadelfii. Cóż to było za miasto?

Musimy zacząć od krótkiej historii tego miasta, bo ta historia jest pod wieloma względami bardzo interesująca. To miasto, w starożytności nazywające się Filadelfia, miało jeszcze dwie inne nazwy greckie — o których za moment. Natomiast dzisiaj turecka nazwa tego miasta brzmi Alahehir. Jeżeli ktokolwiek wybiera się do dzisiejszej Turcji i powie, że chciałby jechać do Filadelfii, w

żadnym wypadku tam nie trafi. Trzeba by było mieć jakąś bardzo dobrą mapę, zwłaszcza z odniesieniami biblijnymi, żeby ową Filadelfię znaleźć. Normalnie biorąc trzeba szukać Alasehir. Położenie owego Alasehir jest dość osobliwe. Ono znajduje się nad rzeką. Nie jest to wielka rzeka, taki, powiedzmy sobie, nasz Wieprz albo coś podobnego, i to nie tam, gdzie wpływa do Wisły, tylko dużo wcześniej. Ale jest to rzeka całoroczna. I z jednej strony, od zachodu, są wzniesienia, które potem przechodzą w zupełnie duże góry. Natomiast od wschodu owego Alasehir jest bardzo żyzna dolina. Tam w starożytności było rozwinięte rolnictwo. I co ciekawe, w starożytności sadzono tam bardzo dużo winnic. Do tego stopnie było ich mnóstwo, że sam cesarz, o czym zaraz powiemy, zaczął się obawiać, że te winnice z Azji Mniejszej mogą zagrozić winnicom w Italii. I w związku z tym wydał karygodne rozporządzenie, które po dzień dzisiejszy budzi zdumienie i przerażenie. Ale o tym za moment. Również w starożytności, tak jak i dzisiaj, oprócz winnic rosły tam zboża, przede wszystkim pszenica. Ponieważ ziemia była bardzo dobra, okolica była zawsze dostatnia.

Ale Filadelfia miała jeden mankament. Mianowicie była położona na płycie geologicznie niepewnej, i narażona była w starożytności, a zapewne także i dzisiaj, na trzęsienia ziemi. Jeżeli we współczesnej Turcji było trzęsienie ziemi, to w Filadelfii dawało się nieźle we znaki.

Mamy wątpliwości co do założenia tego miasta. Albo nastąpiło to za króla Pergamonu Eumenesa II, który rządził w latach 197 – 159 przed Chrystusem czyli pierwsza połowa II wieku, albo też jest drugie domniemanie, drugie przypuszczenie: zostało założone w okresie rządów jego brata, który przeżył tamtego i miał na imię Attalos. A ponieważ rządził jako drugi o tym imieniu, nadano mu przydomek Drugi, Attalos II. On też był królem Pergamonu, w latach 159 – 138 przed Chrystusem. Jedno zatem nie ulega wątpliwości — że Filadelfia została założona w I połowie II wieku, bądź na samym początku II połowy II wieku przed Chrystusem, czyli mniej więcej gdzieś w latach 180 – 140 przed Chrystusem. Dokładnie niestety tego nie wiemy, ale i tak wiemy bardzo dużo.

Jeżeli założył to ów pierwszy król, Eumenes, to nazwał je ku czci swojego brata, z którym bardzo się kochali — nazwał je Filadelfia, co po polsku znaczy *braterska miłość*, *miłość bratnia*. Jeżeli dla odmiany założył to ów młodszy brat, to uhonorował w ten sposób swojego starszego brata. Tak czy inaczej w nazwie tego miasta mamy wyraźną aluzję do silnej braterskiej miłości, która łączyła dwóch kolejnych władców Pergamonu, Eumenesa i Attalosa. Zatem dzieje bardzo piękne, wręcz legendarne — taka legenda o miłości dwóch braci, i stąd nazwa tego miasta. Popatrzmy, że miasto jest stosunkowo późnego pochodzenia. Dlatego, że jeżeli na terenie Azji Mniejszej, bądź na Bliskim Wschodzie, miasto pochodzi z drugiej połowy drugiego wieku przed Chrystusem, to takie miasto ma już obok, po sąsiedzku, wiele innych starszych miast. Efez miał już za sobą kilkaset lat historii, to samo Pergamon, to samo Sardes — z tych miast, o których żeśmy do tej pory wspominali.

Więc Filadelfia była miastem stosunkowo młodym, nie było tam żadnych przedgreckich, przedhellenistycznych skojarzeń. To spowodowało, że w czasach Jezusa Chrystusa, i w czasach apostołskich, Filadelfia rozwijała się niesłychanie prężnie. Filadelfia dała też początek pewnemu zwyczajowi, który utrzymał się w świecie starożytnym. Mianowicie ta miłość obydwu braci stała się tak znana, i samo miasto Filadelfia cieszyło się takim uznaniem, że inni naśladowali tych obydwu braci — nie wiadomo, czy w miłości, ale na pewno w nadawaniu takich nazw. I jeżeli państwo znają taką nazwę *Rabbat Ammon* albo *Ammon* — to jest miasto, które dzisiaj jest stolicą Jordanii, Amman, to ono na początku I wieku również zostało nazwane Filadelfia, na wzór tej Filadelfii w Azji Mniejszej. I przez kilkaset lat, aż do podbojów arabskich, Ammon, dzisiaj Amman, nosił nazwę Filadelfia. Nie potrzeba dodawać, że nazwę *Filadelfia*, jako nazwę biblijną, przeniesiono również na kontynent amerykański. Tam w wieku XVII i XVIII ton nadawali Żydzi i protestanci. Jedni i drudzy dobrze znają Pismo Święte, i mnóstwo nazw na terenie Ameryki to są nazwy żywcem przejęte z Pisma Świętego. I mamy zatem i w Stanach Zjednoczonych nazwę *Filadelfia*, i tę Filadelfię amerykańską bardzo dobrze znamy. Natomiast Filadelfię na terenie Azji Mniejszej i Jordanii znamy jak gdyby mniej.

Zatem w II wieku założono miasto, które bardzo prężnie się rozwijało. Było ono założone na planie normalnego miasta hellenistycznego. Różniło się tylko tym, że nie miało swojego portu, nie miało wody — Grecy byli raczej przyzwyczajeni do wody, do portu, bądź w najgorszym wypadku do rzeki. Filadelfia czegoś takiego mieć nie mogła, była miastem lądowym, stąd jej rozwój był mimo wszystko dość ograniczony. Leżała na bardzo ważnym szlaku handlowym. Wystarczyło by zerknąć na mapę, zobaczyć dzisiejszy turecki Alasehir, aby zobaczyć, iż w starożytności ona łączyła

Wschód z Zachodem. Tamtędy biegła droga z Sardes i Pergamonu w kierunku Laodycei i Hierapolis (dzisiejsze Pamukkale). Ta droga łączyła zatem wybrzeże Morza Śródziemnego ze środkową Azją Mniejszą, a dalej biegła do Kapadocji, czyli do wschodniej dzisiejszej Turcji, a potem dalej na tereny dzisiejszego Iranu czy Iraku. Z tego położenia Filadelfia czerpała ogromne zyski. Przewalały się tamtędy i karawany, i oddziały wojskowe, i kupcy, i handlarze. I to dla Filadelfii było czymś bardzo pożytecznym.

Tam również był starożytności tak, jak i dzisiaj, w przemysł skórzany, i przemysł tekstylny, ponieważ było zarówno mnóstwo owiec i kóz, jak też uprawiano rozmaite rośliny. Dzisiaj zwłaszcza uprawia się tam bawełnę. W starożytności oczywiście bawełny tam nie było, została sprowadzona dużo później, ale był tam len w starożytności. Z tego powodu Filadelfia była znana również jako ośrodek przemysłu tekstylnego.

Ja w Alasehir byłem tylko dwa razy, chociaż w Turcji znacznie więcej razy dlatego, że dzisiaj Alasehir jest nie bardzo po drodze. Dzisiaj trzeba nadrobić mniej więcej 40 - ro km od wielkiej drogi, która tamtędy przebiega. I dzisiaj, kiedy się jedzie do Alasehir, to wrażenie jest dość osobliwe. Przede wszystkim w lecie jest tam strasznie gorąco dlatego, bo klimat się nieco zmienił. W czasach Ataturka, i później, przeprowadzono melioracje, to jest jedna sprawa. Opadł poziom wód gruntowych. Po drugie ziemia się nieco wyjałowila, rzeka zrobiła się mniejsza, niż była przedtem. W związku z tym klimat jest dużo bardziej gorący, natomiast w zimie jest chłodniej. Ponadto można tam dojechać tylko autobusem, i to autobusem tureckim, lub prywatnym samochodem.

I dzisiaj na terenie Alasehir właściwie z odległej starożytności zachowały się jedynie pozostałości jednego z kościołów bizantyjskich, który jeszcze pod koniec pierwszego tysiąclecia, czyli gdzieś w latach 900 - 1000, był używany, a następnie został zburzony. I dziś pozostały tylko skąpe mury tej jednej świątyni, i resztki chrześcijańskich mozaik. Poza tym nie zachowało się nic!

Albo inaczej: zapewne zachowało się coś ze starożytnego miasta. Tylko problem polega na tym, że na tych ruinach, na tych pozostałościach wybudowano miasto tureckie. I dzisiaj archeolog nie może tam łopaty włożyć, bo wszędzie mieszkają ludzie. Ulice są wąskie, domy są nie wyższe niż dwupiętrowe — bo jest to strefa sejsmiczna.

Więc dziś nie można niestety odszukać tam nic z odległej starożytności. Można tylko zobaczyć te skąpe pozostałości jednego bizantyjskiego kościoła. W związku z tym problem: czy opłaci się jechać do Alasehir? Zapewne opłaci się. Jeżeli ktokolwiek miałby możliwość, to warto zobaczyć ten kościół, te ruiny, które zostały zamienione na muzeum. Trzeba tam zapłacić bilet. Jest taka rodzina turecka, która pilnuje tego, żeby bez biletu nie wejść. Ale rzecz jasna wszystko, co można oglądać, zmieści się na 5 - 6 fotografiach. To wszystko, co pozostało z chwały dawnej Filadelfii.

Dwie rzeczy zasługują jeszcze na uwagę. Pierwsza to ta że, jak państwu mówiłem, miasto jest położone w rejonie, gdzie zdarzają się trzęsienia ziemi. Największe z nich miało miejsce w 17 roku naszej ery, czyli kiedy Jezus prowadził tzw. życie ukryte w Nazarecie. W 17 roku trzęsienie było tak przeogromne, że zburzyło całe to miasto, które wtedy miało za sobą ok. 150 lat istnienia. Do tego stopnia zburzyło, że przez pięć lat pozostawało niezamieszkałe. Oczywiście w starożytności budowanie domów wyglądało inaczej, niż dzisiaj. One nie były tak trwałe. Ale i dzisiaj na terenie Turcji jakość tych domów jest kiepska. W starożytności zapewne była jeszcze gorsza. Przez pięć lat miasto było zupełnie opuszczone.

Dlatego w starożytnej świadomości tych ludzi — to będzie ważne do tego, żeby zrozumieć tekst, który przeczytamy — było takie poczucie zagrożenia, poczucie przejściowości jak u kogoś, kto mieszka pod wulkanem. Właśnie tak samo u kogoś, kto przeżył trzęsienie ziemi. Otóż jeżeli ktoś przeżył duże trzęsienie ziemi, zostawia to na nim trwałe ślady gorsze, niż jakiegokolwiek inne wydarzenie. Dlatego, że dla człowieka jest jakąś wielką traumą przeżyć ruszanie się gruntu pod nogami. Normalnie grunt jest czymś najbardziej trwałym. Wydaje nam się, że nic nam na gruncie nie grozi. Boimy się w powietrzu, lękamy się na wodzie, natomiast ziemia, być na ziemi, jest to jakieś poczucie bezpieczeństwa. Tamci przeżyje straszliwe trzęsienie ziemi. Każdy, kto je przeżyje, traci to poczucie bezpieczeństwa, ma poczucie takiej przejściowości i poczucie lęku.

Otóż rzymski cesarz Tyberiusz, panujący w czasach, kiedy żył Jezus Chrystus, kilka lat po tym trzęsieniu ziemi wydał polecenie odbudowania Filadelfii, i przeznaczył na to pewne środki finansowe. I właśnie wtedy mieszkańcy Filadelfii, chcąc uczcić cesarza, nazwali swoje miasto *Neoceszarea* czyli jak gdyby *Nowe Cesarzowo*. A ponieważ raz zmieniono nazwę, to potem było łatwo zmienić

znowu. I za rządów cesarza Wespazjana, ok. 60 roku po Chrystusie, czyli nieco ponad 30 lat później, jeszcze raz zmieniono tę nazwę. Wtedy miasto otrzymało nazwę *Flavia*. A więc: Filadelfia, Neocezarea, Flavia — wszystko to były nazwy tego samego miasta. Zmiany nazw spowodowały, że w świadomości tamtejszych mieszkańców poczucie przejściowości jeszcze bardziej się nasiliło. Nie mieli takiego poczucia bezpieczeństwa. Bo mieszkali gdzieś, gdzie w każdej chwili grozi trzęsienie ziemi. I jednocześnie mieszkali w mieście, które za życia jednego pokolenia miało aż trzy nazwy — może trochę tak, jak było z Katowicami, albo trochę tak, jak w wielu miastach byłego Związku Radzieckiego, gdzie trzeba było się przyzwyczajać do nowych nazw, co oczywiście szło z oporami.

I druga rzecz zasługuje jeszcze na uwagę, ta, o której wspomniałem. Za chwilę już przejdziemy do Listu, ale musimy o tym powiedzieć. W okolicach Filadelfii były bardzo urodzajne winnice. Były sławne, i wyrabiano tam wino. Dopiero, jak państwo się domyślają, kiedy przyszli Arabowie na tamte tereny, a potem Turcy, którzy są muzułmanami, i nie ma tam kultury wina, ani kultury picia wina, wszystkie winnice zostały zniszczone. I dzisiaj w krajach muzułmańskich, nawet jeżeli można uprawiać winorośl, to na ogół się wina nie produkuje, bo alkoholu nie piją. Otóż w I wieku tych winnic było całe mnóstwo.

I w roku 92, czyli na kilka lat przed napisaniem Apokalipsy, rzymski cesarz Domicjan — ten sam, za którego rządów zostały te Listy napisane — wydał polecenie wycięcia winnic w okolicy Filadelfii. Historycy sprzeczą się, co kierowało cesarzem, iż wydał takie szatańskie polecenie. Nakazał wyciąć połowę winnic. Ale kto dokładnie zmierzy, ile jest połowa w takim przypadku. I te winnice zostały zdziesiątkowane. Jedni historycy mówią, że wyciął winnice na terenie Azji Mniejszej, żeby nie było konkurencji tamtego wina dla wina włoskiego, italskiego. Drudzy mówią, że powód tej decyzji cesarskiej był inny. Mianowicie cesarz wiedział, że gleba w tych okolicach jest urodzajna. I winnic mieli u siebie pod Rzymem pod dostatkiem. W związku z tym postanowił przeznaczyć tę ziemię na uprawy pod pszenicę. Nakazał więc wykarczować winnice, i zasiać tam pszenicę i inne zboża, żeby uczynić z tych terenów spichlerz dla Rzymu. Jakkolwiek by było, to właśnie w połowie lat 90. te okolice przeżyły wielki dramat dlatego, że dla starożytnego człowieka wycięcie drzew, i to masowo, na wielu kilometrach kwadratowych, graniczyło z prawdziwą katastrofą.

Dopiero teraz, jak myślę, możemy przeczytać nasz list, i przejść do jego objaśnienia. Bo oto do ludzi, którzy mieszkali w Filadelfii, i mieszkali w takim właśnie kontekście, apostoł Jan napisał tak:

Aniołowi Kościoła w Filadelfii napisz:

To mówi Święty, Prawdomówny,

Ten, co ma klucz Dawida,

Ten, co otwiera, a nikt nie zamknie,

i Ten, co zamyka, a nikt nie otwiera.

Znam twoje czyny.

Oto postawiłem jako dar przed tobą drzwi otwarte,

których nikt nie może zamknąć,

bo ty chociaż moc masz znikomą,

zachowałeś moje słowo

i nie zaparłeś się mego imienia.

Oto Ja ci daję [ludzi] z synagogi szatana,

spośród tych, którzy mówią o sobie, że są Żydami -

a nie są nimi, lecz kłamią.

Oto sprawię, iż przyjdą i padną na twarz przed twoimi stopami,

a poznają, że Ja cię umiłowałem.

Skoro zachowałeś nakaz mojej wytrwałości

i Ja cię zachowam od próby,

która ma nadejść na cały obszar zamieszkania,

by wypróbować mieszkańców ziemi.

Przyjdę niebawem:

Trzymaj, co masz,

by nikt twego wieńca nie zabrał!

Zwycięzcę uczynię filarem w świątyni Boga mojego

i już nie wyjdzie na zewnątrz.
I na nim imię Boga mojego napiszę
i imię miasta Boga mojego,
Nowego Jeruzalem, co z nieba zstępuje od mego Boga,
i moje nowe imię.
Kto ma uszy, niechaj posłyszycy, co mówi Duch do Kościołów.

List jest trudny, pełen symboliki, pełen zawoalowanego sposobu myślenia. Ale myślę że po tym, co powiedzieliśmy, jesteśmy w stanie lepiej go zrozumieć. Musimy bowiem zacząć od pewnego pytania, którego do tej pory nie postawiliśmy sobie. Kto mieszkał w starożytnej Filadelfii? Na pewno mieszkali Grecy, być może nawet trochę Syryjczyków. Ale bardziej prawdopodobne jest, że najwięcej było Greków osadzonych przez obydwu władców Pergamonu, ponieważ ten teren był właśnie pod kontrolą władców Pergamonu.

Ale mieszkali tam również Żydzi. Ile ich było – trudno powiedzieć. Nie ulega jednak wątpliwości, że było ich sporo. Mieszkali oni w każdym z miast Azji Mniejszej, i tutaj też. Nawiązanie do ich obecności w Filadelfii mamy również w naszym tekście. Apostoł Jan kieruje ten tekst do chrześcijan. Ale ci chrześcijanie, do których kieruje swój list, to byli nowo nawróceni Żydzi. Zatem najważniejszy konflikt, największy konflikt, który tam był, i napięcia, które tam istniały, były pomiędzy tymi Żydami, którzy uwierzyli w Jezusa i byli chrześcijanami, oraz tymi Żydami, którzy nie uwierzyli w Jezusa. Oczywiście spór był o to, kto jest prawdziwym spadkobiercą Starego Testamentu. Kto jest Mesjaszem: Jezus, który już przyszedł, czy być może Mesjasz, który jeszcze w ogóle nie przyszedł.

A także spór o to, jakie jest miejsce pogan, którzy stają się wyznawcami Boga Jedyne. Otóż ci Żydzi, którzy nie chcieli uwierzyć w Jezusa, nie uwierzyli w Jezusa, ściągali pogan do siebie, bo judaizm był wtedy religią misyjną. Ściągali pogan do siebie — ale po to, żeby uczynić z nich pod każdym względem Żydów, uczynić ich Żydami. Poddawali ich wszystkim żydowskim zwyczajom, włącznie z obrzezaniem, tak, aby w drugim i trzecim pokoleniu pamięć o tym, że byli poganami, zupełnie przepadła. Mówiąc prawdę coś podobnego dzieje się i w naszych czasach. Mianowicie Żydzi, po początkowych oporach, chętnie przyjmują w swoje szeregi zwłaszcza ludzi młodych, chłopców i dziewczęta. Chętnie przyjmują w swoje szeregi i przygotowują do tego, żeby stali się wyznawcami judaizmu bądź Żydami, i zapomnieli o swoim pochodzeniu. Każdy zastrzyk świeżej krwi jest mile widziany. W starożytności było właśnie tak samo.

Chrześcijanie dla odmiany, ci żydowskiego pochodzenia, przyjmowali pogan do Kościoła, ale nie wymagali od nich podporządkowania się wszystkim żydowskim zwyczajom. I w Filadelfii, jak możemy wnosić, wewnętrzne napięcia między Żydami, tymi nie-chrześcijanami i chrześcijanami, były bardzo silne. Państwo zwróć uwagę, że te napięcia były także w innych Kościołach, wspominaliśmy o tym bardzo często. A największe z nich, mówiliśmy o tym kilka miesięcy temu, były w Smyrnie, w dzisiejszym Izmirze.

W tekście czytamy:

Aniołowi Kościoła w Filadelfii napisz:
To mówi Święty, Prawdomówny,
Ten, co ma klucz Dawida,
Ten, co otwiera, a nikt nie zamknie,
i Ten, co zamyka, a nikt nie otworzy.

Mamy tutaj nawiązanie do dawnej, starożytnej idei miasta. Czym się różniło miasto od wsi? Otóż tym, że miasto było otoczone murami, nic poza tym. Natomiast wsie i osady nie miały murów obronnych. Mogło być więc tak, że miasto było w gruncie rzeczy bardzo małe, ale miało mury i przez to stawało się miastem, bo dawało obronę. Natomiast wsie czy rozmaite osady mogły być nawet bardzo rozległe, ale pozbawione murów pozostawały wsiami. W języku hebrajskim istnieje słowo ir oznaczające miasto, przy czym ir jest rodzaju żeńskiego, bo miasto jest jak matka, która daje życie. Miasto jest jak matka, która zapewnia poczucie bezpieczeństwa. Natomiast osady dookoła miasta, wsie dookoła miasta są nazywane banot, znaczy to po polsku *córki*. Mówi się zatem, jest to bardzo piękny obrazowy język, np. Jerozolima i jej córki, Hajfa i jej córki, Tyberiada i jej córki. Podaje się nazwę, i mówi się *córki*. To znaczy po polsku: Jerozolima i przedmieścia, Hajfa

i przedmieścia, Tyberiada i przedmieścia. Tak zwraca się uwagę na to, że w momencie niebezpieczeństwa, w momencie zagrożenia ci, którzy mieszkali w tych wioskach i osadach, mogli chronić się do miasta. I wtedy zamykano bramy. A gdy było spokojnie, bramy otwierano. Ponieważ Filadelfia była miastem stosunkowo młodym, powiedzieliśmy, że miała ok. 150 lat, i przeżyła trzęsienie ziemi w którym została całkowicie zburzona, zatem odbudowano ją od podstaw, to w świadomości mieszkańców istniało przekonanie, że mieszkają w nowym mieście. Że mieszkają w mieście, z którego są dumni. Że tutaj są bezpieczni, mogą w każdej chwili zamknąć bramy do miasta albo je otworzyć, mogą wejść bądź wyjść, że to daje im gwarancję bycia u siebie. I tu Apostoł, który doskonale wiedział o tej mentalności mieszkańców Filadelfii, nawiązuje do tego i mówi tak: *To mówi Święty, Prawdomówny*. Nawiązuje do tego że to, co powie, jest prawdziwe. Że jest to zapowiedź, są to słowa, które nie wynikają z kłamstwa, z obłudy, z fałszu, tylko że są to słowa prawdy.

Ten, co ma klucz Dawida. Słowa „klucz Dawida” wskazują, że przemawia przede wszystkim do ludzi żydowskiego pochodzenia. Bo dla pogan, dla Greków było by to zupełnie niezrozumiałe. *Ten, co otworzy, a nikt nie zamknie, i Ten, co zamyka, a nikt nie otworzy*. Św. Jan nawiązuje tu jednocześnie do Księgi Izajasza, bo tam jest zapowiedź Mesjasza w rozdz. 22 — Mesjasza, który będzie otwierał to, co zamknięte, zamykał to co zostało otwarte. I jest to aluzja do jego władzy, i mocy przebaczenia grzechów.

Tak więc św. Jan w ten zawoalowany sposób chce powiedzieć tak: „Mieszkacie w nowym mieście. Ale klucze do was, do waszej tożsamości, do tego, kim jesteście, ma Chrystus. Otóż jeżeli chcecie zrozumieć siebie będąc chrześcijanami, musicie polegać na Chrystusie, którego posłannictwo wam głoszę. To On zamyka to, co było do tej pory otwarte i otwiera to, co pozostawało zamknięte. A więc On ma władzę kluczy, jeżeli można tak powiedzieć. On przesądza, On decyduje o teraźniejszości, i o przyszłości. Mało tego. To w Nim macie przystęp do Boga. To dzięki Chrystusowi możecie spotkać Boga. Czas oczekiwania — ten w Starym Testamencie — się skończył. Chrystus ma władzę kluczy.”

W ten sposób św. Jan — to bardzo dziwne skojarzenie, my dzisiaj tego nie rozumiemy — nawiązuje i do miasta, które było na każdą noc zamykane, i na każde rano otwierane, i nawiązuje do wielkiego, bogatego, dostojnego domu jakiegoś rzymskiego dostojnika, w którym zawsze był klucznik. Klucznik był najbardziej zaufanym sługą owego bogacza. To on miał klucze do całego domu, do spichlerzy, do skarbcza. Św. Jan mówi: „Chrystus jest takim waszym klucznikiem.” Oczywiście przenosi to na poziom wewnętrzny, na poziom ich sumienia i ich wnętrza. „Jeżeli więc chcecie zrozumieć siebie” — mówi św. Jan — „polegajcie na Chrystusie, który ma klucz do waszych sumień.” I co dalej:

Znam twoje czyny.

A my znamy tę formułę — bo się kilkakrotnie powtarza. Najpierw apostoł patrzy na życie tych chrześcijan, i ocenia życie tych chrześcijan. Daje im poznać, że ich sprawy, ich problemy nie są mu obce. Jeżeli rzeczywiście chcemy do kogoś skutecznie trafić, jeżeli również chcemy głosić Słowo Boże, jeżeli chcemy komuś pomóc, jeżeli chcemy kogoś naprawić, to musimy najpierw starać się go zrozumieć. Spójrzec na niego jego oczami, znać jego czyny.

Znam twoje czyny.

Oto postawiłem jako dar przed tobą drzwi otwarte,
których nikt nie może zamknąć,
bo ty chociaż moc masz znikomą,
zachowałeś moje słowo
i nie zaparłeś się mego imienia.

Dowiadujemy się, że chrześcijan w Filadelfii było bardzo mało, bo *moc mieli znikomą*. Ale mimo tego, że było ich mało, że stanowili tylko garstkę w obliczu żywiołu pogańskiego i żywiołu żydowskiego, to okazali się wierni wobec Chrystusa. Dlatego św. Jan mówi, że zostawia im *dar otwartych drzwi*. Próbowano przez wieki odgadywać, co znaczy ów dar otwartych drzwi. Jak się wydaje, najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie polega na tym, że ów dar otwartych drzwi oznacza możliwość podejmowania decyzji, możliwość takiego decydowania, jak dyktuje to ich sumienie. Gdzie

indziej chrześcijanie otrzymywali szczegółowe nakazy: róbcie to, zachowujcie się tak, wykonujcie to czy tamto. Tutaj mogą skorzystać z daru wolności dlatego, że tę wolność już odpowiedzialnie kształtowali.

I tak dochodzimy do pewnego paradoksu. Niech państwo zauważą, że te wspólnoty chrześcijańskie w odległej starożytności były najsilniejsze nie tam, gdzie chrześcijan było najwięcej, tylko tam, gdzie chrześcijan było najmniej. Otóż siłą Kościoła nie jest masowość, liczby i statystyki, lecz siłą Kościoła jest jakość wiary i jakość życia tych, którzy do niego należą.

To nam nakazuje spojrzeć zupełnie inaczej także na tzw. pobożność masową. Dlatego że w masie, tam, gdzie jest bardzo dużo ludzi, zdarza się tak, że stawia się kult ponad moralność. Tymczasem to, co decyduje o wartości chrześcijańskiego życia, to jest właśnie moralność. Chrześcijanie w Filadelfii otrzymali dar otwartych drzwi. A więc, można by powiedzieć, decydowania o swoim życiu w świetle tego, kim już byli, i w świetle tych wyborów, które już dokonali. To jest bardzo trudna sprawa. Bo bardzo często koniec końców zdarza się tak, że wierni w spotkaniu z tymi, którzy ich kształtują, chcą gotowych rozwiązań. Tak się zdarza np. szczególnie często — aczkolwiek to bardzo delikatna dziedzina — w sakramencie pokuty: „Co ja mam robić?”, albo podczas rozmaitych porad: „Co ja mam robić?” I wtedy ksiądz, duchowny czy ktoś, kogo pytają, przeobraża, się jak gdyby w psychologa, psychoanalityka, albo we wróżkę, i ma dać dokładne rady, dokładne wskazówki, wręcz ma być drogowskazem. Tymczasem cała trudność i dojrzałość chrześcijańska polega na tym, żeby człowiek dokonywał sam trudnych wyborów. *Mając trwałe fundament, którym jest Chrystus, żeby sam decydował o swoim własnym życiu. Taka właśnie jest cena wolności, na tym polega dar wolności. Wolność zasadniczo różni się od swawoli, od swobody. Jest darem, który wymaga od człowieka odpowiedzialności.*

I tu *Oto postawiłem jako dar przed tobą drzwi otwarte.* Możesz wejść, możesz wyjść, możesz postąpić tak, możesz postąpić inaczej. Uważam, że jesteś dojrzały — więc zrobisz tak, jak uważasz. Ktoś może pomyśleć: „No, ale to może narazić człowieka, chrześcijanina, na grzechy, na upadki, na złe wybory — i co wtedy?” Ano wtedy przypomnijmy sobie to, o czym już państwo wiedzą, i co w Piśmie Świętym bardzo wyraźnie widać.

Istnieją dwie drogi życia: droga niewinności i droga nawrócenia. Tam, gdzie jest wolność, można korzystać z jednej bądź drugiej. Człowiek może popełnić błędy, grzechy, występki, ale nie one przesądzą o jego kłesce. O jego kłesce przesądza to, jeżeli nie potrafi się z nich podnieść. Natomiast jeżeli człowiek potrafi się podnieść z tego, co jest złe i gnuśne, to wtedy wina, którą zaciągnął, staje się błogosławiona. I znają państwo to wyrażenie o *błogosławionej winie*.

Tak więc w Kościele żyją obok siebie jedni i drudzy — ci, którzy kroczą drogą niewinności, i ci, którzy kroczą drogą nawrócenia. Tam, gdzie jest dar wolności, tam obie drogi są możliwe. Zostawiam *przed tobą otwarte drzwi* licząc, że potrafisz iść jedną bądź drugą drogą, *których nikt nie może zamknąć*, bo jeżeli człowiek jest naprawdę wolny, nic mu nie stanie na przeszkodzie do realizacji tego, co postanowił.

choć moc masz znikomą,
zachowałeś moje słowo
i nie zaparłeś się mego imienia.

To był ten największy sukces chrześcijan filadelfijskich. Było ich mało, mogli robić tak, jak uważali, i pozostawali w tym wszystkim wierni Chrystusowi. Nie zaparli się Jego imienia.

Oto Ja ci daję [ludzi] z synagogi szatana,
spośród tych, którzy mówią o sobie, że są Żydami -
a nie są nimi, lecz kłamią.
Oto sprawię, iż przyjdą i padną na twarz przed twoimi stopami,
a poznają, że Ja cię umiłowalem.

Są to bardzo mocne słowa, których w Apokalipsie jest więcej. Mianowicie apostoł Jan czyni tu aluzję do konfliktów między chrześcijanami żydowskiego pochodzenia a tymi, *którzy mówią, że są Żydami*, ale w gruncie rzeczy są synagogą szatana. To wyrażenie *synagoga szatana* nawet weszło do języka chrześcijańskiego, i przez Żydów jest traktowane jako jedno z nowotestamentowych źródeł

antysemityzmu. Nie ma wątpliwości, że wyrażenie jest bardzo dosadne. Ale nie ulega też wątpliwości, że w pierwszym wieku między chrześcijanami a Żydami spory były bardzo silne, i że w tamtym okresie prym w tym wszystkim wiodli Żydzi. To oni oskarżali chrześcijan, donosili na chrześcijan do władz pogańskich, oni wszczynali prześladowania chrześcijan bardzo często. I w ten sposób to silne słownictwo to jest również skutek ówczesnych bardzo silnych konfliktów. Apostoł mówi, że oni *mówią o sobie, że są Żydami*. Ale prawdziwymi Żydami tak, jak wyjaśnia to w swojej Ewangelii, są nie ci, którzy mówią o sobie, że są wedle ciała dziećmi Abrahama, lecz ci, którzy są wierni Panu Bogu i jego obietnicom.

Tak zaczyna się konflikt, który trwa po dzień dzisiejszy. Kto jest spadkobiercą Starożytności? Kto jest kontynuatorem obietnic Bożych? Kogo nadal Bóg miłuje? Jest to spór tak jak w rodzinie, który na poziomie dzieci bywa bardzo trywializowany: „Kogo mama bardziej kocha — Jasia czy Małgosię?” Kogo Bóg bardziej kocha — Żydów czy chrześcijan? Żydzi wciąż mówili o sobie wtedy, że pozostają nadal przedmiotem miłości Bożej. A chrześcijanie mówili; „Nie, to my, którzy uznaliśmy Jezusa Chrystusa, jesteśmy teraz umiłowanymi dziećmi Boga.” Św. Jan podpowiada: oto *poznaję, że Ja cię umiłowalem*. Zapowiada, że w przyszłości — trudno powiedzieć, bliskiej czy odległej — ci Żydzi, którzy nie uznali Jezusa Chrystusa będą musieli uznać hegemonię chrześcijan. Tak się stało, ale od IV wieku dopiero. Wtedy role się odwróciły. Ponieważ chrześcijaństwo stało się oficjalną religią Imperium Rzymskiego, Żydzi mieli coraz mniej do powiedzenia. Ton wzajemnym stosunkom zaczęli nadawać chrześcijanie. Było w ciągu wieków kilka odstępstw od tej reguły. Najważniejszy wyjątek to były lata 360 - 362, kiedy to cesarz Julian, nazwany później Apostatą (odstępca), za namową Żydów, którzy byli w jego bliskim otoczeniu, nakazał odbudowę świątyni jerozolimskiej. Ale Julian bardzo szybko zmarł, po niecałych dwóch latach rządów, od tego zamiaru odstąpiono. I od tamtej pory, można by powiedzieć, hegemonia w tych wzajemnych stosunkach należała do chrześcijan. Dalej:

Skoro zachowałeś nakaz mojej wytrwałości
i Ja cię zachowam od próby,
która ma nadejść na cały obszar zamieszkania,
by wypróbować mieszkańców ziemi.

Cóż to za próba? Otóż komentatorzy zgadzają się, że próba, o której tutaj mowa, to jest owa katastrofa związana z wycięciem winnic. Miała ona miejsce w r. 92 - 93, kiedy to cesarz polecił te winnice wyciąć. I oczywiście nad miejscową ludnością zawiąło widmo zagłady. Chrześcijanie otrzymują tutaj zapowiedź, że ponieważ okazaliście się wytrwali, *zachowam wad od tej wielkiej próby*. Była to rzeczywiście bardzo ciężka próba dla ludności zamieszkałej w Filadelfii i bezpośrednich okolicach. Ona spowodowała, że wielu ludzi stamtąd się wyniosło. Jednak chrześcijanie w Filadelfii pozostali. A potem byli nawet tak silni, że w V i VI wieku wybudowali tam wspaniałe kościoły, których resztki zachowały się do dnia dzisiejszego. Filadelfia stała się miastem typowo chrześcijańskim. Zatem w czasie tej klęski, tego masowego wycinania winnic, kiedy ludzie tracili środki do życia, i nie mogli się przekwalifikować na inne dochody, chrześcijanie w Filadelfii się ostali.

Zwycięzcę uczynię filarem w świątyni Boga mojego
i już nie wyjdzie na zewnątrz.
I na nim imię Boga mojego napiszę
i imię miasta Boga mojego,

Tak mamy nawiązanie do Jerozolimy, mamy nawiązanie do Jeruzalem Nowego. Otóż cały czas apostoł, który myślał bardzo głęboko i bardzo symbolicznie, obraca się między tym jednym małym miastem, do którego pisze, a Jerozolimą, którą bardzo umiłował i której nigdy nie zobaczy. Jerozolima leżała w gruzach, więc apostoł powiada: Jerozolima może być wszędzie. Tam, gdzie są wierzący w Boga jedynego, tam jest miasto święte. Zatem zwracając się do chrześcijan filadelfijskich mówi im: „Ponieważ okazaliście się wierni Bogu, wierni Chrystusowi i jego woli, to przejęliście jak gdyby wszystkie przywileje Jerozolimy. Zatem wam przysługuje również przywilej tego zwycięstwa.” Zwróćmy uwagę że ta wizja, którą maluje apostoł, tym mieszkańcom niewielkiej w końcu Filadelfii mogła, czy musiała, się wydać utopijna. Ale przecież było zupełnie inaczej. Wzięli ją za swoją, skoro zachowała się na kartach Apokalipsy. I dalej:

Nowego Jeruzalem, co z nieba zstępuje od mojego Boga,
i moje nowe imię.

Otóż tu mamy znów bardzo zawoalowaną aluzję do tej częstej zmiany imienia Filadelfii. Pamiętamy: nazywała się Nowocezarea, nazywała się Flavia. A apostoł mówi: „Otrzymacie nowe imię. Moje nowe imię. Żebyście mieli pewność, że wierność zostanie zawsze wynagrodzona.” I na zakończenie myślę, że takie jest w gruncie rzeczy najbardziej fundamentalne przesłanie tego listu. Że wierność Bogu zawsze się opłaci. Że wierność Panu Bogu nie przechodzi bez echa, nie pozostanie bez nagrody. Że wierność nie zależy od siły, wierność zależy od pojedynczego człowieka. I dopiero wierność pojedynczych ludzi przesądza o wierności całej wspólnoty. Mieszkańcy Filadelfii w niczym nie zostali upomniani. Jest to właściwie jedyny list do Kościoła, w którym nie ma żadnego napomnienia. Ta wspólnota była tak mała, że starała się żyć jak najlepiej. Zatem sensem tego listu jest zachęta do dalszej wierności. Proszę zauważyć, że tak proste przesłanie w gruncie rzeczy pozostaje aktualne we wszystkich czasach. Dlaczego tak jest? Bo jeżeli człowiek jest dobry, jeżeli wszystko idzie dobrze, to wydaje się to jak gdyby nudne. Zło jest bardziej widowiskowe zło jest głośniejsze. Mówimy, jak w tym słynnym przysłowiu, że jeżeli w jakimś mieście żyje jedna zła dziewczyna czy mężczyzna, to wszyscy o nich wiedzą. Ale o dziewięciuset dobrych nie mówi się nic!

I w związku z tym człowiek dobry czuje się jakby niedowartościowany i niezauważony. To jest też cena dobroci, mianowicie swoista pokora. I ci chrześcijanie filadelfijscy, z tego miasta „Braterska Miłość”, są zachęceni do wytrwałości w dobrem. Takie w gruncie rzeczy jest przesłanie tego pięknego listu. Myślę, że na progu Wielkiego Tygodnia to przesłanie jest szczególnie ważne, i możemy je sobie wziąć do serca. Bądźmy dobrzy, bo to Bóg widzi, i to Bóg nagradza. I właśnie tego na progu Wielkiego Tygodnia chciałbym państwu bardzo serdecznie życzyć.

Zanim złożę życzenia, dwie krótkie sprawy. Na dzisiaj zapowiadałem, że będzie już ten album o Azji Mniejszej, ale niestety byłem zbyt optymistą. Album drukuje się za granicą, jeszcze go nie oprowili. I ma być, przynajmniej tak zapowiadają, na maja. Na nasze następne spotkanie zapraszam bardzo serdecznie w drugi poniedziałek maja, czyli 14 V. I wtedy album zapewne będzie. Zobaczą tam państwo Filadelfię, zobaczą również inne miejscowości, o których tak wiele powiedzieliśmy.

Natomiast dzisiaj można zaopatrzyć się w broszurę, która stanowi zapis wykładu, który miesiąc temu miałem w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego „Drogi i bezdroża dialogu katolicko-żydowskiego”. Ponieważ bardzo dużo osób prosiło, żeby to spisać, zostało to spisane i wydane w formie broszury.

Życzę państwu zdrowych, błogosławionych, wspaniałych Świąt. Najpierw głębokich przeżyć w Wielki Czwartek, Piątek i Sobotę, a później błogosławionych Świąt Wielkanocnych. Dużo radości, dużo łask od Boga, zdrowia, i tego, co najlepsze.

8 List do Kościoła w Laodycei (dn. 14 maja 2001)

Dzisiaj to nasza przedostatnia konferencja, na ostatnią zaproszę państwa w czerwcu. I tamta będzie kończyła tegoroczny cykl. Będzie to połączone z takim pomysłem – niespodzianką. Natomiast dzisiaj zabieramy się do ostatniego listu z nadzieją, że jego lektura przyniesie nam duchowe owoce. Oczywiście w maju czyta się te listy zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy była jesień i zima. Ja zawsze państwa podziwiałem w listopadzie, grudniu, styczniu, lutym, kiedy to jest naprawdę dość późna pora dnia — a jednak państwo przybywali na te konferencje. Myślę więc, że po całym cyklu jakiś owoc z tego będzie.

Te konferencje dzięki życzliwości jednego z panów, bądź też jego rodziny, zostały spisane. Trzeba by je opracować od strony językowej. I jeżeli udałoby się, można by do tej lektury wrócić. Ale domyślałem się że i państwo wiedzą, że tych rozmaitych obowiązków jest sporo. I czasami dobre chęci nie wystarczają, bo brakuje po prostu czasu na różne rzeczy. Teraz też przychodzi czas bardzo trudny, bo jest to koniec roku akademickiego, przyjęcia na nowy rok, egzaminy itd. Więc dopóki z tym mam do czynienia, to trzeba i temu poświęcać sporo czasu.

Zatem dzisiaj list do Kościoła w Laodycei. Jest to jeden z najpiękniejszych listów w Apokalipsie. O Laodycei powiemy sobie za kilka chwil. Natomiast jak państwo pamiętają zawsze schemat naszych konferencji był mniej więcej taki. Najpierw kilka słów na temat danej miejscowości. Oczywiście, ja to powtarzam do znudzenia, że byłoby teraz najlepiej, gdyby się udało zorganizować wyjazd śladami Siedmiu Kościołów Apokalipsy, to nie byłoby lepszej grupy. Takie podróże nazywają się *podróże studyjne*. Nie byłoby lepszej grupy, niż grupa właśnie państwa. Na pewno byśmy przeżywali tam to zupełnie inaczej.

Więc ta znajomość realiów bardzo pomaga. I ta znajomość realiów, czyli to przedstawienie poszczególnych miast, również nam pokazuje że ci, do których apostoł Jan pisał niegdyś swoje listy, byli ludźmi z krwi i kości, takimi samymi, jak my.

Mówiłem państwu kilkakrotnie, i dzisiaj na koniec tych listów raz jeszcze ten obraz przywołuję, że pewnie to zgromadzenie liturgiczne, dla którego czytano listy janowe, wyglądało mniej więcej tak, jak nasze zgromadzenie. Ktoś odczytywał na środku list, natomiast te kilkadziesiąt bądź kilkaset osób go słuchało. Rozmawiano na ten temat, dyskutowano, starano się zapamiętać treść tego listu. A to wszystko dlatego, aby — gdy wybuchną prześladowania — żeby móc powtórzyć treść nauki, a przede wszystkim zachować wierność Ewangelii. Tamte prześladowania to były w latach 90-tych I wieku za rządów cesarza Domicjana. Dzisiaj, dzięki Bogu, takich prześladowań otwartych nie ma, przynajmniej w naszym rejonie Europy, ale świadectwo osób, które chcą pozostać autentycznie wierne Ewangelii, jest chyba tak samo potrzebne, jak było zawsze potrzebne w dziejach Kościoła. Kiedy więc mówimy o tych miejscowościach, chcę państwu pokazać, że to są rzeczy, które miały swój kontekst historyczny, geograficzny, topograficzny.

Potem druga część to zawsze o początkach chrześcijaństwa w tych miejscach. I wreszcie trzecia część to jest list. Dzisiaj też będziemy słuchać wg. tego samego schematu, i będziemy zgłębiać treść listu do Kościoła w Laodycei według tych trzech części. Najpierw chciałbym państwu przeczytać ten list. Myślę, że te osoby, które go ostatnio nie czytały, natychmiast rozpoznają pewne motywy, które weszły na stałe do pobożności, ale także weszły do na stałe teologii, do myślenia religijnego — bowiem ten list do mieszkańców Laodycei zrobił przeogromną karierę. Posłuchajmy go:

Aniołowi Kościoła w Laodycei napisz:

To mówi Amen,

Świadek wierny i prawdomówny,

Początek stworzenia Bożego:

Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś.

Obyś był zimny albo gorący!

A tak, skoro jesteś letni

i ani gorący, ani zimny,

chcę cię wyrzucić z moich ust.

Ty bowiem mówisz: ”Jestem bogaty”, i ”wzbogaciłem się”, i ”niczego mi nie potrzeba”,

a nie wiesz, że to ty jesteś nieszczęsny i godzien litości,

i biedny i ślepy, i nagi.

Radzę ci kupić u mnie
złota w ogniu oczyszczonego,
abyś się wzbogacił,
i białe szaty,
abyś się oblókł,
a nie ujawniła się haniebna twa nagość,
i balsamu do namaszczenia twych oczu,
byś widział.
Ja wszystkich, których kocham, karzę i ćwiczę.
Bądź więc gorliwy i nawróć się!
Oto stoję u drzwi i kołaczę:
jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy,
wejdę do niego i będę z nim wieszerał,
a on ze Mną.
Zwycięzcy dam zasiąść ze Mną na moim tronie,
jak i Ja zwyciężyłem i zasiadłem z moim Ojcem na Jego tronie.
Kto ma uszy, niechaj posłyszysz, co mówi Duch do Kościołów.

Taki jest ten piękny siódmy list, ostatni. A teraz parę słów na temat jego adresatów, i na temat historii miasta. To miasto, o którym dzisiaj mówimy, istniało już w połowie pierwszego tysiąclecia przed Chrystusem, czyli gdzieś ok. 500 – 400 lat przed Chrystusem, i było wtedy niewielką, ale znaczącą miasteczką, i nazywało się Diospolis. W ten sposób w nazwie znalazło wyrażenie przekonanie, że jest to miasto Zeusa. I czczono tam właśnie główne bóstwo Panteonu greckiego i rzymskiego, czyli właśnie Zeusa. Tym nie mniej było to miasto dość prowincjonalne. Ono jest położone w krainie, której historyczna nazwa brzmi Frygia. Jest to północno-zachodnia Azja Mniejsza, dzisiejsza Turcja, mniej więcej 220 km od Morza Śródziemnego, a więc w głębi lądu. Położone jest nad rzeką Lykos — wspominaliśmy już o niej kilkakrotnie. Rzeka jest niewielka, ale bardzo ważna. Bo cała jej dolina, w której położone jest to miasto, jest bardzo żyzna. I zawsze słynęła z tego, że były tam dobre uprawy, ale także owce. Po dzień dzisiejszy na terenie Turcji istnieje przekonanie, że są trzy regiony, z których owce dają najlepszą wełnę: rejon Ankary (starożytna nazwa miejscowości brzmiała Ancyra, Angora — stąd mówimy o *rasie angorskiej* — stamtąd właśnie się wywodzi), rejon Miletu — nad samym Morzem Śródziemnym, przy ujściu rzeki Meander, i właśnie rejon Laodycei. Dlaczego te owce są tak cenione? Cenione są dlatego, ponieważ wszędzie tam, gdzie się wypasają, jest dużo wody. I to jest bardzo dobra woda, bardzo zdrowa woda. Konsekwentnie ci pasterze, i wytwórcy rozmaitych materiałów tekstylnych uważają, że właśnie ta woda przesądza o zdrowiu owiec, i przesądza o jakości tamtejszej wełny.

Laodycea słynęła zatem z takiej wełny. Po dzień dzisiejszy w okolicach jest mnóstwo wytwórni tekstyliów, wiele z nich utrzymuje dobre stosunki z Polską. Nieopodal tego miejsca, gdzie znajdowała się starożytna Laodycea, jest nawet taki duży sklep tekstylny, skąd regularnie odchodzą transporty tamtych towarów do naszych miast, głównie do niedawna do Torunia, do Bydgoszczy, na Śląsk — bo tam ponawiały rozmaite kontakty. Zatem miasto i miejsce, które ma dobrą tradycję rolniczą, ale także hodowlaną.

Ale nie tylko to. Otóż miasto zostało założone w latach 261 – 253 przed Chrystusem przez króla Antiocha II, który był władcą z dynastii Seleucydów z siedzibą w Syrii. Ów Antioch świeżo poślubił żonę, która miała na imię Laodice albo Laodike (w r. 261 przed Chr.). I następnie ku czci swojej żony założył to miasto i nazwał jej imieniem. Dobrze, że zrobił to niedługo po ślubie dlatego, że 8 lat później się rozwiedli, i prawdopodobnie taki pomysł by już mu do głowy nie przyszedł. To nam pokazuje, że jeżeli chce żona coś osiągnąć od męża, to im szybciej po ślubie, tym lepiej pewnie. Więc to miasto jest dowodem tego, że pośpiech się opłaca. W każdym razie jej się opłacał. Osiem lat później się rozwiedli, Antioch ją oddalił, ale nazwa miasta została. A to z tej prostej przyczyny, że była to nazwa, która bardzo ładnie brzmiała w języku greckim i łacińskim: gr. Laodikeia, łac. Laodicea. I po polsku też ta nazwa bardzo ładnie brzmi. Tak, że utrwaliła się, i na dobre weszła do tamtego języka.

Po sąsiedzku znajdowały się jeszcze dwa duże miasta, mianowicie Kolossy, mniej więcej 15 km od

Laodycei, oraz Hierapolis, mniej więcej 10 km od Laodycei. Te trzy miasta to był trójkąt w którym rozgrywało się wszystko, co najważniejsze, w tym regionie Frygii. Był to trójkąt niesłychanie bogaty, o czym za chwilę, trójkąt z miast, które miały swoją historię, znane były przede wszystkim ze swoich wód. Do tych wód mamy również nawiązanie w tym fragmencie, o czym za moment.

Ok. roku 220 przed Chrystusem syn Antiocha II, który też miał na imię Antioch, a więc nazywany był III, obraził się na Laodyceę nie tylko z powodu tego, że jego macocha już nie była żoną ojca, ale daleko bardziej z tego powodu, że był tam niejaki Acheusz, który nie należał do rodziny królewskiej, który zbuntował się przeciwko Antiochowi III i ogłosił się w Laodycei królem. Laodycea była więc przez jakiś czas na cenzurowanym. Właśnie wtedy Antioch III, który miał pretensje do mieszkańców Laodycei, że ten uzurpator chciał tam się stać królem, zrobił mieszkańcom Laodycei i okolicy pewien kawał, którego skutki okazały się później brzemienne.

Mianowicie sprowadził z terenu Mezopotamii, a więc dzisiejszego Iranu, dwa tysiące żydowskich rodzin i osiedlił je wśród miejscowej ludności. Już miał w głowie to, że jak się gdzieś Żydów osiedli w dużej liczbie, to będą z tego kłopoty. I on mając tego rodzaju przekonanie, mając takie przeświadczenie ściągnął te 2000 rodzin żydowskich — opisują to bardzo dokładnie historycy starożytni — polecił im osiąść w Laodycei, w Hierapolis, w Kolosach i w całej tej okolicy. I oni bardzo szybko doszli do ogromnych wpływów. Mianowicie przejęli system bankowy, finansowy w Laodycei. I Laodycea stała się siedzibą banków, taką Szwajcarią albo Nowym Jorkiem starożytności. Z tego tytułu Laodycea była wszędzie znana, bo miała nawet swoją mennicę. Co więcej, tam dokonywanos wymiany jednych pieniędzy na drugie. Było więc mnóstwo instytucji, które w dzisiejszym języku można by nazwać kantorami.

Dzięki tym Żydom mamy pojęcie także o tym, co się tam w starożytności działo. Tak jak w jednym z miast, o którym mówiliśmy uprzednio, Żydzi nałożyli na siebie podatek. Każdy dorosły mężczyzna, a dorosły Żyd to jest ten, który skończył 13 lat, czyli przeszedł obrzęd Bar-Micwa, miał obowiązek płacić rocznie pół szekla na świątynię jerozolimską. To powodowało napięcia pomiędzy ludnością żydowską a miejscową ludnością frygijską i grecką dlatego, że ci Frygijczyci twierdzili, że Żydzi wywożą im kapitał do Jerozolimy. Ale Żydzi się tym specjalnie nie przejmowali i już kilkanaście lat później okazało się, że wpływy z tego tytułu były bardzo duże. Do naszych czasów szczęśliwie zachował się przekaz z roku 62 przed Chrystusem. Żydzi zebrali wtedy wśród siebie 20 tysięcy funtów rzymskich, które zostały odesłane do Jerozolimy. Obliczono, że wobec tego w okolicach żyło ponad 9 tysięcy mężczyzn, czyli Żydów powyżej 13 roku życia. Jeżeli do tego się doda kobiety: matki, żony, siostry, i jeżeli do tego się doda dzieci, to liczbę Żydów pod koniec ery przedchrześcijańskiej na tym niewielkim terenie szacuje się na 50 tysięcy. Jeżeli tak, to możemy wnosić, że ta populacja była nie tylko bardzo liczna, ale miała również silne wpływy, o których wiadomo również skądinąd.

Zwróćmy uwagę, że właśnie na takie środowisko miała natrafić tam Ewangelia. Od r. 188 przed Chrystusem cały ten region podlegał królowi Pergamonu, a w r. 129 przed Chrystusem region ten przejęli Rzymianie. Kiedy Rzymianie przyszli na te tereny, ludność żydowska wymogła wtedy na cesarzu rzymskim zgodę na swobodne przestrzeganie szabatów oraz wszystkich swoich praktyk religijnych, a także na wysyłanie pieniędzy na rzecz świątyni jerozolimskiej. Ludność ta miała więc dość duże wpływy.

Św. Paweł przybył na te tereny ok. roku 50. Nie wiemy, czy był w samej Laodycei — raczej nie, natomiast przebywał w Efezie, oddalonym o ok. 200 km. Natomiast do Laodycei i do Hierapolis posłał swojego współpracownika, który miał na imię Epafras. I w liście św. Pawła do Kolosan, a Kolosy — jak powiedziałem — znajdują się 15 km od Laodycei, mamy również nawiązanie do Laodycei i tamtejszych chrześcijan. Wnosimy z tego, że już ok. roku 51 – 52, czyli ok. 20 lat po śmierci Jezusa, na terenie Laodycei była wspólnota chrześcijańska, byli chrześcijanie. Skąd oni się rekrutowali? Tutaj nie potrzeba specjalnie zgadywać, oni się rekrutowali spośród tych Żydów, którzy na tym terenie mieszkali. Być może część z tych Żydów była nawet obecna w Jerozolimie w dzień Zesłania Ducha Świętego. Potem Żydzi systematycznie odbywali pielgrzymki do Jerozolimy. I właśnie w Jerozolimie stykali się z wiarą w Chrystusa, wracali do siebie, i tutaj stawali się chrześcijanami.

Można zatem powiedzieć, że kiedy św. Jan pisze swoje listy w połowie lat dziewięćdziesiątych, to mamy tutaj do czynienia z chrześcijanami drugiego pokolenia. Pierwsze pokolenie było w latach

pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, i gdzieś tam w latach osiemdziesiątych zaczynało się już powoli wykruszać. Wtedy dochodziła do głosu wiara ich synów i córek. I właśnie w Laodycei mamy do czynienia z problemami, z dylematami drugiego pokolenia chrześcijan. A więc to są tacy chrześcijanie, których wiara pochodzi już ze słyszenia, podobnie jak nasza, pochodzi od innych. A więc nie bezpośrednie świadectwo apostołów, tylko już pośredni sposób przejmowania tej wiary.

Cyceron, który był prokonsulem w Cylicji (to sąsiednia kraina) w latach 51 i 50 przed Chrystusem tzn. na sto lat przed tymi wydarzeniami, opisywał, że Laodycea słynie przede wszystkim z wielkiego skumulowania finansów i banków. Jeżeli dzisiaj jedzie się do Laodycei, a na ogół każda pielgrzymka, która udaje się śladami św. Pawła tam jest — do niedawna nie sposób było trafić, bo nie było drogowskazów. Parę lat temu zostały zrobione, i dzisiaj nie następuje już to żadnych problemów. Otóż tam się jedzie przez taką turecką wieś, przejeżdża się tory kolejowe. Przed drugimi torami kolejowymi trzeba niestety wysiąść, i przejść z autokaru jakieś 600 m na to miejsce, gdzie była Laodycea.

I zawsze można tam spotkać tureckich chłopców, takich nastolatków, którzy oferują monety. Otóż zawsze sprzedają za 5, 10, 15, 20, 50 \$ starożytne monety. Są to wszystko monety autentyczne, bo tam bardzo łatwo je znaleźć. W latach 1961 - 63 penetrowali ten teren archeolodzy kanadyjscy, ale oni zbadali tylko ok. 5% powierzchni. Natomiast pozostałe 95% jest bez przerwy penetrowane przez tych miejscowych chłopaków. Liczba wydobywanych monet wskazuje, że musiało to być miasto bardzo zamożne. Żadne inne miasto na terenie Azji Mniejszej, na terenie Turcji, nie ma tylu monet po prawie 2000 lat, ile znajduje się na terenie Laodycei. Zatem zamożność daleko posunięta.

Tam odbywały się również walki gladiatorów. To nam też pokazuje, że było to miasto specyficznie rzymskie, urządzone według rzymskich prawideł. Wspominałem już o wełnie, wspominałem o tekstyliach, ale słynęła Laodycea również z bezpośredniej bliskości Hierapolis. Otóż Hierapolis — ale dzisiaj nazywa się Pammukale — w starożytności i dzisiaj znane jest ze źródeł gorącej wody. Ma ona ogromne wartości terapeutyczne. Z Laodycei doskonale widać to Hierapolis, taką białą skałę. Wystarczy jeszcze dzisiaj pojechać do Hierapolis, do Pammukale, i w tej gorącej wodzie można sobie chodzić, można się kąpać. Jest to woda, która od niepamiętnych czasów tam płynie, i znana jest z tego, że przywraca zdrowie, albo raczej podtrzymuje zdrowie.

Pewnie to drugie, bo obok gorących źródeł jest bardzo duży starożytny cmentarz — dowód, że nie wszystkim ta woda pomogła. Więc jak się tam jedzie do tych źródeł gorących, to trzeba przejechać najpierw przez cmentarz. To jest bardzo oczyszczająca rzecz. Niech państwo to wyobrażą, że jedziecie do sanatorium, i najpierw przejeżdżacie przez środek cmentarza, a dopiero potem sanatorium. A tam dokładnie tak właśnie jest. Nie ma żadnej innej drogi, nie można się inaczej dostać — tylko trzeba koniecznie przejechać przez ten cmentarz. I dopiero jak człowiek zobaczy ten cmentarz, może rozpocząć kurację. Cmentarz jest bardzo wystawny po dzień dzisiejszy. Są tam groby greckie, groby rzymskie, groby miejscowe frygijskie. Widać, że ludzie przyjeżdżali z całego świata.

Hierapolis utrzymywało również bardzo dobre kontakty z greckimi Delfami. Nawet w Hierapolis urzędowała również wróżka. Ponieważ wody tamtejsze zawierają bardzo dużo fosforu, on odpowiednio pachnie. Tam jest taka szczelina w ziemi, nazywało się to w starożytności Plutonium. Wróżka wahała opary z tej szczeliny, następnie wpadała w ekstazę tak, jak po naszych narkotykach, i udzielała odpowiedzi na rozmaite pytania. Odpowiedzi zawsze były dwuznaczne tak, że każdy znalazł dla siebie to, co chciał — i zawsze mu się sprawdzało. Z tego też Laodycea i Hierapolis były znane.

Wreszcie jeszcze jedna sprawa. W samej Laodycei było też centrum medyczne, największy w starożytności ośrodek okulistyczny. Leczone tam choroby oczu. Jest tam rodzaj kamienia, zresztą wykorzystywany po dzień dzisiejszy, z którego wyrabiano bardzo delikatny proszek. Następnie ten proszek kładziono na oczy tak, jak i dzisiaj bywa przy rozmaitych zabiegach tego typu. I po kilku czy kilkunastu tego rodzaju zabiegach wzrok stawał się ostrzejszy, człowiek lepiej widział.

Pamiętajmy, że w starożytności kiepski wzrok oznaczał i kiepskie życie. Bo przecież nie było tego rodzaju ułatwień, jakie są dzisiaj. I wyobraźmy sobie — zwłaszcza ci, którzy mają kłopoty ze wzrokiem — jakby przyszło im żyć, gdyby nie było okularów i rozmaitych pomocy. W starożytności tego wszystkiego nie było. Zwłaszcza dla przeciętnego człowieka nie było to dostępne, bo jeszcze królowie mieli jakieś tam możliwości, żeby cokolwiek powiększyć, ale przeciętny człowiek

nie. I w związku z tym ta Laodycea była bardzo ceniona właśnie za ten proszek. I wyrabiano tam również czarny barwnik. Używany był przez kobiety do barwienia rzęs, do barwienia włosów. I stamtąd ten barwnik rozchodził się na cały starożytny świat.

Taki jest kontekst tego miasta, gdzie wszystko ze sobą się miesza. Natomiast na plan pierwszy wysuwa się na pewno bogactwo. Spora liczba ludności żydowskiej, która stała się chrześcijanami, oraz bogactwo. I to właśnie do tych ludzi, których dzieje i których charakter starałem się państwu przedstawić, św. Jan Apostoł napisał swój list. Posłuchajmy teraz tego listu, bo z niego będziemy starali się te szczegóły, o których już wiemy, powiązać z treścią tego listu i zaczerpnąć z niego naukę na dzisiaj. Więc zaczynamy tak:

Aniołowi Kościoła w Laodycei napisz:

Raz jeszcze mamy zatem myśl, że każdy Kościół, każda wspólnota, ma niejako swojego Anioła Stróża. Że nie wystarczy tylko przekonać ludzi, ale trzeba również niejako prosić o Boską opiekę, o anielską obecność i anielskie wsparcie dla człowieka. Wspominałem państwu kiedyś, że dzisiaj wiara związana z aniołami, i pobożność związana z aniołami, nie są w zbytnej cenie. Aniołowie stali się niemodni. Dzisiaj bardzo mało dzieci zna wierszyki w rodzaju: „Aniele Boży, Stróżu mój . . .”, i bardzo mało wierzących polega na obecności Aniołów Stróżów. Czytając Apokalipsę warto zwrócić uwagę na ten szczegół i pamiętać, że jest to jakiś zapomniany składnik naszej pobożności i naszej wiary. W Apokalipsie obecność Anioła Stróża, którego ma każdy człowiek i każda wspólnota, jest bardzo eksponowana.

Być może kiedy czytamy Apokalipsę, to warto zwrócić uwagę na ten właśnie szczegół. I pamiętać także o tym, że jest to jakiś zapomniany składnik naszej pobożności i naszej wiary, który winien być przypomniany.

To mówi Amen,
Świadek wierny i prawdomówny,
Początek stworzenia Bożego:

Zwróćmy uwagę, że Tym, który mówi, jest Chrystus. Chrystus został tutaj nazwany po prostu *Amen* — w nawiązaniu do *Alfa* i *Omega*, *Początek* i *Koniec* — język jest symboliczny. Zatem to, co mówi Jezus, ma wartość rozstrzygającą. Słowa Jezusa nie są tak, jak słowa innego człowieka. Słowa Jezusa to nie jest przedmiot do dyskusji. Słowa Jezusa to jest *Amen* — mówimy czasami w przysłowiu: „jak Amen w pacierzu”, czyli na pewno tak. Amen to słowo hebrajskie, które po polsku znaczy *tak, niech się tak stanie*. A więc: „To mówi Amen” czyli „Tak mówi Jezus”. Apostoł mówi: „Nie od siebie was upominam, i nie od siebie do was piszę, ale piszę do was w imieniu Jezusa”. *Świadek wierny i prawdomówny* — wierność człowiekowi, i prawdomówność. *Początek stworzenia Bożego* — to słowo „Początek” nawiązuje pewnie do tytułu rzymskich imperatorów, którzy w starożytności nazywali siebie *princeps*, a zatem „pierwszy”, „zwierzchnik”. Tu w sposób zawołowany – bo ciągle trwają prześladowania – Jezus Chrystus jest nazwany „Princeps”, czyli jest nazwany „Początkiem”, jest nazwany „Zwierzchnikiem”.

A więc chrześcijanom w Laodycei przypomina się, że powinni wierzyć Chrystusowi — nie polegać na cesarzach. Dlaczego było to ważne? Dlatego, że wielu Żydów przedtem przyzwyczaiło się do dość bliskiej współpracy z rzymskimi cesarzami, bardzo często kosztem miejscowej ludności. W ten sposób uzyskiwali przywileje dla siebie, rozmaite przywileje, których inni ludzie nie mieli. I ten sposób postępowania przeszedł również do wspólnot judeochrześcijańskich, tzn. chrześcijanie żydowskiego pochodzenia też wykazywali taką tendencję do pewnej uległości. W związku z tym apostoł powiada: „Nie możecie służyć Bogu i mamonie. Nie możecie stawiać na jednym poziomie Chrystusa i cesarza. To Chrystus jest ten, który jest Ostatni, Amen. Chrystus jest tym, który jest prawdziwym waszym władcą, owym Princeps, Zwierzchnikiem.” I dalej:

Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś.
Obyś był zimny albo gorący!

Obraz nawiązuje do położenia Laodycei. W Hierapolis, w odległości ok. 10 km były (i są) wody gorące. W Kolossach, które też widać z Laodycei, woda była zimna. Bo Kolosy leżą u stóp potężnej

góry, której wysokość dochodzi do 2000 m. Zatem woda w Kolossach jest zawsze zimna, i zawsze znakomita do picia. Woda gorąca służyła do kąpeli. Woda zimna służyła do picia. Wodę gorącą miało Hierapolis, zimną — Kolossy. A Laodycea? A Laodycea miała z wodą problem, do Laodycei Rzymianie wybudowali wodociąg. Trzeba było ściągać wodę z odległości ok. 10 km z kierunku Kolossów. Tam jest dzisiaj tureckie miasto Denizli. Zachowały się nawet fragmenty tego potężnego wodociągu. Na czym polegał problem? Otóż wodociąg zrobiono nad powierzchnią ziemi, bo tak było najtaniej. Ale to powodowało, że kiedy przychodziło lato i słońce operowało bardzo mocno, to woda, która płynęła przez te 10 km, kiedy przyplęwała do Laodycei, to nie była już ani zimna, ani gorąca — tylko ona była letnia. Dlatego jeżeli mieszkańcy Laodycei, ci bogaci, chcieli się wykąpać, to musieli udać się do Hierapolis. Jeżeli chcieli się napić dobrej wody, musieli udać się do Kolossów. Natomiast u siebie mieli wodę letnią.

I do tego nawiązuje św. Jan Apostoł i mówi im: „Znam twoje czyny”. A więc czyny ich są takie, jak ta woda, którą mają na co dzień: *że nie jesteś ani zimny, ani gorący*. Więc lepiej, żebyś był albo bardzo gorliwy, albo żebyś był nawet chłodny — ale tak, iżby można do ciebie trafić. A więc nie macie wody ani do kąpeli, ani do picia, i takimi samymi jesteście chrześcijanami. Ani z wami tak, ani siak. *Obyś był zimny albo gorący!*

Proszę zwrócić uwagę, że największym zatem problemem tego drugiego pokolenia chrześcijan była obojętność. A obojętność pochodziła przede wszystkim z ich bogactwa. Apostoł mówi, że znacznie lepiej, jeżeli człowiek jest gorliwy. Albo lepiej już jest, jeżeli człowiek mówi „Nie”, bo przynajmniej można go czymś zainteresować. Natomiast jeżeli jest obojętny, to jest najgorzej. W naszych czasach zjawisko obojętności nazwano mądrze *indyferentyzmem religijnym*. To znaczy jest to takie postępowanie, na które nieraz zwracaliśmy uwagę, że człowiek nie przejmując się, czy Bóg jest, czy też Boga nie ma, tylko żyje tak, jak gdyby Boga w ogóle nie było. Oczywiście do tych ludzi jest najtrudniej trafić. Zatem myślę że problem, z jakim się zmagał św. Jan w Laodycei, jest problemem niejednego chrześcijanina i niejednej wspólnoty chrześcijańskiej, również dzisiaj. Właśnie obojętność! To, że ani zimny, ani gorący nie jesteś! I czytamy dalej:

A tak, skoro jesteś letni
i ani gorący, ani zimny,
chcę cię wyrzucić z mych ust.

Otóż człowiek obojętny jest w gruncie rzeczy nieprzydatny, nie sposób do niego trafić. Bezowocne jest to, cokolwiek się z nim próbuje przedsięwziąć. A więc obojętność stanowi największe zagrożenie dla wiary. Nawet nie ateizm, tylko właśnie obojętność! Tak na to patrzy św. Jan Apostoł, a przecież podobne słowa powiedział również Jezus Chrystus. Więc na pewno jest to problem, który trzeba wziąć bardzo poważnie pod uwagę. Ale państwo zwrócą uwagę, do jakiego stopnia ten apostoł, autor listu, był wprowadzony w te realia, jak bardzo ładnie przekładał położenie tego miasta, jego usytuowanie, na problemy teologiczne i moralne, skoro w nawiązaniu do wody tłumaczy im o ich sposobie życia, i wypomina sposób życia, który jest zupełnie obojętny.

Jesteście tacy, jak wasza woda — ani się w niej wykąpać, ani ją pić. Może takie było doświadczenie przybyszów do Laodycei? Szybko przekonywali się, że za zimna, żeby się kąpać, za ciepła, żeby ją pić. I patrząc na tę wodę patrzyli na mieszkańców i stwierdzili, że i z nimi dzieje się coś podobnego. Otóż to bardzo ciekawy obraz, który daje nam również pojęcie o wrażliwości autora tego listu. I dalej:

Ty bowiem mówisz: „Jestem bogaty”, i „wzbogaciłem się”, i „niczego mi nie potrzeba”,

Są tutaj trzy kategorie ludzi. Jedni mówią: „Jestem bogaty”. A więc urodziłem się jako bogaty, urodziłem się jako zamożny, nie potrzebuję pracować, mogę wyłącznie polegać na sobie, bo przejąłem majątek. Inni mówią: „Wzbogaciłem się”. A więc sam doszedłem do tego, co mam, swoją zaradnością. Mówi się to w dzisiejszym języku mówi się *nowobogacki*. Porównując jednych i drugich stwierdzamy, że są to zupełnie odmienne mentalności. Na ogół ci bogaci od urodzenia są też dość oszczędni. Natomiast tym drugim oszczędność przychodzi dość trudno. I wreszcie jest trzecia kategoria: „niczego mi nie potrzeba”.

Otóż żeby powiedzieć „niczego mi nie potrzeba” wcale nie trzeba być bogatym, ani nie trzeba być bardzo zamożnym. Ot po prostu, gdybyśmy wyszli na ulicę, albo popatrzyli na kogoś pod jakąś tam budką, powie nam dokładnie to samo, że „ma wszystko”. To nie znaczy, że ma wszystko, co można mieć, tylko że ma wszystko, co chciałby mieć. A ponieważ jego aspiracje i ambicje są bardzo małe, to oczywiście i to, co posiada, jest kiepskie. Ale jemu to zupełnie wystarcza. Może mu wystarczyć coś bardzo przyziemnego i prostego, po prostu na dzisiaj.

W ten sposób apostoł daje nam poznać, że wśród chrześcijan w Laodycei są trzy kategorie: zamożni od urodzenia, nowobogacy, oraz tacy, którzy specjalnie o nic nie zabiegają dlatego że twierdzą, że wszystko mają. I do tych trzech kategorii apostoł zwraca się i mówi:

a nie wiesz, że to ty jesteś nieszczęsny i godzien litości,
i biedny i ślepy, i nagi.

Powiedzieć ludziom bogatym, że są nieszczęśliwi, godni litości, nadzy, biedni i ślepi — to nie jest popularne. Otóż też problem polega na tym, że bardzo rzadko traktujemy ludzi bogatych w kategoriach nieszczęśliwych. A jednak coś z tego jest. *Nie wystarczy mieć* — jak mówi Jan Paweł II — *trzeba jeszcze być*. Nie wszystkim bogactwo jednakowo dobrze służy. To wcale nie znaczy, że ideałem chrześcijaństwa jest być biednym. Ideałem chrześcijaństwa jest mieć, ale również będąc człowiekiem, czyli także umieć się dzielić.

Dowiadujemy się, że drugi problem, jaki stanął przed tą wspólnotą w Laodycei, to było to, że ich obojętność brała się, w gruncie rzeczy, z dobrobytu. Albo posiadali wszystko, co im było potrzebne, albo do tego doszli, albo nie mieli wielkich aspiracji. Prawdopodobnie tych ostatnich było najwięcej. Ale ten dobrobyt powodował, że stawali się obojętni. Właściwie to jest taki paradygmat, wzór, który sprawdza się w każdym pokoleniu. Że swoisty paradoks polega na tym, że pobożność jest większa tam, gdzie są przeciwności, gdzie jest ucisk, również gdzie jest bieda. Co nie znaczy, że pobożność jest towarzyszką biedy — broń Boże!

Ale z drugiej strony widać pewien objaw, że społeczeństwa bogate bardzo często polegają wyłącznie na sobie. Zamykają się na sobie, i w sobie, i zamykają się również na Pana Boga i na te wartości, które od Niego mogą pochodzić. I myślę, że kiedy obserwujemy zmiany, także po tym wszystkim, co wydarzyło się po roku 1989 w naszej Ojczyźnie, zobaczymy, że u nas też się to potwierdza. Apostoł Jan doskonale to widzi. Widzi tych bogatych i nowobogackich, oraz tych, którzy nic więcej specjalnie nie chcą. I próbuje im uświadomić ich rzeczywiste położenie — nie położenie materialne, lecz położenie duchowe. Myślę, że każdy z państwa rozumie, że pomyślność materialna nie zawsze idzie w parze z samopoczuciem duchowym. Zdarza się tak, i to niestety bardzo często, że ci, których pomyślność materialna, których dostatek jest bardzo duży, często wewnątrz są tymi ludźmi, o których Jan mówi, że *to ty jesteś nieszczęsny i godzien litości, i biedny i ślepy, i nagi*. I dalej:

Radzę ci kupić u mnie
złota w ogniu oczyszczonego,
abyś się wzbogacił,

Do posiadaczy kantorów, banków, których tam było takie mnóstwo, setki albo i tysiące, apostoł zwraca się z zachętą „Kupcie u mnie złota w ogniu oczyszczonego”. Zatem to złoto, które pochodzi od Chrystusa, jego nauka, jego przykazania, jego sposób życia — ono dopiero stanowi o prawdziwym bogactwie człowieka. Proszę zwrócić uwagę, że nauka jest trudna. Apostoł wcale nie zachęca tych bogatych, żeby zbiednieli, albo rozdali to, co mają. Apostoł ich zachęca, żeby będąc bogatymi stali się innymi ludźmi. Żeby opierali swoje życie na fundamencie Jezusa Chrystusa, bo przecież o to chodzi w tym wyrażeniu o złocie w ogniu wypróbowanym.

i białe szaty,
abyś się obłócił,

Komentatorzy tego fragmentu zamykają oczy, ci, którzy nie byli w Laodycei, i widzą dookoła miasta pasące się owce. Ale tamtejsze owce są czarne — i to są tak czarne, jak najciemniejsza

noc, ta wełna ich aż się błyszczy. Powiedziałem na początku: na skutek dobrej wody, która płynie tam w rzece, i urodzajnych pól, owce są rzeczywiście pierwszej klasy. I patrząc na te owce apostoł powiada, że „białe szaty, abyś się oblókł”. Nie możecie polegać tylko na tym, co tutaj macie — białych szat tam praktycznie nie produkowano. Białe szaty, wyprodukowane z lnu, sprowadzano z innych części Azji Mniejszej. Zatem w taki symboliczny sposób Apostoł daje poznać, że nie możecie polegać tylko na tym, kim sami jesteście, i na tym, co sami możecie zdobyć. Tylko musicie się otworzyć na innych, którzy też są w stanie was ubogacić. Pamiętajmy cały czas, że to jest kontekst prześladowań, on nie może mówić prosto. On mówi takim językiem, że oni go doskonale rozumieli — a my musimy to rozumienie dzisiaj, prawie po 2000 lat, odtwarzać.

abyś się oblókł,
a nie ujawniła się haniebna twa nagość,

Wiele razy podkreślałem, że dla człowieka starożytności — ale nie tylko starożytności, dla człowieka Bliskiego Wschodu po dzień dzisiejszy — nagość jest objawem upodlenia, upokorzenia. Tam, w tamtym rejonie świata po dzień dzisiejszy nie ma czegoś takiego, jak obnażanie się, pokazywanie, i publiczne rozbieranie. Jeżeli ktoś z państwa pojedzie do Turcji na wakacje, to są zupełnie osobne plaże dla turystów zagranicznych, dla przybywających z Europy, i tylko Europejczycy tam są, i ewentualnie lokalna obsługa. Natomiast zupełnie odmienne plaże dla Turków, jeżeli oni przychodzą się kąpać. I jeżeli się pójdzie dalej od tej plaży międzynarodowej, można bardzo łatwo zobaczyć widok, który dla nas jest dziwny. Mianowicie chłopcy rozbierają się do kąpieli, ale nie tak jak nasi, tylko dużo skromniej, natomiast dziewczęta i kobiety kąpią się w sukienkach. Czyli tak, jak przychodzą nad morze, tak się kąpią. Dla nich publiczne rozebranie się to byłby wyraz upokorzenia.

Zatem zupełnie inne pojęcie nagości niż to, które u nas mamy. Jeżeli chodzi o mężczyzn, to jest też ciekawa sprawa. Miałem do czynienia z wieloma Arabami, wieloma Turkami. Okazuje się że tak, jak dla Europejczyka mamy zakodowane, że rozmaite elementy kobiecego ciała są powabne, o tyle oni kobietę, która się odsłoni za bardzo, traktują w sposób, który już żadnego szacunku nie wywołuje. Tak na nią patrzą, po prostu mają to od dziecka. To jest przedziwna sprawa, ale zupełnie inna mentalność, niż ta mentalność nasza. Więc ich nagość nie pociąga, wręcz przeciwnie. Do tego mamy nawiązanie także w tym liście, kiedy czytamy: kiedy się nie ubierzesz, odsłoni się haniebna twoja nagość. I wreszcie trzeci element: radzę ci kupić

balsamu do namaszczenia twych oczu,
abyś widział.

Wspomnieliśmy o tym balsamie, wyrabianym w Laodycei. Ale Jan powiada: „Jeżeli chcecie naprawdę przejrzeć, to nie możecie polegać wyłącznie na tym balsamie, tylko musicie zaopatrzyć się w balsam, który pochodzi od Chrystusa. Ten balsam otworzy wam oczy”. To dzięki tej nauce Chrystusa, i dzięki zaufaniu Chrystusowi staniacie się nowymi ludźmi. Zwróć państwo uwagę: „Radzę ci kupić u mnie złota, białe szaty i balsam”. Złota mieli dużo, białych szat nie mieli, bo mieli na ogół czarne szaty albo ciemne szaty, i balsamu mieli sporo. Ale Jan powiada: nie o takie złoto, nie o takie szaty, i nie o taki balsam chodzi. Musicie sięgnąć głębiej. Czyli myśl jest znów bardzo głęboka. Nie poprzestawaj na tym, co tylko przyziemne, i co ziemskie, ale próbuj dociekać, doszukiwać się tego i pozyskiwać to, co wartościowe. Tym ludziom, którzy są obojętni, stawia się jeszcze większe zadanie.

Niech państwo sobie przypomną list Jana Pawła II wydany na początku tego roku, podpisany publicznie przez Ojca Świętego 6 stycznia 2001 roku na Placu Świętego Piotra, którego podstawowe hasło brzmi: „Wypłyn na głębiej!”, po łacinie: Duc in altum. Czyli tym ludziom, naszemu pokoleniu, nam wszystkim, którzy możemy być obojętni, znużeni, i zmęczeni, papież powiada: „Głębiej!” I Jan też powiada: „Głębiej! Nie to złoto, nie te szaty, nie ten balsam! Jest jeszcze inne złoto, inne szaty, inny balsam!” I dalej:

Ja wszystkich, których kocham, karcę i ćwiczę.

Otóż nie jest łatwo upominać. Nie znosimy upomnień, nie chcemy ich. Ale jeżeli do mieszkańców Laodycei apostoł zwraca się ze słowami upomnienia, to czyni to dlatego, że ich kocha.

„Ja wszystkich, których kocham, karzę i ćwiczę.” Zatem mamy tutaj prawzór dobrze pojętego duszpasterstwa. Nie polega ono na tym, żeby odwzorowywać ludzkie opinie, żeby odwzorowywać wyniki ankiet socjologicznych. Nie polega ono na tym, żeby, powiedzmy, kardynał Glemp był równie popularny jak Violetta Villas. Otóż polega to na tym, że jeżeli chce spełnić swoją misję, musi mówić prawdy niepopularne. I mówienie tych trudnych prawd jest obowiązkiem wypływającym z miłości. „Ja wszystkich, których kocham, karzę i ćwiczę.” Nie zawsze to rozumiemy. I dlatego kiedy widzimy rozmaite ankiety socjologiczne, w których zestawiana jest popularność rozmaitych postaci, nie przejmujemy się, że ktoś z Kościoła ma tak bardzo niską niską popularność. Raczej należałoby się przejmować wtedy, kiedy ma popularność wysoką — to jest bowiem problem. Chodzi bowiem o to, żeby nie odwzorowywać ludzkich opinii, ale żeby je kształtować. Jeżeli tak, to na tym właśnie polega profetyczna funkcja w Kościele, której w żaden sposób zaprzepaścić nie można.

Bądź więc gorliwy i nawróć się!

Zatem całe te słowa, skierowane do mieszkańców Laodycei, służą nie temu, żeby ich potępiać, nie temu, żeby ich wyłącznie karcić, tylko po to, żeby ich zachęcić do gorliwości i do nawrócenia. I cała nasza pedagogia w postępowaniu z drugim człowiekiem, poczynając od rodziny i najbliższych, polega nie na tym, żeby upominać dla upominania, ale na tym, żeby zachęcać do lepszego sposobu życia. To jest cel każdej takiej pedagogii. I dalej:

Oto stoję u drzwi i kołaczę:

Przypominają sobie państwo popularne dawniej, ale i dzisiaj spotykane, obrazy Chrystusa, który stoi u drzwi i puka. Kiedyś te obrazki były częściej widoczne. Dzisiaj ta sztuka nowoczesna ma swoje własne kanony, i bardzo często trudno dopatrzeć się tam nawet postaci, a co dopiero tak wyraźnego nawiązywania do obrazów biblijnych, i do motywów biblijnych. Ale ten obraz jest wyjątkowo poruszający. Myślę, że od czasu do czasu można go spotkać.

Oto stoję u drzwi i kołaczę. Na drzwiach starożytnych była kołatka. Jak się podchodziło pod drzwi, to oczywiście nikt nie pukał palcami, bo nikt by tego nie usłyszał. Tylko metalową kołatką walono w drzwi. I tamci w środku wiedzieli, że ktoś kołaczę.

jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy,
wejdę do niego i będę z nim wieszerał,
a on ze Mną.

Chrystus mówi: „To, czy staniecie się gorliwi, czy się nawrócicie — to nie zależy od was wszystkich, zależy od każdego z osobna. Ja chodzę od drzwi do drzwi i kołaczę. Kto posłyszysz mój głos i mi otworzy, Ja wejdę i będę z nim wieszerał, a on ze Mną.” A więc jest to nawiązanie w oczywisty sposób do Eucharystii. Ale jednocześnie Jan daje mocno poznać, że Chrystus będzie także kołatał do drzwi, gdzie Mu nie otworzą, gdzie będzie musiał pójść dalej. Zatem wiara prawdziwa, i pobożność prawdziwa to jest rezultat indywidualnej odpowiedzi każdego z nas, indywidualnej odpowiedzi dawanej Chrystusowi. Odpowiedź w grupie może mieć jakąś wartość jako świadectwo, ale wymaga indywidualnego, osobistego zaangażowania. Człowiek, który słyszy głos Chrystusa, nie może się zniechęcać tym, że inni go nie słyszą. Nie można się zniechęcać tym, że inni nie otworzą. Liczy się postawa każdego z nas. „Oto stoję u drzwi i kołaczę”. I dalej:

Zwycięzcy dam zasiąść ze Mną na moim tronie,
jak i Ja zwyciężyłem i zasiadłem z mym Ojcem na Jego tronie.
Kto ma uszy, niechaj posłyszysz, co mówi Duch do Kościołów.

Zatem to ostateczne wywyższenie Chrystusa, z Ojcem, staje się symbolem, znakiem i zapowiedzią wywyższenia chrześcijan. Jezus raz jeszcze daje poznać, że życie ziemskie nie wyczerpuje wszystkich możliwości. Że śmierć nie jest końcem, jest bramą. Że poza bramą śmierci rozpoczyna się rzeczywistość nowa. Zmartwychwstały Chrystus już jej doświadczył. I powiada: „Losem chrześcijan jest to samo, co Ja przeżywam. Wywyższenie u Ojca.” W ten sposób cała ta wiara, którą

buduje św. Jan Apostoł, osiąga swój szczyt. Kierując ten list do mieszkańców Laodycei podnosi jednocześnie ich wzrok poza bramę śmierci, i ukazuje im perspektywę życia wiecznego z Chrystusem. Zatem ostateczną normą, ostateczną przyczyną, ostateczną racją, która usprawiedliwia i wymaga dobrego sposobu życia, jest wzgląd na Boga i na życie z Nim. Chcemy być dobrzy, chcemy żyć po Bożemu, ponieważ Bóg na nas czeka. Zatem nasza moralność ma charakter *teologalny*, czyli chcemy naśladować Pana Boga w jego miłości wobec każdego człowieka, i chcemy w tej miłości współuczestniczyć.

Na koniec posłuchajmy tego listu w całości. Myślę, że po krótkim objaśnieniu o mieszkańcach Laodycei, i po krótkim objaśnieniu treści tego listu, zabrzmiał on teraz trochę inaczej, niż na początku.

Aniołowi Kościoła w Laodycei napisz:

To mówi Amen,

Świadek wierny i prawdomówny,

Początek stworzenia Bożego:

Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś.

Obyś był zimny albo gorący!

A tak, skoro jesteś letni

i ani gorący, ani zimny,

chcę cię wyrzucić z moich ust.

Ty bowiem mówisz: "Jestem bogaty", i "wzbogaciłem się", i "niczego mi nie trzeba",

a nie wiesz, że to ty jesteś nieszczęsny i godzien litości,

i biedny i ślepy, i nagi.

Radzę ci kupić u mnie

złota w ogniu oczyszczonego,

abyś się wzbogacił,

i białe szaty,

abyś się obłócił,

a nie ujawniła się haniebna twa nagość,

i balsamu do namaszczenia twych oczu,

abyś widział.

Ja wszystkich, których kocham, karzę i ćwiczę.

Bądź więc gorliwy i nawróć się!

Oto stoję u drzwi i kołaczę:

jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy,

wejdę do niego i będę z nim wieszczę,

a on ze Mną.

Zwycięzcy dam zasiąść ze Mną na moim tronie,

jak i Ja zwyciężyłem i zasiadłem z moim Ojcem na Jego tronie.

Kto ma uszy, niechaj posłyszysz, co mówi Duch do Kościołów.

W ten sposób przeczytaliśmy wszystkie siedem listów z Apokalipsy św. Jana. Gdyby zebrać wszystkie te myśli, z całą pewnością będzie to podręcznik gorliwego życia chrześcijańskiego nie tylko dla tamtego pokolenia, ale również i na nasze czasy. Mam nadzieję, że te myśli będą wydawały swoje plony, i że państwo od czasu do czasu sięgną w Nowym Testamencie do Apokalipsy, rozdziałów 2 i 3, i od czasu do czasu sobie te listy przeczytają. Zwłaszcza wtedy, gdy sytuacja duchowa spowoduje, że taka lektura może być szczególnie owocna.

Na następne, ostatnie spotkanie w tym roku akademickim chciałbym zaprosić państwa dopiero w poniedziałek 18 VI. Zobaczymy, o czym sobie powiemy. Może w nawiązaniu do Apokalipsy, może poza to wyjdziemy. Może ten czas, który teraz będziemy przeżywać, przyniesie jakieś nowe rzeczy, do których trzeba będzie się odnieść. Ale do końca maja będzie gotowy ów album o Azji Mniejszej. Wszystko się strasznie przedłużyło. Uroczysta promocja została zapowiedziana na 1 czerwca w Krakowie, nawet z udziałem kardynała Macharskiego, który napisał przedmowę.

Dzisiaj dziękuję pięknie i za uwagę, i za udział.

Chwała Ojcu . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

9 Ks. kardynał Stefan Wyszyński — garść refleksji (dn. 18 czerwca 2001)

Ja jestem prawdziwie szczęśliwy, że na sam koniec tegorocznych spotkań możemy sobie powspominać, powiedzieć i pomyśleć o kardynale Stefanie Wyszyńskim. Cały czas te konferencje miały charakter biblijny, staraliśmy się zgłębiać księgę Apokalipsy — listy do siedmiu Kościołów Azji Mniejszej. I należało się tylko cieszyć z tego, że tak liczna obecność dowodziła, że jest to problematyka, która państwa interesuje. Ale dzisiaj, na sam koniec tych konferencji dobrze się składa, że chcemy dotknąć fragmentu naszych ojczystych dziejów i chcemy zastanowić się nad postacią, która na te dzieje miała niezwykle trwałe i niezwykle aktualny wpływ.

Otóż chciałbym dzisiaj przedstawić państwu tę postać od strony, na tyle na ile to mi się uda, najbardziej ludzkiej, jak to tylko możliwe. Jestem przekonany, że dowiedzą się państwo faktów, o których z pewnością nie wiecie. Jestem przekonany, że dowiedzą się państwo o takich rysach jego osobowości, i takich wydarzeniach z życia kardynała Stefana Wyszyńskiego, które są wspomniane bardzo rzadko i w trudno dostępnej literaturze. Nie chciałbym mówić o rozmaitych uwikłaniach społecznych i politycznych, bo na te tematy powiedziano bardzo wiele. Natomiast *chciałbym ukazać państwu kardynała Wyszyńskiego jako człowieka, jako jednego spośród nas, i pokazać, jak od samego początku, od jego dzieciństwa, kształtowała się jego droga życiowa*. I z całą pewnością niejedna czy niejeden z nas będzie mógł porównać tamtą drogę życiową z własnym życiem. A ponieważ życie kardynała Wyszyńskiego pokrywało się, w dużej mierze czasami, z życiem wielu spośród nas, to zapewne będziemy mieli jakiś punkt odniesienia do tego, żeby zastanowić się nad sobą.

Jest wśród nas i pokolenie młode, dziewczęta i chłopcy, którzy mają lat kilkanaście albo dwadzieścia kilka — dla nich to już jest absolutnie historia. Chcielibyśmy zatem w ten sposób złożyć hołd Słudze Bożemu i przypomnieć, że w tym roku przypada 20 rocznica jego śmierci, która miała miejsce 28 V 1981 r., w święto Wniebowstąpienia Pańskiego. Natomiast za kilka tygodni przypada 100 rocznica jego urodzin. Urodził się bowiem 3 VIII 1901 r. I ten bieżący rok został przez sejm Rzeczypospolitej ogłoszony *Rokiem kardynała Stefana Wyszyńskiego*. I jak państwo dobrze wiedzą, prawie dwa lata temu najpierw ustawą sejmową podpisaną przez Prezydenta RP, został również utworzony Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Zacznijmy od samego początku. Myślę, że żeby zrozumieć tę osobę, tę postać niezwykłą, trzeba się cofnąć rzeczywiście do samych początków. Stefan przyszedł na świat 3 VIII 1901 r. Urodził się w Zuzeli, ok. 70 - 80 km na północny wschód od Warszawy, w miejscowości, którą być może część z państwa zna. Ja bym bardzo serdecznie zachęcał do tego, aby w tym roku odwiedzić tę Zuzelę, żeby zobaczyć tę ziemię rodzinną młodego Stefana Wyszyńskiego. Jedzie się w kierunku na Ostrów Mazowiecką i skręca się w prawo, albo jedzie się w kierunku na Małkinię, i tam się odpowiednio skręca. Wystarczy pierwsza lepsza mapa samochodowa, żeby zobaczyć tę ziemię rodzinną młodego Stefana Wyszyńskiego. Myślę też, że na 3 sierpnia my tutaj w naszej parafii urządzimy wspólną pielgrzymkę do Zuzeli po to, żeby oddać mu hołd.

Ojciec był organistą w Zuzeli i mieszkał dosłownie po drugiej stronie drogi — kościół jest po prawej stronie drogi, natomiast organistówka po lewej. Można zatem powiedzieć, że mały Stefan wychował się bezpośrednio w sąsiedztwie kościoła. Pod tym względem jest przedziwna analogia do okoliczności narodzin i życia Karola Wojtyły. Również Karol Wojtyła urodził się w domu, który przylegał bezpośrednio do kościoła Narodzenia NPM w Wadowicach, zatem w bardzo bliskim sąsiedztwie kościoła. Rozmaicie tego rodzaju bliskość młodym ludziom służy. Nie zawsze jest tak, że ci, którzy rodzą się i mieszkają w bliskości kościoła, są gorliwi — bywa odwrotnie. Tutaj jednak mamy do czynienia z takim zbiegiem okoliczności, który na pewno przesądził o charakterze jednego i drugiego.

Miał trzy siostry urodzone z tej samej matki, i rzecz jasna z tego samego ojca. Matka jego zmarła, kiedy miał 9 lat. Wkrótce ojciec powtórnie ożenił się i urodziła się jeszcze jedna siostra przyrodnia. Ponieważ miał cztery siostry często później wspominał, że bywał rozpieszczany. Z drugiej strony często wymagano od niego więcej, niż od dziewczynek. Wspominał takie to wydarzenie z bardzo dziecinnych lat, w którym musiał przyznać się do tego, że jak mówił „był psotny”. Pewnego dnia pozbierał wszystkie lalki swoich sióstr, rozpruł je i wyrzucił. To wywołało oburzenie wszystkich sióstr. Natomiast kiedy ojciec z pasem zbliżał się, żeby go ukarać, wtedy wszystkie

dziewczynki osłoniły go własnymi sukienkami, spódnicami, nie pozwalając go bić. Od tamtej pory nabrał wielkiego szacunku dla swoich siostr, nigdy więcej nie psuł im lalek, i powiedział, że „zrozumiał przedziwną naturę kobiety, która jest gotowa dostąpić jakiejś krzywdy, a mimo to jej miłość jest silniejsza niż to poczucie krzywdy”. To wspominał kardynał Wyszyński później przez całe życie, zatem musiało to być dla niego wydarzenie bardzo ważne.

Urodził się w rodzinie, gdzie ojciec ciężył ku Jasnej Górze, odbywał pielgrzymki na Jasną Górę. Natomiast w kościele parafialnym w Zuzeli był obraz najświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym jego ojciec często się modlił. Natomiast jego matka pielgrzymowała do Ostrej Bramy w Wilnie. W związku z tym rodzina była jak gdyby podzielona. Sam wspominał później, że urodził się w rodzinie mickiewiczowskiej wręcz z Inwokacji do „Pana Tadeusza” o Pannie Świętej co w Ostrej świeci Bramie i Jasnej broni Góry. Urodzony, i to też jest przedziwna zbieżność, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Wilnem a Częstochową. Do Częstochowy z Zuzeli jest mniej więcej 300 km, a do Wilna ok. 350 km. Ponieważ rzecz jasna urodził się w okresie zaborów, więc granice były zupełnie inne, niż są teraz, podobnie w okresie międzywojennym. Dlatego Ostra Brama była mu bliska, i bliska mu była również Jasna Góra. Mówił, że jego pobożność rozwijała się pomiędzy tymi dwoma ośrodkami.

Tam, na wsi w Zuzeli, rósł jako dziecko, jako chłopiec. Wspominał, że bardzo lubił atmosferę wsi, że bardzo lubił zielen, przyrodę, czuł tę przyrodę. Przez całe życie mógł naśladować śpiew ptaków, który ciągle jeszcze pamiętał. I że w różnych miejscach później brakowało mu choćby rechotania żab. W 1910 r., kiedy mały Stefan miał 9 lat, zmarła mu matka. Było to dla niego przeogromne przeżycie. Opowiadał później, raz i drugi, że matka zwracała wielką uwagę na córki, na dziewczynki. Wskutek tego on czuł się jakby troszeczkę na boku, ponieważ zostawiała jego wychowanie bardziej ojcu. Ale to nie chodziło o to, że wychowywał go ojciec, tylko chodziło o to, że matka jakby wstydziła się nadmiaru czułości wobec chłopca. W związku z tym on jako mały chłopiec bardzo lubił siedzieć na kolanach matki. A zdarzało się, że ta największa bliskość była wtedy — i to wspominał — kiedy nabił sobie guza. Wtedy matka brała go na kolana i przykładła mu do czoła nóż, taki zimny nóż, który miał tego guza na czole ściągać. I kardynał wspominał, że zawsze myśl o matce kojarzyła mu się z tym zimnym nożem przyłożonym do czoła, który łagodził ból. I mówił, nie bez takiego smutku i nostalgii, że potem wiele razy miał taką myśl, żeby jeszcze raz tak się fortunnie przewrócić, żeby znów znaleźć się na kolanach matki.

Stracił matkę mając 9 lat. Było to dla niego ogromne przeżycie, wywołało bunt dziecka, które poczuło się mocno osierocone. Wkrótce ojciec ożenił się z bliską przyjaciółką matki, która bardzo starannie i z całym sercem zajęła się wychowaniem tych czworga dzieci. I urodziła jeszcze jedną córkę. Wspominał tę drugą matkę zawsze z ogromnym szacunkiem i z ogromnym oddaniem. Znał zatem i życie w rodzinie, i sieroctwo, i przyrodną siostrę, i matkę przybraną — przeszedł przez wszystko to, przez co nie wszystkie dzieci przechodzą. To spowodowało, że zapewne był nieco wcześniej dojrzały, niż wiele innych dzieci w jego wieku.

Wspominał, że kiedy był dzieckiem ojciec brał go wieczorami i nocami na przejażdżki. Początkowo sensu tych przejażdżek nie rozumiał. Pamiętajmy, że to są pierwsze lata XX wieku. Zuzela znajdowała się pod zaborem rosyjskim, Kościół był bardzo dotkliwie prześladowany. Księża musieli mieć zgodę żandarma rosyjskiego, żeby podróżować z jednej do drugiej parafii. Żeby mogli np. pojechać na spowiedź do sąsiedniej parafii, żandarm musiał się zgodzić. Żeby ksiądz mógł pojechać z jakąś posługą poza teren swojej parafii, musiał mieć zgodę. Księgi metrykalne były prowadzone w języku rosyjskim. Ponieważ jego ojciec był organistą, i ojciec pisał księgi metrykalne, wobec tego mały Stefan zetknął się bardzo wcześnie z językiem rosyjskim. Ale jednocześnie bardzo wcześnie powstawał w nim bunt, że to nie jest w ojczystym języku. Wspominał, że ojciec zabierał go wieczorami i jeździli po parafii, a nawet poza teren parafii, i stawiali przydrożne krzyże. Działo się to w bardzo ścisłej konspiracji. Dopuszczane do tego były tylko 2 - 3 osoby, zaufani mężczyźni, i nieraz byli dopuszczania mali chłopcy, którzy w ten sposób uczyli się patriotyzmu. Podróżowali razem, i tam, gdzie były rozstaje dróg, gdzie jakiś krzyż był podniszczony. Był taki zwyczaj, że wszystkie drogi wyjazdowe z każdej wsi miały krzyż po każdej stronie. Do tego krzyża odprowadzano zmarłych na przykład, dopiero potem prowadzono do kościoła parafialnego. Tak zresztą jest na wsi polskiej po dzień dzisiejszy. Stawiano te krzyże w lasach, na drzewach umieszczano krzyżyki, tam gdzie ktoś zmarł, gdzie ktoś miał wypadek. I on bardzo wcześnie, jako dzieciak, uczył się takiej

postawy głęboko patriotycznej.

Na tym tle możemy zrozumieć epizod, który przesądził o jego życiu. Mianowicie kiedy miał prawie 11 lat zbuntował się przeciwko swojemu nauczycielowi. W tym czasie ojciec przeniósł się już do niedalekiego Andrzejewa, i tam też był organistą. Była to nowa szkoła dla małego Stefana, matka zmarła — i on był taki zbuntowany. Był tam wyjątkowo gorliwy nauczyciel, który kazał im się uczyć po rosyjsku rozmaitych wierszy. Pewnego dnia przyszła pora na Stefana Wyszyńskiego, nauczyciel kazał mu recytować wiersz po rosyjsku. Stefan odmówił. Wówczas nauczyciel kazał mu wyciągnąć łapę i linijką wlał mu kilka czy kilkanaście razy. Stefan wyszedł z tej szkoły i powiedział, że do niej więcej nie wróci. Ojciec miał wielki problem, bo syn zaparł się i powiedział, że do tej szkoły więcej nie pójdzie. Miało to ten szczęśliwy skutek, że ojciec miał w Warszawie przyszywaną ciotkę i ten 11-letni chłopiec został skierowany do Warszawy. I znalazł się w Warszawie, gdzie uczył się w Gimnazjum Górskiego. Bawił się wtedy w okolicach Ogrodu Saskiego. Tu miało miejsce wydarzenie, które później wspominał w niezwykłych okolicznościach. Otóż kiedy miał 12 - 13 lat, w Ogrodzie Saskim była usypana przyzma piachu, coś w rodzaju kopca. W sąsiedztwie był garnizon rosyjski. I na ten kopiec przychodziły również dzieci rosyjskie, chłopcy rosyjscy. Polscy chłopcy spotykali się pod tym kopcem i z chłopcami rosyjskimi regularnie stacjali bitwy. Bardzo często, wyznawał Stefan Wyszyński, wracał do swej ciotki nieźle posiniaczony i obdarty. A pewnego dnia, wspominał też, że kiedy zdobyli ten kopiec to zerwał z siebie białą koszulę, miał również na sobie czerwony krawat — to nie były czasy PRL-u, więc się czerwień nie kojarzyła — zatknął koszulę na kij, dodał czerwony krawat i w ten sposób dał poznać, że Polacy zdobyli ten kopiec.

Dlaczego to jest takie ważne? Kiedy w czerwcu 1979 roku przyjechał do Polski Ojciec Święty Jan Paweł II, i kiedy odprawił mszę świętą na Placu Zwycięstwa, wtedy ksiądz Bronisław Piasecki, wówczas kapelan księdza kardynała Wyszyńskiego, obecnie proboszcz parafii Najświętszego Zbawiciela, przekazał następujące wspomnienie. Msza święta pontyfikalna się skończyła, Ojciec Święty wrócił do siebie i przebierał się, a kardynał Wyszyński kierował się w stronę Miodowej. I kardynał Wyszyński zwrócił się do księdza prałata Piaseckiego; „O czym teraz myślisz?” Prałat Piasecki, jak sam wyznaje, szukał jakiejś religijnej, teologicznej, pobożnej odpowiedzi. I coś tam bąknął, o czym on myśli. A kardynał Wyszyński mówi: „Wiesz co? A ja to myślę teraz o tym, jak jako chłopaki żeśmy zdobyli tutaj ten szaniec na Rosjanach i jak wywiesiłem tutaj tę biało-czerwoną flagę z mojej koszuli. A dzisiaj Pan Bóg jeszcze raz wywiesił tutaj biało-czerwoną flagę.”

Proszę zwrócić uwagę, jak głęboko musiało to zapaść w jego pamięć, skoro na Placu Zwycięstwa w 1979 roku, a więc on sam miał 78 lat, połączył tamto wydarzenie z dzieciństwem z wielkim wydarzeniem, które miało miejsce wraz z przybyciem Ojca Świętego Jana Pawła II. Zwróćmy uwagę na to niezwykle niepodległościowe, patriotyczne nastawienie. Cały czas miał niechęć do języka rosyjskiego, bo kojarzył mu się z zaborami. Ale nie oznaczało to wcale niechęci do Rosjan, nie miał żadnych urazów do ludzi innej kultury czy rasy. Jednak było w nim to, że urodził się i wychował właśnie w czasach zaborów.

W latach 1912 – 1914 był gimnazjalistą w Gimnazjum Górskiego w Warszawie. Kiedy wybuchła I wojna światowa, opuścił Warszawę i ojciec zabrał go do Łomży. Tam przebywał przez trzy lata. Tam też poczuł, co to znaczy patriotyzm. Wspominał m.in. zakaz mówienia polskich wierszy publicznie. Wspomina, że był taki okres, w którym za mówienie o Polsce policja karała młodych ludzi karą chłosty pejciami — od 10 do 25 razów. I on zarobił kiedyś 15. Stwierdził, że to było jego pierwsze świadome cierpienie, które odbył za Polskę.

Zwróćmy uwagę, że ten życiorys jest bardzo charakterystyczny. To nie jest jakieś spokojne dziecko, wiecznie przy zakrystii, przy księżach. Tego w nim nie było. Była pobożność, ale jednocześnie głęboki patriotyzm, i niezwykle żywy człowiek. Kiedy miał 16 lat wyznał ojcu, że chciałby pójść do seminarium duchownego. Ojciec mu nie tyle odradzał, co zapytał czy wie, co to znaczy. Ojciec przecież całe życie pracował z księżmi, wobec tego znał realia pracy kapłańskiej i kapłańskiego stanu, i dobrze wiedział, że nie jest to ani łatwe, ani tak proste, jak wyobraża to sobie 16-letni chłopak. Oczywiście młody Stefan nie bardzo wiedział, co to znaczy, stwierdził jednak, że jest zdecydowany. Ojciec przeciw tej decyzji specjalnie nie oponował, nie przeciwstawiał się. Zatem tuż pod koniec I wojny światowej wstąpił do seminarium duchownego. Ta nauka, ten pobyt w seminarium trwał do 1924 r. Ciekawe jest, jak wspomina swoją podróż do Płocka. Najpierw furmanką do Małkini, później pociągami do Warszawy, a później statkiem do Płocka — tak się wtedy podróżowało. Tak

mu ta podróż utkwiała, że zawsze wydawało mu się, że Płock to jest strasznie daleko, bo podróżował i furmanką, i pociągiem, i statkiem — aż wreszcie do tego Płocka dotarł. W Płocku był w tzw. niższym seminarium, które wtedy istniały, potem przeniósł się do Włocławka, gdzie było wyższe seminarium.

Tutaj zaczyna się swoisty, jeżeli tak można powiedzieć, dramat tego młodego człowieka. Kiedy zbliżały się święcenia kapłańskie miał 23 lata i trzeba było starać się o zgodę biskupa na otrzymanie tych święceń. Prawo kościelne przewiduje bowiem, że święcenia kapłańskie może przyjąć mężczyzna 24-letni. Natomiast dla młodszego potrzebna jest zgoda biskupa, coś takiego, jak do małżeństwa. Z tą zgodą biskupa zaczęły być problemy dlatego, że zapadł na zdrowiu. Otóż zachorował na gruźlicę. I w związku z tym kiedy jego koledzy zbliżali się do święceń kapłańskich, jemu święceń kapłańskich odmówiono. I nie miał święceń kapłańskich razem ze swoimi kolegami.

Przeżył to niesłychanie mocno dlatego, że bardzo chciał być księdzem, i bardzo się do tych święceń przygotowywał. Było to jednocześnie głębokie przeżycie dla jego ojca i dla jego rodziny. Bo rozumieją państwo, przychodzi termin święceń, prawie wszystko gotowe, inni święcenia otrzymują, natomiast on nie. Otrzymał święcenia 3 sierpnia 1924 roku, otrzymał je sam jeden w kaplicy seminaryjnej, skromnie. Dlatego nie miał tak doraźnie kolegów z kursu, kolegów z roku, bo ci już byli księżmi, już nawet zostali skierowani na parafie. Natomiast on czekał jako diakon, wreszcie doczekał się i na początku sierpnia z rąk biskupa Owczarka te święcenia kapłańskie otrzymał. Miał mieć mszę świętą prymicyjną, ale właściwie w jego bezpośrednim otoczeniu była tylko jedna z jego rodzonych siostr. I z tą siostrą udał się na Jasną Górę, gdzie dwa dni później odprawił mszę świętą prymicyjną.

Ta msza święta prymicyjna na Jasnej Górze przesądziła o jego późniejszych związkach z Jasną Górą. Nigdy wcześniej pobożność jasnogórska jakoś nie była mu szczególnie bliska. Aczkolwiek ojciec pielgrzymował na Jasną Górę, to jednak on wcześniej w sobie tej pobożności nie miał. Dopiero msza święta sprawowana samotnie na Jasnej Górze jakby ukazała mu rąbek tej tajemnicy, która z czasem stała się jego losem. Wspominał, że kiedy sprawował mszę świętą, to modlił się do Pana Boga, żeby chociaż rok pozwolił być mu księdzem. Natomiast zakrystianin, patrząc na niego — gruźlica, był bardzo chudy, i niezbyt szlachetnego wyglądu — powiedział: „Proszę księdza, po co się ksiądz do tego pcha? Po to tylko, żeby tę jedną mszę odprawić i umrzeć?” I kardynał powtarzał też te słowa zakrystianina, który tak wyprawił go w dorosłe życie. Najwidoczniej nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia, skoro dane mu było żyć dużo dłużej.

Przez sierpień i wrzesień biskup nie bardzo wiedział, co z nim zrobić, bo był wątłego zdrowia. I właściwie tak podróżował pomiędzy Włocławkiem, a ojcem, i rozmaitymi przypadkowymi plebaniami. W październiku 1924 r. dostał papiery na wikariusza w katedrze włocławskiej. W ten sposób otrzymał pierwszy przydział pracy. Był to okres bardzo trudny. Wcześniej I wojna światowa, następnie najazd bolszewików w 1920 roku. Nie dotarli oni w tamte rejony, ale byli bardzo blisko. To spowodowało wielką traumę. Natomiast lata 20-te to był wielki wpływ prądów komunistycznych, zwłaszcza od strony Białegostoku, Grodna, tam dalej Moskwa itd. Komuniści mieli w głowie ideę fix, że połączą się z tymi na zachodzie, w Niemczech, „i związek nasz bratni ogarnie ludzki ród”. I we Włocławku nastroje prokomunistyczne były dość silne, bo dysproporcje społeczne były przeogromne. Z jednej strony była dość bogata szlachta i chłopstwo, zwłaszcza na Kujawach. Natomiast z drugiej strony była masa bardzo biednych ludzi, którzy głodowali na wsi, uciekali zatem do Włocławka. Tam była słynna Celuloza, pchali się do tego przemysłu, i oczywiście wchodzili również w struktury komunistyczne. Tam Wyszyński poznał problemy społeczne, widział je na własne oczy. Jednocześnie mianowano go redaktorem naczelnym „Słowa Kujawskiego”. To był tygodnik wydawany przez Kościół, w którym poruszano rozmaite lokalne problemy. Biskup poznał się na nim bardzo szybko. Okazało się, że jego zdrowie nagle się poprawiło, w czym zawsze upatrywał swoisty cud. Jego biskup w 1925 r. skierował go na studia na Katolicki Uniwersytet Lubelski. KUL miał wtedy za sobą dopiero niecałe 6 - 7 lat istnienia. Został stworzony przez słynnego Radziszewskiego jako wyższa uczelnia, uniwersytet, a zarazem kościelna, która miała przygotowywać nowe kadry dla niepodległej Polski. Była to więc zupełnie świeża uczelnia. Stefan Wyszyński zaczął studiować na Uniwersytecie prawo kanoniczne oraz katolicką naukę społeczną. Jego studia trwały 4 lata. Ten okres lubelski zawsze wspominał z wielkim entuzjazmem i z wielką serdecznością dlatego, bo był wtedy stosunkowo młody, 26 - 28 lat. Druga sprawa: już skończyły się te problemy ze zdrowiem,

odzyskał zdrowie, stanął już na nogi. I w 1929 roku przyszło do obrony jego pracy doktorskiej. Nosiła ona tytuł: „Prawa rodziny, Kościoła i państwa do szkoły” — problem, który potem odżył w okresie PRL-u i w latach 90-tych.

Ta praca doktorska i jej obrona to zupełnie osobny rozdział, o którym mało kto wie. Otóż doszło do niemałego sporu, który byłby się zakończył dramatem dla Stefana Wyszyńskiego. Bowiem Stefan Wyszyński wygłosił tezę podczas obrony rozprawy doktorskiej, że biskupi nie podlegają jurysdykcji sądów cywilnych, sądów świeckich. Na to jego promotor sprzeciwił się temu bardzo ostro i zapytał, a skąd on to wie, jak on tak może mówić. Młody doktorant z kolei odpowiedział, że jest tego pewny. A kiedy przyparto go do muru i uczyniono z tego powód do niemałej kontrowersji, powstało spore wzburzenie na tej Radzie Wydziału, wtedy młody Stefan Wyszyński stwierdził, że ma dostęp do tajnej klauzuli, tajnego dokumentu, z którego jednoznacznie wynika takie rozstrzygnięcie, jakie przedstawił. Wywołało to furję jego promotora który uznał, że przecież jajko nie może być mądrzejsze od kury. Zarządzono głosowanie. I za tę niesubordynację, że wiedział więcej, niż jego promotor, obniżono mu stopień. Miał dostać piątkę, dostał czwórkę.

Zmiana stron kasety

... mu się krzywda. I ten list przedstawił ojcu Kornilowiczowi, z którym miał później współpracować w latach 30-tych, a zwłaszcza 40-tych, w których wówczas był związany z Laskami. Ojciec Kornilowicz, wielki duszpasterz i wielki przewodnik duchowy, powiedział najpierw, że chętnie ten list przeczyta, a potem powiedział, że ten list wyśle. Wysyłka polegała na tym, że przeszedł do sąsiedniego pokoju i wrzucił list do kosza. Powiedział: „Zamiast tego masz napisać drugi list. I w tym liście masz napisać, że jesteś wdzięczny promotorowi i Radzie Wydziału, że doprowadzili cię do doktoratu, i że dziękujesz za to, co się wydarzyło.” Stefan Wyszyński buntował się, ale drugi list z podziękowaniem za studia i za doprowadzenie do doktoratu napisał. I wtedy, gdy ten drugi list został wysłany i doręczony, Kornilowicz powiedział do Wyszyńskiego: „Zrobiłeś dwa doktoraty. Jeden ten, którym uzyskałeś stopień, a drugi ten, którym okazałeś się silniejszy od swojej słabości.” To też miało dla niego ogromne znaczenie, bo później zawsze podkreślał, że jeżeli człowiek do czegoś dochodzi to nie ze względu na egoizm, któremu to, co uzyskujemy, ma sprzyjać, tylko ze względu na to, że przygotowawali nas do tego inni, i że stajemy się kimś ze względu na innych. To wywarło wielki wpływ na niego, miało wielkie znaczenie.

W 1929 roku, kiedy był już młodym doktorem, odbył — to też jest pewna ciekawa analogia — pierwszą swoją podróż zagraniczną do Włoch, Francji, Holandii, Belgii i Niemiec. Polska była świeżo po kryzysie ekonomicznym. Ta podróż trwała jeden rok. W tym czasie przyglądał się życiu w zachodniej Europie. Dokładnie coś takiego było w życiu Karola Wojtyły. On też kiedy miał lat 26 - 27 udał się na studia do Rzymu i odbył podróż mniej więcej tam, gdzie przedtem Stefan Wyszyński, czyli Francja, kraje Beneluksu i Niemcy. To pozwoliło mu się zetknąć z tamtymi kulturami. Później, po wielu latach mówił, że ta podróż miała dla niego ogromne znaczenie. Bo pozwoliła mu zrozumieć duszę Wschodu i duszę Zachodu. Pozwoliła mu również zrozumieć pewne prawidłowości polityczne. Już po II wojnie światowej powiedział tak: „Na Wschodzie bez przerwy mówią o pokoju. Na Zachodzie bez przerwy mówią o prawach człowieka. A jednym i drugim chodzi dokładnie o to samo.” Więc już na początku lat trzydziestych zobaczył, że to mówienie o prawach człowieka służy również, w dużej mierze, podporządkowaniu tego człowieka i przejęcia swoistego rządu dusz, tylko robione bardziej w białych rękawiczkach niż to, co się działo na Wschodzie. Zatem nigdy nie miał entuzjazmu ani wobec Wschodu, ani wobec Zachodu. Zawsze umiał dowartościować i docenić to geopolityczne położenie Polski, i traktował Polskę jako swoiste przedmurze, w którym te wpływy wzajemnie się ze swoją ścierają.

W tamtych też latach, tzn. w 1930 r., odbył specjalistyczne studia z zakresu prawa kanonicznego w Rzymie. Na tych studiach miało miejsce niesłychanie znaczące wydarzenie. Mianowicie w tamtych latach na uczelni kościelnej studiowali Murzyni. Ale biali z Zachodu, również księża, nie chcieli czy nie mogli siadać koło Murzynów, bo nadal była segregacja w Ameryce, w Zachodniej Europie itd. Więc Murzyn sam siedział w ławce, a biali siedzieli oddzielnie w ławce. I Wyszyński dał się poznać z tego, że siedział koło Murzynów przełamując te wszystkie bariery, jakie jeszcze w ówczesnym świecie istniały. Zawsze więc koledzy kojarzyli go z Murzynami, a Murzyni go uwielbiali. Bardzo go lubili, że oto że wbrew wszelkim zwyczajom, stereotypom i urazom siada koło nich i z nimi

razem słucha wykładów. Wspominał to także później, po latach, że przychodziło mu to zupełnie normalnie, spontanicznie, chociaż — jak mówił — wtedy po raz pierwszy widział Murzyna. Bo przecież w przedwojennej Polsce okazji do zobaczenia Murzynów za wiele pewnie nie było.

Wrócił do Polski w 1931 r. Został mianowany profesorem prawa kanonicznego w seminarium we Włocławku, i jednocześnie redaktorem naczelnym czasopisma, które ukazuje się po dzień dzisiejszy, i nosi tytuł „Ateneum kapłańskie”. Te osiem lat — do roku 1939 — wspominał jako następny piękny czas w swoim życiu. Wykładał dla alumnów prawo kanoniczne i problemy społeczne. Natomiast w „Ateneum kapłańskim” wprowadził, inaczej niż przedtem, dużo problematyki społecznej. Wołał, aby bogaci dzielili się z biednymi. Wołał o usuwanie niesprawiedliwości społecznej. A jako redaktor był znany z tego, że zapraszano go na odpusty w rozmaite miejsca, do różnych parafii. I na tych odpustach głosił kazania. Był przecież profesorem seminarium, był redaktorem naczelnym pisma kapłańskiego, był człowiekiem, który miał za sobą otarcie o zagranicę, wobec tego bardzo go szanowano.

Wspominał, jak to pewnego razu w połowie lat 30-tych został zaproszony na bogatą wieś kujawską. I tam podczas kazania powiedział, że nie może być tak, że bogaci właściciele ziemscy opływają we wszystko, natomiast biedota żyjąca gdzieś tam w czworakach nie ma chleba i mleka dla własnych dzieci. Że należy to przelamać i przewyciężyć, że należy dzielić się z tymi biednymi. Kiedy msza się skończyła, i wrócili na plebanie na obiad, proboszcz zaprosił — nie pierwszy i nie ostatni — samych tylko bogatych, a biedni poszli do domu. Wtedy bogaci poczuli się pewniejsi siebie i przy obiedzie powiedzieli mu tak: „Gdybyśmy zastosowali to, o czym ksiądz doktor mówił, to byśmy wszyscy z torbami poszli.” A on do nich: „I tak pójdziecie!” Trzeba było czekać parę lat, i te słowa się spełniły. Wspominał to z wielkim, jak by to powiedzieć, smutkiem, rozrzewnieniem — dlatego, że nie chciał być takim prorokiem. Ale kiedy przyszła reforma rolna w 1945 r., przyjął to z wielkim zrozumieniem. Bo wiedział, że na wsi przedwojennej było mnóstwo krzywdy. W związku z tym umiał docenić także to nowe, które przyszło po 45 roku.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, diecezja włocławska i chełmińska znalazły się pośród tych, w których księża byli prześladowani w sposób najbardziej okrutny. W ciągu okresu wojennego na terenie tych diecezji zginął, został zamordowany, wywieziony do Dachau, do innych obozów śmierci, prawie co drugi ksiądz. Zatem jest to znów element męczeństwa, aspekt męczeństwa, o którym my zbyt mało wiemy. Przypomnijmy sobie, co Jan Paweł II powiedział parę lat temu w Bydgoszczy — że Polska też potrzebuje napisania księgi polskich męczenników z okresu II wojny światowej. Te elementy, te aspekty historii znamy za mało. Biskup przewidział, że praca duszpasterska będzie tam niemożliwa, i w 39 r. polecił Stefanowi Wyszyńskiemu opuścić Włocławek. Zdawał sobie bowiem sprawę, że o ile duszpasterze muszą tkwić na parafii, nie mogą zostawić ludzi, to skoro zostało zamknięte seminarium, pobyt Stefana Wyszyńskiego na terenie Włocławka groził jego natychmiastowym aresztowaniem i wywiezieniem do obozów. Unikał więc tego aresztowania, i od 39 r. mieszkał w kilku kolejnych miejscach, m.in. we Wrocławiu, gdzie jego ojciec był później organistą. Ocierał się o Warszawę, trochę w diecezji łomżyńskiej — wszędzie pracował jako ksiądz, ale nie zdradzano, że jest profesorem seminarium. Bano się, że zostanie aresztowany, zamordowany bądź co najmniej wywieziony. A wiadomo, że kształcenie nowego profesora zawsze trwa wiele lat. Bo o ile kogoś, kto ma ręczne zdolności, można wykorzystać już dziś, to żeby wykształcić potrzeba długiego czasu. Był więc chroniony.

W 1942 roku znalazł się w Laskach. Tutaj spotkał ponownie, i bardzo się związał z księdzem Kornilowiczem. Posługiwali ludziom, zwłaszcza tym, którzy potrzebowali pomocy. Od 1944 r. był kapelanem okręgu wojskowego Żolibórz - Kampinos. Wtedy pełnił wszystkie funkcje kapelana na przedmieściach Warszawy, pomiędzy Laskami a Żoliborzem. Jedną z jego powinności to było chodzenie po lasach, niby dla spaceru, ale po to, żeby nawiązywać czy podtrzymywać kontakty, wyszukiwać rannych. Tych rannych ściągać, zabierać do Lasek. M.in. w jego wspomnieniach znalazł się taki epizod, jak to pewnego dnia przyniesiono na noszach młodego chłopaka. Był on bardzo bitny, bardzo waleczny, rwał się do walki. Jednak zrobiono mu bardzo ciężką operację wewnętrzną, jakaś resekcja jelit czy coś takiego, było to bardzo bolesne bo nie było znieczulenia. I operacja się nie udała. On oczywiście o tym nie wiedział, jednak lekarze wiedzieli, że jego dni są policzone. On był cały czas przytomny, rwał się do walki. Wybuchło Powstanie Warszawskie. On twierdził, że chce nadal walczyć, i że „Trzeba, żebym na Matkę Boską, 26 sierpnia, był z powrotem pod murami”.

Ksiądz Wyszyński wiedział, że na Matkę Boską będzie on pod murami, ale nie tu, tylko w niebie. Nikt nie chciał tego chłopakowi powiedzieć, bo on się rwał do życia. Ksiądz zdawał sobie sprawę, że nie można go wiecznie oszukiwać i musiał mu przekazać, że właściwie jego stan jest coraz bardziej krytyczny. I wspominał, że ten młody chłopak mówi: „Co też ksiądz mówi! Ależ ja jestem silny!” I podał mu rękę: „Niech ksiądz patrzy, jaki ja jestem silny!” Kardynał wspominał: wziąłem go za rękę, a ta ręka była już prawie umierająca. To już był człowiek, który już jedną nogą był po drugiej stronie życia, i rzeczywiście wkrótce umarł. To była taka posługa, którą ksiądz Stefan Wyszyński pełnił.

Z okresu Powstania Warszawskiego przeżył dwie rzeczy. O jednej i drugiej mówił ksiądz prałat Bronisław Piasecki, który jest jednym z najwierniejszych świadków tego wszystkiego, co wówczas Stefan Wyszyński przeżywał. Mianowicie pewnego dnia pod koniec Powstania, gdy Niemcy podpalili Warszawę — to była druga połowa września 1944 r. — w stronę Lasek kierowały się dymy palonego miasta. Wiatr był dość silny i niósł, poza dymem, rozmaite rzeczy, resztki książek, gazet, papierów, jakichś tkanin. Oni wychodzili i patrzyli w stronę Warszawy. Wyszyński wspominał, że modlił się za tych, którzy ginęli. I pewnego dnia wyszedł bardzo smutny i bardzo zły na Niemców, że coś takiego zrobili żywemu miastu. I wspominał, jest to bardzo mało znany epizod, głęboko symboliczny, jak to wiatr przyniósł w jego stronę kartki papieru. I okazało się, że te kartki to były jakieś księgi kościelne. I podniósł taką kartkę, spaloną ze wszystkich stron, ale w środku zachowały się tylko dwa słowa. A te dwa słowa brzmiały: „będziesz miłował”. I wziął tę kartkę, spaloną ze wszystkich stron, patrzył na nią i odczytał ją jako znak, jako symbol, jako przesłanie, które ma Pan Bóg dla niego. Dla niego, który jest księdzem, i buntuje się, i przeklina tych Niemców, i otrzymuje, wśród wszystkiego spalonego, przesłanie „będziesz miłował!”

Kiedy Powstanie upadło, na początku października 1944 r., mógł wreszcie udać się do Warszawy. I następne wspomnienie, jakże znaczące. Dotarł na Krakowskie Przedmieście, w okolice kościoła św. Krzyża. I tam Chrystus, strącony przez hitlerowców, poniewierał się na ulicy. I ręka tego Chrystusa była uniesiona ku górze. I Stefan Wyszyński wspomina, że naprzeciw niego — a on był w sutannie, pojawiło się trzech żołnierzy niemieckich, dwóch oficerów i jakiś podoficer. I tylko byli oni i on. Oni szli z naprzeciwka, a on szedł w stronę ich i w stronę Chrystusa, z tą podniesioną ręką. I w pewnym momencie, kiedy się spotkali już przy tym zwalonym Chrystusie, oficer niemiecki najwyższy rangą, pyta go: „Znasz niemiecki?” „Znam.” A oficer mówi: „Ist doch Polen nicht verloren!” czyli „Jeszcze Polska nie zginęła!” To był dla niego szok. Oto Niemiec na krótko przed klęską, ale już zniszczywszy Warszawę — bo oni odpowiadali za tę zniszczoną Warszawę, patrząc na wizerunek Chrystusa, na rzeźbę Chrystusa mówi: „Jeszcze Polska nie zginęła!” To było dla niego wielkie przeżycie. Powiada, że mu to jakoś otworzyło oczy na to, że nie ma ścisłego podziału: Polacy – Niemcy. Że dużo dobrego dzieje się w sercach i tych, których postrzegamy jako prześladowców.

I połączył ze sobą te dwa wydarzenia, te kartkę spaloną: „będziesz miłował” i to niemieckie „Ist doch Polen nicht verloren!” — „Jeszcze Polska nie zginęła!” Przedziwna rzecz, prawda? Kiedy człowiek się nad tym zastanawia, co mógł przeżyć, to warto żebyśmy wiedzieli, że jest to podglebie na którym on dorastał, rozwijał się i na którym dojrzewał.

W 1945 r. wojna się skończyła. Część z państwa pamięta realia powojenne. Dnia 25 maja 1946 roku, w święto Zwiastowania Pańskiego, dowiaduje się, że został mianowany biskupem lubelskim. Miał wtedy 45 lat. Jak na okres bezpośrednio powojenny był biskupem bardzo młodym. Został mianowany biskupem pomocniczym, lecz od razu biskupem ordynariuszem, czyli biskupem diecezji lubelskiej. Pamiętajmy, że Karol Wojtyła z kolei, czyli Jan Paweł II, został mianowany biskupem mając 38 lat, ale był wtedy biskupem pomocniczym. Stefan Wyszyński stał się od razu biskupem ordynariuszem. Mówił, że bardzo wzbraniał się przed przyjęciem tej nominacji. Na co kardynał August Hlond powiedział mu, że papieżowi się nie odmawia. Nominację przyjął, i 12 maja 1946 r. miał konsekrację biskupią na Jasnej Górze. To kolejny jego związek z Jasną Górą. Czterdziestopięcioletni człowiek w maju, w miesiącu maryjnym, na Jasnej Górze przyjmuje święcenia biskupie, i stamtąd pisze list do księży diecezji lubelskiej. I w tym liście wyklada sens swojej misji, swojej obecności. Czterdziesty szósty rok! Jeszcze i bandy, i przemoc, przeróżne walki, konflikty, i AK, i komuniści, i spory z Ukraińcami, którzy tam byli niedaleko Lublina — strasznie trudna sytuacja. Wszedł w tą sytuację i zjednął sobie w gruncie rzeczy wszystkich. Biskupem lubelskim był stosunkowo krótko, tylko dwa lata. Dnia 12 XI 1948 r. został na wyraźne życzenie umierającego kardynała Augusta

Hlonda, poprzedniego prymasa Polski, przez papieża Piusa XII mianowany prymasem Polski.

Mówiąc prawdę był to powód do wielkiego zdziwienia. Bo uważano, że jest za młody. Było wtedy sporo biskupów starszych od niego o 20 lat, czuli się lepiej przygotowani do tej nowej roli i nie sądzili, że czterdziestoparoletni świeży biskup będzie dobry do funkcji prymasa Polski. W związku z tym przyjęto go z pewną rezerwą. Na szczęście nie było miejsca na dużo rezerwy, bo prześladowania Kościoła w latach 47 - 48 były tak silne, że nie było mowy o jakiś widocznych rażących podziałach. I objął swoją stolicę prymasowską w Gnieźnie i w Warszawie. Kiedy przybył do Warszawy w 1948 roku powiedział, że jest tutaj na dobre po raz trzeci. Pierwszy raz — kiedy bronił tego szańca przed kolegami rosyjskimi, drugi raz — kiedy był w okresie Powstania, a teraz los przysłał go po raz trzeci i zatem na pewno ostatni. Kiedy udał się do Gniezna z ingresem i objął katedrę prymasowską w Gnieźnie, wtedy po raz pierwszy użył sformułowania, które później pozostało jego zawołaniem, jego zwrotem aż do końca jego życia: „Umiłowane dzieci Boże, dzieci moje”. W ten sposób dał poznać z jednej strony, że „dla was jestem biskupem, z wami jestem chrześcijaninem”. Ta niezwykle bliska więź, która tak bardzo zjednywała mu serca ludzi, a jednocześnie poczucie, że nie jest pierwszym lepszym w szeregu, tylko że ci, którzy go słuchają, są powierzeni jego pasterskiej trosce. Te słowa później pozostały jego słowami.

Rok 1949 był dla niego bardzo trudny, ponieważ sytuacja polityczna i społeczna pogarszała się coraz bardziej. Był to czas, kiedy przenoszono na grunt polski rozmaite poczynania Stalina. I próbowano uczynić Polskę jedną z republik Związku Radzieckiego, co znalazło również wykonawców także w samej Polsce.

Na koniec dzisiaj jeszcze tylko kilka krótkich wątków. Mianowicie bardzo utrudniał mu pracę brak konstytucji. Pierwsza konstytucja pojawiła się w r. 1952. Natomiast nie było żadnych podstaw prawnych, na których można byłoby ułożyć stosunki między państwem a Kościołem. I dlatego 14 kwietnia 1950 r. zawarł porozumienie z władzami komunistycznymi. Dlaczego zawarł to porozumienie? Do końca życia o tym mówił — dlatego, że uczyniono z tego powód do ataków na niego. Zawarł to porozumienie z kilku powodów. Po pierwsze dlatego że nie wierzył, że Zachód przyjdzie nam z pomocą, i że będzie nas wyzwalał spod sowieckiej supremacji. Otóż zdawał sobie sprawę, że Zachód w sprawie Polski nic nie zrobi. Zatem, że sytuacja polityczna, która pojawiła się po II wojnie światowej, to nie jest sytuacja przejściowa, na parę miesięcy, tylko to jest sytuacja na wiele lat.

Po drugie, w momencie gdy nie można było osiągnąć wiele, „chciał osiągnąć przynajmniej trochę”. Co oznaczało „trochę”? Ocalić substancję Kościoła, i zabezpieczyć Kościół w przetrwaniu tego najgorszego okresu. I po trzecie wreszcie, traktował swoich rozmówców na tyle poważnie, że im wierzył. Natomiast później stwierdził, że nie było komu wierzyć, nie było z kim rozmawiać. On jednak podchodził do nich z jakimś dużym zaufaniem. Zawarł porozumienie, wskutek czego nazwano go nawet „czerwonym prymasem”. Odczuwał to niesłychanie mocno. Cała złożoność polegała na tym że ci, którzy zawarli z nim porozumienie w 1950 r., oskarżali go jednocześnie na Zachodzie czy puszczali fałszywki, że on współpracuje z komunistami.

W związku z tym jego sytuacja była straszliwie trudna. Został wezwany do Watykanu, po raz pierwszy jako biskup i jako prymas, pozwolono mu tam pojechać. Spotkał się osobiście z papieżem Piusem XII, który był wielkim przeciwnikiem komunizmu, i komunizmu bał się jak ognia. I w osobistej rozmowie z papieżem Piusem XII Stefan Wyszyński wyjaśnił okoliczności, powody i motywy swojej decyzji. Wyjaśnił, że w sytuacji polskiej nie można liczyć na jakiś stan przejściowy, bo to zupełnie wyniszczy Kościół. Papież przyjął tę argumentację i dał mu w tych warunkach wszystkie pełnomocnictwa, zastrzeżone dla Stolicy Apostolskiej.

Okazało się to błogosławieństwem. Dlatego kiedy za rok, dwa sytuacja zaczęła się coraz bardziej pogarszać i komuniści zamknęli granice, i prymas nie mógł wyjeżdżać do Rzymu, wtedy miał wszystkie pełnomocnictwa do rozstrzygania spraw, które musiały być w Polsce robione. Komuniści sądzili, że mają do czynienia z młodym biskupem i że uda im się go wykiwać. Starali się podzielić biskupów na tych, którzy im sprzyjają, i na tych, którzy są absolutnie nie do przewyciężenia. I starali się robić wrażenie istnienia podziału — zawsze „dziel i rządź”!

W roku 1952 postawili jako jeden z warunków, że premier będzie mianował biskupów, natomiast wojewoda będzie mianował proboszczów. I chcieli dla tej sprawy pozyskać prymasa. Na to prymas powiedział: „Non possumus!” — „Nie możemy!” Koniec, dalej ani kroku! Wywołało to furję z ich

strony. Bo spodziewali się, że uda im się stworzyć w Polsce, przetestowany później w Chinach, model Kościoła narodowego. Do dzisiaj w Chinach istnieje Kościół narodowy. Że uda się stworzyć struktury kościelne podległe premierowi i wojewodom. A kto nie będzie chciał należeć do tego Kościoła, będzie współpracownikiem Zachodu, współpracownikiem Watykanu, Ameryki itd. i trzeba go będzie zepchnąć na boczne tory. Wobec tych prób uchińszczenia Polski Stefan Wyszyński powiedział „Nie!” W Boże Ciało 1953 r., na procesji na Krakowskim Przedmieściu, powiedział mocne swoje „Nie”, że Kościół już w żaden sposób nie może pertraktować. Że nie może uczynić żadnego kroku więcej, ponieważ wykazał mnóstwo dobrej woli, i to zostało sprzeniewierzone. Aresztowanie było kwestią czasu. Komuniści zastanawiali się, czy zrobić to przed wakacjami, czy po wakacjach. Doszli do wniosku, że ze względu na nieco napiętą sytuację lepiej to będzie zrobić po wakacjach, po wrześniu. Nie wiem, jak wtedy wyglądały wakacje, na pewno nie tak, jak dzisiaj. Ale widocznie była to jakaś cezura, nie tyle dla ludzi, ile dla tzw. elit politycznych. Po prostu ci komuniści wyjeżdżali wtedy do Bułgarii, do ZSRR, do Czechosłowacji itd. i woleli na ten czas nie mieć kłopotów.

We wrześniu 1953 r. zapadła decyzja o jego aresztowaniu. Scenariuszy było kilka. Nie brakowało głosów, że należy się go po prostu pozbyć. Bano się tego zrobić. Pojawiła się koncepcja, że należy go aresztować i w więzieniu powoli doprowadzić albo do złamania, albo do wyniszczenia organizmu i do jego śmierci. Pojawiła się wreszcie koncepcja, że należy go izolować. Kiedy go aresztowano, potem ze smutkiem i żalem stwierdzał, w jego obronie stanął tylko pies i Niemiec. Pies Baca ugryzł ubeka, który wyciągnął rękę w stronę prymasa, w rękę. I rzeczywiście wyraźny protest zgłosił tylko ówczesny zarządca diecezji warmińskiej, olsztyńskiej, który był Niemcem. Podczas gdy inni milczeli, ów Niemiec upomniał się głośno o Polaka, o prymasa. Prymas do końca życia wspominał, że to był najtrudniejszy czas w jego życiu. Nie z powodu tego, że został aresztowany, ale z powodu tego, że w aresztowaniu pozostał samotny. Aresztowanie odbyło się pod osłoną nocy, i w jego obronie nikt nie stanął, z wyjątkiem zwierzaka i Niemca.

Nie sposób państwa trzymać dalej, bo mamy już za sobą godzinę. Być może trzeba będzie wrócić, i jakby dokończyć tego niezwykłego życia.

Prymas był w czterech miejscach odosobnienia. Najpierw Rychwałd, później Stoczek Warmiński, później Prudnik, potem Komańcza. Wszystkie cztery miały jedno wspólne. Mianowicie były bardzo blisko granic Polski. A to oznaczało, że w przypadku jakichkolwiek niepokojów można było internowanego prymasa przerzucić poza granice, czy to na teren Czechosłowacji, czy do ówczesnego Związku Radzieckiego.